Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 33 (1585) ROK XXXI 13 SIERPNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

■ Kurapaty czyli droga śmierci — str. 4 i 5
■ Niemieccy Żydzi w łódzkim getcie — str. 10
■ Co najlepiej „idzie" w Bułgarii? — str. 6
■ Koty Wiecznego Miasta — str. 11
■ Jak doszło do monachijskiej ugody? — str. 1 i 3
■ Honorowa Akademia Literatury — str. 2

Foto: K. Turowski

Czy Gestapo rzeczywiście wszystko wiedziało o polskim podziemiu? (1)

Tajemnicze zniknięcie pułkownika Janusza Albrechta

CEZARY LEŻEŃSKI

Lipiec 1941 roku odciskał się podwójnie wojennym piętnem na ulicach Warszawy. Poza przedłużającymi się miesiącami okupacji dochodziły tu dalekie pogłoski walki, jaką toczyły postępujące szybko przez Ukrainę i Białoruś niemieckie zagony pancerne. „Nowy Kurier Warszawski" podawał coraz to nowe informacje o zwycięzcach Wehrmachtu, zdjęcia wziętych do niewoli. Okna wielu niemieckich gmachów były obłożone workami z piaskiem. Koło mostów, na placach, na dachach, stały działka lub cekaemy wpatrzone w niebo.

Stolica odetchnęła od terroru, jakby wojna toczona z Rosją Radziecką odwróciła uwagę okupanta od Polaków. Ci, którzy choć przez chwilę mogli coś podobnego przypuszczać, rychło przekonali się jak złudne było podobne odczucie. Jak machina wojenna tocząca się na wschód działała całkiem niezależnie od władzy Generalnej Guberni, a szczególnie komórek gestapo.

W pierwszy poniedziałek lipca w drapaczu chmur „Prudential", przy placu Napoleona odbywała się o godzinie czwartej po południu odprawa. W gabinecie dentystycznym stomatologa majora Tadeusza Karnibada. Stanowi to najlepszy parawan różnych konspiracyjnych spotkań. Punktualnie zjawiają się szefowie Oddziału II Komendy Głównej — podpułkownik Wacław Berka „Brodowicz" i jego zastępca major Marian Drobik „Dzięcioł".

Czekają na szefa sztabu ZWZ pułkownika Janusza Albrechta „Wojciecha", niedawnego dowódcę I pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, legionistę, człowieka znanego z punktualności i dokładności. Mijają minuty, jest szef kancelarii „Wojciecha" — Halina Zakrzewska „Herminia", ale jego samego nie ma.

Mijają minuty, kwadranse. Przechodzi cała godzina po wyznaczonym terminie. Zaciszne dwa pokoje gabinetu dentystycznego, kuchenka i łazienka swym spokojem, izolacją, stwarzają wrażenie zaciszności, bezpieczeństwa. Oficerowie i łączniczka niepokoją się coraz bardziej. Im nic nie grozi, ale „Wojciechowi", najbliższemu współpracownikowi gen. Stefana Roweckiego. Co się z nim dzieje? Gdyby jakieś niespodziewane spotkanie, gdyby nagły wyjazd, czy zagrożenie, wieść już powinna dotrzeć pocztą alarmową do czekających.

Nie ma co zwlekać. Rozchodzą się. „Herminia" spiesznie podąża na ulicę Zielną. Następny punkt, na którym powinien zjawić się „Wojciech". Odprawa z Komendą Okręgu Warszawa. I tu pułkownik nie przychodzi. Zakrzewska stara się być opanowana, za nic nie może dopuścić do popłochu, niepotrzebnych domysłów.

— Pułkownik przeprasza, ale miał nagły, bardzo pilny i ważny kontakt — informuje zebranych.

Teraz jest już zaniepokojona nie na żarty. Czyżby „Wojciechowi" przeszkodziła niespodziewana sprawa prywatna? To jest nieprawdopodobne. Ten dokładny, akuratny kawalerzysta, obdarzony takim zaufaniem przez Stefana Roweckiego „Jana", nigdy by sobie na podobną rzecz nie pozwolił.

System alarmowy wywołuje spotkanie z szefem kontrwywiadu podporucznikiem Bernardem Zakrzewskim „Oskarem" i szefem łączności Oddziału II KG ZWZ Marią Strońską „Marią". Spotykają się następnego dnia w cukierni Blikiego na Nowym Świecie. Zapada decyzja: zniknięcie Albrechta utrzymać w tajemnicy do powrotu generała „Grota" z parodniowego wypoczynku pod Warszawą. Utrzymać łączność szefa sztabu i kursowanie jego poczty. Na wszelki wypadek z prywatnego mieszkania „Wojciecha" zabrać wszelkie konspiracyjne dokumenty.

Jeszcze tego samego dnia po południu „Herminia" poszła do państwa Hubertów w alei 3 Maja 2 mieszkania 74. Tutaj pułkownik pod fałszywym nazwiskiem Jankowskiego wynajmuje pokój. Towarzyszy jej Janina Wrońska „Janka". Ubezpiecza je obstawa na ulicy. Je-

4

Z tej ziemi

Miał to być pokój uratowany dla jednego pokolenia

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Starożytni Rzymianie ustalili, że „*errare humanum est*", czyli, że mylić się, jest rzeczą ludzką. Politycy są też ludźmi i mylić się mogą, ale nie powinni. Za błąd popełniony przez polityka płacą narody i to niekiedy najwyższą cenę. Tak było pół wieku temu, gdy nad Europą zawisła groźba wojny. Tak zdarza się i dziś.

Tłumy wyległy w Paryżu i Londynie, aby powitać polityków Francji i Anglii, którzy powracali z Monachium. Premier rządu Wielkiej Brytanii — Neville Chamberlain powiedział witającym:

— *Przywiozłem pokój dla całego pokolenia!*

Natomiast premier francuskiego rządu — Eduard Daladier warknął niezbyt uprzejmie pod nosem:

— *Cholerni głupcy.*

Konferencja w Monachium, która odbyła się 29 i 30 września 1938 roku była ukoronowaniem dotychczasowej polityki europejskich mocarstw i etapem w drodze do drugiej wojny światowej.

Zaczęło się wszystko w Wersalu

22 czerwca 1919 roku w Wersalu podpisano traktat pokojowy, zwany wersalskim. Z tego traktatu w zasadzie wszyscy byli niezadowoleni. Powstała wprawdzie nowa Europa, na mapie której pojawiło się kilka nowych państw, ale powstały one z rozpadu wielkich monarchii. Ich granice ustalono w sposób arbitralny, bardziej licząc się z interesami mocarstw europejskich niż tych nowych tworów pań-

3

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70, 32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Wodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Jan.usz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91—103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00—958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — od dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2592 S-10.

Przegląd prasy

Obszerny referat Michaiła Gorbaczowa wygłoszony 29 lipca br. na plenum Komitetu Centralnego KPZR opublikowała „TRYBUNA LUDU" (nr 177). Sekretarz generalny mówił o praktycznych działaniach w realizacji uchwał XIX Wszechzwiązkowej Konferencji Partyjnej. Zapowiedział m.in. zasadnicze zmiany stosunków ekonomicznych na wsi. Poprzez wdrożenie pełnego rozrachunku gospodarczego i dzierżawy chłopi mają stać się naprawdę gospodarzami ziemi.

„I niech nikogo z nas nie napawa obawą fakt, że do dyspozycji chłopa pozostają na długi czas środki produkcji na podstawie umowy z gospodarstwem rolnym. Nie ma w tym nic niesocjalistycznego. To najprawdziwszy socjalizm, ponieważ wysuwa człowieka na pierwszy plan. (...)

I nie wolno ograniczyć się do wprowadzenia rozrachunku gospodarczego na szczeblu kołchozu czy sowchozu. Drugi oddech trzeba dać mu przez dzierżawę. Trzeba dać człowiekowi możliwość rozwinięcia swego talentu gospodarza, pracy na ziemi w sposób, który uważa za potrzebny, a on przecież lepiej od nas i od was wie, jak to należy robić. I niech was to nie napełnia obawami. (...)

Nawiasem mówiąc, dzierżawę szeroko stosowano u nas do połowy lat trzydziestych, a potem z niej zrezygnowano. Przy dzierżawie człowiek staje się autentycznym gospodarzem ziemi i jest zainteresowany, aby dzierżawiona przez niego ziemia i inne środki produkcji były wykorzystywane maksymalnie efektywnie i by dawały jak najwyższe dochody. (...)

Przy tym dzierżawa wyraźnie powinna być długotrwała, powiedzmy na 25—30, a nawet 50 lat. W ogóle problem należy postawić tak: Nikt nie ma prawa odmówić ludziom pracy na warunkach dzierżawnych".

Organizacje partyjne i administracyjne oraz rady deputowanych mają rozwiązać dokuczliwy problem złego zaopatrzenia. W kolejkach niektórzy więcej się męczą niż w pracy. Jest to zjawisko bardzo rozpowszechnione.

„Kolejki wszędzie — i w handlu, i w usługach, i w komunikacji, i w przedsiębiorstwach gospodarki komunalnej, i w ochronie zdrowia, i w organizacjach, biurach, związanych z załatwieniem tych czy innych próśb ludzi pracy. Problem nabrał tak ostrego charakteru, że powinniśmy zająć się nim stanowczo i wprowadzić należyty porządek. To skandal, kiedy wielu kierowniczych działaczy spokojnie przygląda się kolejkom i nie uważa za potrzebne podejmować czegokolwiek dla ich likwidacji. A przecież to nic innego jak brak szacunku, bezduszny stosunek do ludzi. (...)

W jednym i tym samym sklepie — najpierw stój do jednej kasy, potem do drugiej, a potem do lady. Ludzie stoją godzinami w kolejkach po pracy, żeby kupić zwykłe rzeczy, które są w sprzedaży. Czy tak można?".

Po tygodniku „Związkowiec", również miesięcznik „LITERATURA" (nr 6) zaczął drukować eseje Roja Miedwiediewa pt. „Ludzie Stalina". Pierwszy fragment poświęcony jest Wiaczesławowi Mołotowowi. Cykl publikacji poprzedza wywiad z autorem książki.

Roj Miedwiediew ukończył szkołę średnią w Tbilisi (1942 r.), gdzie znalazł się po ewakuacji z Leningradu, i Wydział Nauk Filozoficznych na uniwersytecie w Leningradzie (1951 r.). Jako syn „wroga ludu" nie miał szans zostać pracownikiem naukowym. Najpierw był nauczycielem historii na Uralu, potem dyrektorem szkoły w rejonie Leningradu, a w latach 1957—59 zastępcą redaktora naczelnego Państwowego Wydawnictwa Pedagogicznego w Moskwie. Następnie przez dziesięć lat pracował w Akademii Nauk Pedagogicznych ZSRR. Jego 2 książki ukazały się dotąd w 180 wydaniach i kilkunastu językach — w tym po chińsku i japońsku. Początkowo publikował głównie za granicą i w tzw. samizdacie. Pierwsze honorarium zagraniczne w 1970 roku było tak wysokie, że na własną prośbę zrezygnował z pracy naukowej w Akademii i całkowicie zajął się pisaniem książek.

„Moje prace historyczne — mówi — opierają się w ok. 60 proc. na weryfikowanych przeze mnie różnego rodzaju relacjach (wspomnieniach, pamiętnikach, opisach świadków i uczestników wydarzeń itd.), a w 40 proc. na literaturze źródłowej naszej i obcej. Nie licząc moich pierwszych kilku prac z dziedziny pedagogiki pracy, wydanych w Związku Radzieckim, oraz sporej liczby artykułów w czasopismach pedagogicznych, które publikowałem tak długo, jak długo zawodowo pracowałem w tej dziedzinie, podstawowe moje prace i publicystyka historyczna ukazywały się za granicą, na Zachodzie i w niektórych krajach socjalistycznych, np. w Jugosławii i w Chinach".

HONOROWA AKADEMIA LITERATURY

Na całej pierwszej stronie tygodnika „KULTURA" (nr 31) zamieszczono zdjęcia piętnastu pisarzy wybranych przez czytelników do Honorowej Akademii Literatury. Redakcja nawiązała do ankiety organizowanej przez „Wiadomości Literackie" oraz do tradycji Polskiej Akademii Literatury. W plebiscycie (zabawie) uczestniczyło tylko 225 osób. Każdy mógł zgłosić najwyżej 15 swoich kandydatów. Ogółem wytypowano aż 265 autorów książek.

Najwięcej głosów otrzymali i weszli w skład Honorowej Akademii Literatury następujący pisarze. Podaję według liczby wskazań: 1) Wojciech Żukrowski — 119, 2) Roman Bratny — 117, 3) Tadeusz Różewicz — 117, 4) Tadeusz Konwicki — 114, 5) Jan Dobraczyński — 103, 6) Maria Kuncewiczowa — 93, 7) Teodor Parnicki — 91, 8) Czesław Miłosz — 90, 9) Aleksander Krawczuk — 73, 10) Ryszard Kapuściński — 70, 11) Andrzej Kuśniewicz — 69, 12) Bohdan Czeszko — 66, 13) Sławomir Mrożek — 64, 14) Zbigniew Nienacki — 60, 15) Waldemar Łysiak — 58.

W gronie Akademików znalazł się Zbigniew Nienacki, którego najnowszą powieść „Dagome iudex" będziemy jeszcze długo publikować w „Odgłosach". Na naszych łamach drukowaliśmy też wcześniej popularne dziś książki „Raz w roku w Skiroławkach" oraz „Wielki las". Niedawno (nr 25) zamieściliśmy obszerną rozmowę z pisarzem, którą przeprowadził Jerzy Cechowski.

Dalsze miejsca w czytelniczym plebiscycie zajęli: 16) Władysław Terlecki — 53 głosy, 17) Alfred Szklarski — 51, 18) Halina Auderska — 48, 19) Stanisława Fleszarowa-Muskat — 44, 20) Wiesław Myśliwski — 40. A oto miejsca niektórych innych znanych twórców: Wisława Szymborska — 21, Zbigniew Herbert — 24, Stanisław Lem — 25, Józef Hen — 26, Adolf Rudnicki — 33, Julian Kawalec — 35, Leopold Buczkowski — 40, Jan Józef Szczepański — 43, Julian Stryjkowski — 50, Marian Brandys — 52, Karol Wojtyła — 59 (8 wskazań), Kazimierz Brandys — 67, Józef Morton — 72.

W tym samym tygodniku zwraca uwagę interesująca rozmowa Jacka Dąbrowskiego z Andrzejem Kuśniewiczem. Indagowany w sprawie stosunków polsko-żydowskich pisarz odpowiada:

„Ci Żydzi, którzy po zakończeniu wojny zdecydowali się na pozostanie w Polsce, to garstka niedobitków, przetrzebiona ponadto poważnie przez nieodpowiedzialny politycznie Marzec 68 roku i nastroje tuż pomarcowe. Nastroje w moim przekonaniu bardziej polityczne, aniżeli ogólnospołeczne. Osobiście niejednokrotnie później spotykałem na Zachodzie ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy po marcu musieli opuścić Polskę. Mówili o tym z wielkim, nie ostygłym pomimo upływu czasu rozgoryczeniem, lub... nie mówili wcale, jakby tematu nie było...

Niestety, druga strona tego medalu także nie świeci nieposzlakowanym blaskiem. Wyjeżdżali w tamtym czasie również osobnicy zaplątani wcześniej — nie rozstrzygam tutaj, mniej czy bardziej niefortunnie — w mroczne fakty tzw. okresu błędów i wypaczeń. To z kolei można tłumaczyć chyba tylko następujące. Ludzie ci w większości pochodzili z inteligenckich rodów żydowskich, częstokroć już przed wojną hołdujących poglądom wysoce prokomunistycznym".

Andrzej Kuśniewicz wyjechał z Polski w 1936 roku, a powrócił do niej czternaście lat później. W swoim czasie długo siedział w niemieckim więzieniu. Ukończył prawo i Szkołę Nauk Politycznych. Wiele lat pracował w zagranicznej służbie dyplomatycznej. Literatura pochłonęła go dopiero po pięćdziesiątce. Cztery jego książki ukazały się we Francji, gdzie spędził znaczną część życia. Publikował też w RFN, Hiszpanii, Grecji, Szwecji, USA, Włoszech, Bułgarii, Rumunii, ZSRR, NRD, Czechosłowacji, Węgrzech. Ale pisze przede wszystkim z myślą o polskim czytelniku.

DEGRADACJA WARSZAWSKIEJ STARÓWKI

Niedawno opublikowaliśmy dyskusję (nr 31) o postępującej degradacji śródmieścia Łodzi. W nie lepszej sytuacji jest warszawskie Stare Miasto. Sylwester Thim pisze w tygodniku „PRZEGLĄD TECHNICZNY" (nr 27), że Starówka ulega szybkiej i planowej degradacji.

„Na oko wygląda wręcz przeciwnie: pieczołowicie odnawia się elewacje, rekonstruuje zniszczone sgraffito. Ale wystarczy wejść na klatkę schodową i zajrzeć do mieszkań, aby zobaczyć «nowoczesną» technikę instalacyjną, która raz na zawsze odbierze Starówce charakter zabytku kultury, wpisanego w rejestr ONZ. Oto bowiem po ścianach i sufitach ciągną się rury centralnego ogrzewania. Tak jak to jest w blokowiskach z wielkiej płyty.

Budowniczowie Starego Miasta, przedwojenni fachowcy, umieścili oczywiście całą instalację w kanałach, wewnątrz murów i ścian mieszkań. Inaczej się przecież nie budowało. Przyzwoicie wykonane mury z dobrej stali wytrzymały prawie czterdzieści lat, ale nie konserwowane, nie czyszczone z rdzy i kamienia, poddane działaniu żrącej cieczy czerpanej z Wisły, w końcu przestały być idealnie drożne. (...)

Piętrzy, z jakim odbudowano Stare Miasto, diabli wzięli. Budowlane chamstwo będzie widoczne gołym okiem. Ale turyści tego nie zobaczą — wszak na pokaz będą elewacje oraz knajpy i Pewex. Tam założono instalację lege artis, bo przecież nie wypada, aby jakiś zagraniczny gość sparzył się rurą wystającą ze ściany, albo poczuł się jak w piwnicy. (...)

Dziś Starówka jest martwą pustynią już po zmierzchu; chodzą tu jedynie zdziczałe koty i pijący wracający z wcześniej zamykanych knajp. Kulturę reprezentuje licencjonowany żebrak-kataryniarz oraz orkiestry podwórkowe przygrywające, w święta państwowe i kościelne. «Hortex» postawił parę psich budek, w których sprzedaje się lody i to jest ta «mała architektura», o której marzyli ongiś mieszkańcy. A klozetów, jak nie było, tak nie ma. Uliczne pisuary szpeciłyby zabytek kultury. Sikanie odbywa się permanentnie po bramach".

ILOŚĆ PRZECHODZI W BYLEJAKOŚĆ

Prezentowałem tu niedawno niepokoje katechetki Zofii Modzelewskiej. W podobnym duchu zabrał głos stały felietonista „WIĘZI" (nr 6) Turian. Podkreśla on, że masowość katolicyzmu usypia czujność. Ilość przechodzi czasem w bylejakość.

„Czemu tyle u nas powołań kapłańskich, a tak mało żeńskich powołań zakonnych? Czyżby dziewczyny nasze były o tyle bardziej zlaicyzowane od chłopców? Broń Boże — ale zakonnica to naprawdę żadna kariera... Postawmy sobie brutalnie pytanie: ile byłoby u nas powołań, gdyby ksiądz żył — tak jak we Francji — na poziomie minimum socjalnego? Gdyby baza społeczna, a więc finansowa Kościoła była równie uboga ilościowo, gdyby dających na tacę i za sakramenty było równie mało, jak gdzieś tam na legendarnym Zachodzie...".

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

WIESŁAWA JAWORSKA-BENCZAK — st. lekarz Biura Wezwań Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego:

— Tydzień przeciętny, zarówno w instytucji w której mnie pan zastał, jak i w życiu prywatnym. Tydzień, jak wiele innych, wyróżniający się jedynie tym, że wielu ludzi — mimo wzrostu kosztów urlopowych — wyjechało na wakacje, to daje się u nas wyraźnie zauważyć: Owszem, różnice ciśnienia szczególnie dotkliwie odczuwają osoby ze zmianami krążeniowymi. Salmonella? Chyba wyhodowaliśmy sobie salmonellę przy okazji naszego narodowego niechlujstwa, a to jest już zawstydzające. Przecież wystarczy myć ręce produkty, naczynia. Wystarczy mydło, środki czystości, na brak których nie możemy narzekać. Tego rodzaju zagrożenia są wyraźnym efektem zwyczajnego niedbalstwa, wszak warunki do zachowania czystości siebie i pomieszczeń mamy.

TADEUSZ WITKOWSKI — prezes Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej:

— Miniony tydzień był makabryczny. Z powodu remontu sieci cieplnej w budynkach wysokich śródmieścia mają miejsce prawdziwe tragedie. Przez jedenaście miesięcy nasi mieszkańcy przyzwyczajeni są do ciepłej wody i nawet im do głowy nie przychodzi myśl, że brak ciepłej wody podczas zmywania np. tłustych naczyń i wylewanie do pionów kanalizacyjnych mocno zatłuszczonych płynów, z których tłuste substancje odkładają się na ściankach przewodów kanalizacyjnych powoduje, że przewody się zatykają. Skutki nietrudne do przewidzenia — zalewane mieszkania.

Jednakże cały dramat powstaje z braku wyobraźni. Wyjeżdżając na urlop ludzie zapominają o elementarnym zabezpieczeniu mieszkania. Owszem, przed ewentualnym jego okradzeniem proszą sąsiadów, rodzinę, bliskich o uwagę, lecz już o zakręceniu np. głównych zaworów, o przeciekających przewodach, a co najważniejsze — o powiadomieniu kogokolwiek z bliskich, gdzie znajdują się klucze od mieszkania na wypadek awarii, o tym, niestety, nikt nie pamięta. I zaczyna się.

W ubiegłym tygodniu na naszym osiedlu zostały zalane trzy mieszkania i, oczywiście, mieszkania sąsiadów. Z braku powyższych infomacji zmuszeni byliśmy — przy udziale straży i milicji — włamywać się do mieszkań, w których woda spowodowała istne spustoszenia — zalane meble, pozmywane tapety, słowem — zniszczenia duże i straty.

Inna rzecz, że przy tej okazji wyraziście daje się zauważyć niechlujstwo mieszkańców wielu bloków. Oto w trakcie usuwania awarii musieliśmy przeczyszczać przewody kanalizacyjne, z których, zdarza się nam wyciągać najdziwniejsze przedmioty i części garderoby. Np. w bloku przy ul. Worcella 3/5 z rur hydraulicy wyciągnęli... kalesony!

Z przyjemniejszych zdarzeń ubiegłotygodniowych mogę odnotować to, że wreszcie zaczyna się publicznie mówić o niedorzecznych przepisach kredytowania budownictwa mieszkaniowego obowiązujących od 1 stycznia br. W końcu wszyscy — po ich wprowadzeniu — od początku zadawali sobie pytanie: za ile i dla kogo mamy budować, kogo na to będzie stać?!

I wreszcie druga z przyjemniejszych spraw — wreszcie otrzymaliśmy pełną dokumentację na budowę tradycyjnego bloku mieszkalnego przy ul. Nawrot 9/11. Budowę zamierzamy rozpocząć już w roku przyszłym.

WŁADYSŁAW CIEPLUCHA — taksówkarz, nr boczny 432

— Ubiegły tydzień tym chyba się wyróżniał, że małem większy ruch. Po prostu wielu kolegów wyjechało na urlopy, stąd ci, którzy pozostali w mieście muszą obsłużyć większą liczbę pasażerów. Ja swój urlop musiałem przeznaczyć na prace przy samochodzie, a teraz — ruch. Gdyby jeszcze benzyna... Widzi pan, dawniej otrzymywaliśmy miesięczny przydział 420 litrów benzyny; bywało, że dokładano jakieś 20 litrów i można było pojeździć. Teraz przydziały zostały obcięte do 380 litrów. Ja uważam, że wygospodarowana na naszych oszczędnościach benzyna przeznaczona została do sprzedaży... komercyjnej.

Pytał:
MARIAN ZDROJEWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Poczuł nagle we śnie, jak mu w rękawach krew płynie strumieniem. Obudził się przerażony, a w krótki czas potem zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos: Nie ma już Rysia żywego. Zabili go na szosie — reportaż ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO.
— Przysłuchuję się rozmowom w wagonie. Dużo w nich goryczy, żalu i petensji do samych siebie, że przecież można było dużo wcześniej krzyczeć głośno o fałszu i demagogii płynącej z trybun, że przecież wszystkim nie zamknięto by ust — reportaż WASYLA KOCZNOWA.
— Władze miały poważne obiekcje, czy jest to właściwe rozwiązanie. W pierwszej chwili prywatne kino nie chciało się jakoś pomieścić w głowie — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.
— Czymś znacznie gorszym, niż brak miłości, jest dla dojrzałej kobiety świadomość, że nikt jej nie chce — artykuł MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.
— Teraz chodziło o to, żeby dostać się do Belgii, ponieważ Georgia ubzdurała sobie, że jeśli tam poproszą o azyl, to dostaną go natychmiast — fragment powieści ANDRZEJA BRYCHTA.
— Czterej mężczyźni po trzydziestce byli bladzi i skupieni. Z oczu wyzierał ogromny lęk. Kobieta około czterdziestu lat, ładna szatynka, nie wierzyła w to, co ją czeka — wspomina EUGENIUSZ DWORNICZAK.
— Nie jest w Polsce tak znany jak nad Sekwaną, choć na to zasługuje — o Polaku, który zrobił karierę w Paryżu, pisze MAŁGORZATA KARBOWIAK.
— Tajemnicą poliszynela było, że w olbrzymiej większości wypadków wysiedlonych posyłano na śmierć — dalszy ciąg wspomnień ARNOLDA MOSTOWICZA.
— Mnóstwo nagości na scenie, zarówno męskiej i żeńskiej, frywolne, bardzo odważne niekiedy teksty i wszystko utrzymane w ryzach. Nagość nie jest po to, by tylko epatować widza — reportaż MARKA KOPROWSKIEGO pt. „Teatr na golasa".
— Czy warto było walczyć we wrześniu 1939 roku? Nie moje to pytanie, ale znaleźli się tacy, którzy je stawiali i odpowiadali przeczące — pisze ZENON J. MICHALSKI.

ze str. 1

stwowych. Powstały więc państwa wielonarodowe, jak choćby Czechosłowacja czy Jugosławia, z wieloma mniejszościami narodowymi, jak choćby Polska, o granicach stanowiących zarzewie przyszłych konfliktów, jak choćby Litwa, która Wilno uznawała swoją stolicą konstytucyjną i nie mogła wybaczyć Polsce zagarnięcia rejonu Wileńszczyzny. Ale najwięcej pretensji mieli do traktatu wersalskiego Niemcy. I to zaraz po jego podpisaniu, a więc jeszcze za czasów Republiki Weimarskiej.

Michael Freund, historyk, uważał, że za wszelkie zło, jakie zdarzyło się w Europie i na świecie, odpowiada „Duch Wersalu", a ściślej — „Demon Wersalu".

Theodor Heuss, członek Reichstagu w latach 1924—1933, uznał, że *„ruch narodowosocjalistyczny nie narodził się w Monachium, lecz w Wersalu"*.

Arnold Mendelson, liberał i Żyd, którego nie można posądzać o niemiecki nacjonalizm, tak napisał o traktacie wersalskim, zwąc go zresztą „dyktatem wersalskim":

„Dla mnie jest to... jedynie nieszczęście, a raczej zbrodnia, którą popełniły wobec nas inne narody, po części z zazdrości, spowodowanej naszym sukcesem materialnym, po części z próżności politycznej, po części zapewne także z powodu, że się tak wyrażę, niechęci estetycznej, którą budzi działalność występująca w nieodpowiedniej formie społecznej...".

Co przede wszystkim wzburzało Niemców i budziło ich gniew?

Ano przede wszystkim to, że Artykuł 231 traktatu wersalskiego Niemcy czynił winnymi drugiej wojnie światowej. Poza tym Niemcom nie wolno było wprowadzić obowiązku służby wojskowej. Armię miała stanowić 100-tysięczna Reichswehra składająca się z zawodowych żołnierzy, bez lotnictwa, czołgów i ciężkiej broni. Marynarka wojenna miała służyć jedynie do obrony wybrzeży. Naruszało to dumę niemiecką i potencjał przemysłowy, nie mówiąc już o interesach koncernów produkujących wszelkie rodzaje uzbrojenia.

Jakie terytoria Niemcy straciły?

Na rzecz Belgii dwa powiaty zamieszkane przez Wallonów — Eupen i Malmedy. Nadrenia została terytorium zdemilitaryzowanym. Obszar Saary przeszedł na 15 lat pod panowanie Francji. 13 stycznia 1935 roku odbył się tam plebiscyt i 91 procent ludności opowiedziało się za powrotem do Niemiec.

Szlezwik — po plebiscycie przeszedł do Danii. Śląsk Opawski oddano Czechosłowacji.

Francja otrzymała Alzację i Lotaryngię, które Niemcy zagarnęły w 1871 roku.

Rejon Kłajpedy przypadł Litwie. Gdańsk stał się Wolnym Miastem.

Prowincja Poznań — czyli Wielkopolska — oraz część Prus Zachodnich przeszły do Polski. Polska otrzymała dostęp do morza, co uznano za „polski korytarz" w niemieckim terytorium. Prusy Wschodnie zostały przez ten „korytarz" oddzielone od Reichu, co później stało się zarzewiem wojny, a ściślej — pretekstem. W Prusach Wschodnich odbył się plebiscyt, który „wypadł" z korzyścią dla Niemiec. Natomiast wschodnia część Górnego Śląska przypadła Polsce.

Niemcy musiały zrezygnować z kolonii, ale utraciły je już w czasie wojny.

Niemcy miały zapłacić reparacje w wysokości 270 miliardów marek, ale odstąpiono od takiego żądania, obniżono je o połowę. Później jeszcze raz tę sumę obniżono, w rezultacie tych zabiegów zwycięskie mocarstwa otrzymały tyle, ile pożyczyły Rzeszy Niemieckiej.

Gdy Adolf Hitler doszedł do władzy

A stało się to 30 stycznia 1933 roku, kiedy został kanclerzem. Program przebudowy Europy był już gotowy. Niemcy musiały odzyskać dawny potencjał gospodarczy i znaczenie na arenie politycznej w Europie i na świecie. Musiały odzyskać utracone tereny i zdobyć nowe. Aby taki program zrealizować trzeba było złamać i odrzucić traktat wersalski.

Nim się jednak rozpoczął proces odchodzenia od traktatu wersalskiego i łamania jego postanowień, wydarzyły się fakty pozornie nie mające nic wspólnego z tym procesem. W marcu 1933 r. z wizytą we Włoszech bawił brytyjski premier Jems Ramsay Mac Donald. 18 marca 1933 roku Benito Mussolini — jak go Józef Beck nazywa — *„neofita między wielkimi mocarstwami"* zgłosił projekt zawarcia paktu czterech. Miał to być dyrektoriat Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch, które rządziłyby w Europie, rozstrzygając spory, decydując o losach mniejszych państw. Oczywiście — przede wszystkim w interesie owych czterech mocarstw, kosztem interesów państw mniejszych i słabszych. Z idei tej wprawdzie nic nie wyszło, choć wracała ona w różnej formie, aż „stała się ciałem" 30 września 1938 roku w Monachium.

W kilka dni później, bo 27 marca 1933 roku z Ligi Narodów wycofała się Japonia, najeżdżając zresztą Chiny. Adolf Hitler niezbyt długo czekał, aby wziąć przykład z Japonii. 14 października 1933 roku wycofał się z Konferencji Rozbrojeniowej, a 19 października — z Ligi Narodów. Włochy Benito Mussoliniego najechały Abisynię 3 października 1935 roku, a z Ligi Narodów wycofały się 11 grudnia 1935 roku. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, aby państwa te utworzyły wspólną płaszczyznę działania. 25 listopada 1936 roku Niemcy i Japonia utworzyły pakt antykominternowski. Włochy przystąpiły do tego paktu 6 listopada 1937 roku, a Hiszpania — 27 marca 1939 roku. Wybiegliśmy tu jednak nieco w przyszłość.

Warto jednak odnotować, że ZSRR wstąpił do Ligi Narodów 18 września 1934 roku.

Łamanie traktatu wersalskiego rozpoczęło się w wewnętrznej polityce Niemiec w marcu 1935 roku. 9 marca Niemcy uznały, że mają takie samo prawo do zbrojeń jak każde inne państwo. 16 marca wprowadziły powszechny obowiązek służby wojskowej. Reichswehra przekształcona została w Wehrmacht — niemieckie siły zbrojne. Odbyło się to bez protestów z zewnątrz. Jedynie przerażona Wielka Brytania zawarła układ z Niemcami, że ich flota wojenna nie przekroczy 35 procent tonażu floty brytyjskiej.

Nadszedł rok 1936

Stawało się już coraz bardziej wyraźne do czego zmierza faszyzm. 7 marca 1936 roku wojska niemieckie wkroczyły do zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii. Sprawa stawała się poważna. Tak ją przynajmniej odczuł minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej — Józef Beck. Wrócił akurat z Brukseli. Porozumiał się z prezydentem Ignacym Mościckim i marszałkiem Edwardem Rydzem Śmigłym i uzyskawszy ich aprobatę dla swoich postanowień, wezwał ambasadora Francji Leona Noela. Oświadczył mu, że w razie wystąpienia zbrojnego Francji przeciw Niemcom, Polska wypełni sojusznicze zobowiązania.

Takie stanowisko podyktowane było tym, że kilka tygodni wcześniej, gdy gen. Kazimierz Sosnkowski — wracając z pogrzebu króla angielskiego — przebywał w Paryżu i tam od ministra poczt, Georgesa Mandelema, osoby wpływowej w rządzie Alberta Sarrauta, usłyszał, że Francja liczy się z niemiecką okupacją Nadrenii i zareaguje na to zbrojnie. Skoro tak, to Polska stanie obok walczącej Francji. Ale we Francji tej pomocy nie oczekiwano ani nie chciano, Francja bowiem nie zamierzała interweniować, choć demilitaryzacja Nadrenii jej bezpośrednio zagrażała.

W tej sytuacji minister Józef Beck poprzez półoficjalną Agencję Informacyjną „Iskra" ogłosił komunikat, w którym powtórzył niemieckie uzasadnienia wkroczenia wojsk do Nadrenii. Francuzi mieli mu to później za złe. Ale Leon Noel zapisał bardzo trafną myśl dotyczącą przedstawianych tu wydarzeń:

„W takim samym stopniu, jak opór z naszej strony byłby ciosem, może śmiertelnym, dla rosnącego prestiżu Adolfa Hitlera, tak nasza rezygnacja była dla niego zwycięstwem, stanowiąc punkt wyjścia i podstawowy warunek jego późniejszych sukcesów...".

Adolf Hitler poczuł się więc silny i... bezkarny. Natomiast niektóre rządy europejskie — zagrożone. Ale nie niemieckim faszyzmem. Przeciwnie — Frontem Ludowym, który miał silne antyfaszystowskie zabarwienie. W maju 1936 roku zwycięża we Francji Front Ludowy, na czele rządu staje socjalista Leon Blum, następuje częściowa nacjonalizacja przemysłu zbrojeniowego. 16 lutego 1936 roku Front Ludowy zwycięża w wyborach w Hiszpanii. Do parlamentu wchodzi 16 komunistów. Rząd ogłasza reformę rolną, rozwiązuje organizacje faszystowskie, uznaje autonomię Katalonii. 18 lipca w Hiszpańskim Maroku i na Wyspach Kanaryjskich wybucha rewolta antydemokratyczna, faszystowska, na czele której staje generał Francisco Franco. Rozpoczęła się wojna domowa, która trwała do 1939 roku.

Siły lewicy chciały zatrzymać faszyzm, zdusić go, ale faszyzm był w natarciu. Na pomoc wojskom gen. Francisco Franco pośpieszyli faszyści z Włoch i Niemiec. W obronie republiki walczyły brygady międzynarodowe, a ZSRR dążył z pomocą wojskową. Ze starcia lewicy z faszyzmem zwycięsko wychodzi faszyzm, gdyż zagrożone i przerażone widmem światowej rewolucji siły prawicy złączyły się z nim i udzieliły mu poparcia.

W polskiej polityce zagranicznej

można wyróżnić dwie tendencje. Pierwszą — proniemiecką — reprezentował minister Józef Beck. Drugą — profrancuską — Generalny Inspektor Sił Zbrojnych (od 12 maja 1935 roku) marszałek Polski (od 10 listopada 1935 roku), Edward Rydz-Śmigły. Józef Beck — po śmierci Józefa Piłsudskiego — odgrywał w kształtowaniu polskiej polityki zagranicznej niewątpliwie najważniejszą rolę. Usiłował on balansować między dwoma wielkimi sąsiadami: ZSRR i Trzecią Rzeszą. Była to polityka trudna w realizacji i nie dająca — jak się okazało — pozytywnego rezultatu. Punktem zapalnym tej polityki — formalnie oczywiście — były sprawy polskie w Wolnym Mieście Gdańsku oraz niemieckie w „korytarzu". Nieformalnie natomiast Niemcy hitlerowskie nosiły się z zamiarem podbicia Polski.

W latach 1936—1937 w Berlinie narodził się pomysł wciągnięcia Polski do paktu antykominternowskiego. Polska odmawiała, co wynikało nie tyle z „sympatii" do komunizmu, bo tych nie było ani śladu, co raczej z wierności politycznej linii Józefa Piłsudskiego, nakazującej balansowanie między obydwoma wielkimi sąsiadami.

Profrancuska orientacja Edwarda Rydza-Śmigłego wynikała bardziej z tradycji niż politycznej koncepcji. Edward Rydz-Śmigły był zawodowym wojskowym, choć miał artystyczne zainteresowania i uzdolnienia, a armia polska u swego zarania i długo później wzorowała się na armii francuskiej. Istniała też — przynajmniej pozorna — zgodność interesów obu państw: Francji i Polsce zależało, aby Niemcy nie wzrosły niebezpiecznie w siły. Faktycznie jednak Francja nic przeciw temu nie robiła, a Polska nie mogła nic zrobić.

Obie te tendencje w polityce zagranicznej łączyła niechęć do ZSRR. Ale tu już zaciążyły lata wzajemnych złych stosunków jeszcze z czasów carskich, jak też niepotrzebna wojna 1920 roku, która obie strony nastawiła do siebie, jeśli już nie całkowicie wrogo, to zdecydowanie niechętnie. Były wprawdzie próby przełamywania tej niechęci, ale nie mające na polityczne stosunki większego wpływu.

I tak nadszedł rok kryzysu, rok 1938

W tym roku Adolf Hitler miał do rozstrzygnięcia dwie sprawy: aneksję Austrii oraz części Czechosłowacji. Już na początku 1938 roku w raportach dyplomatycznych napływających do MSW w Warszawie donoszono o niemieckich ocenach sytuacji w Austrii i Czechosłowacji. Na przykład 1 stycznia 1938 roku w poufnym raporcie posła RP w Austrii — Jana Gawrońskiego z rozmowy z ambasadorem Niemiec w Austrii Franzem von Papenem znajduje się prezentacja niemieckich poglądów w sprawie Sudetów.

„Co do Sudetów, Papen twierdził, że celem polityki niemieckiej jest zapewnienie elementowi niemieckiemu takiego w Czechach stanowiska, które by umożliwiło odzyskanie dawnej tradycji i historycznie uzasadnionej preponderancji na tym obszarze i dominującego wpływu na kształtowanie się jego losów. Jest to kwestia dla Niemiec kapitalnej wagi na przyszłość, ale też i nie cierpiąca zwłoki, gdyż urzędowa polityka czechizacji robi zastraszające postępy".

Czechosłowacja nie znajdowała się w łatwym położeniu. Powstała w 1918 roku jako państwo wielonarodowe. Granice CSR ukształtowały się dopiero w 1920 roku, przy czym nie można ich nazwać pokojowymi. Rodziły zadrażnienia i konflikty. Słowacy walczyli o autonomię. Podobnie Węgrzy na Słowacji. Z takimi samymi żądaniami występowali Niemcy w Sudetach. Również Polacy na Zaolziu domagali się powrotu do Polski.

W styczniu 1938 roku odbyła się rozmowa ministra Józefa Becka z ministrem Constantinem von Neurathem, dyplomatą niemieckim, późniejszym protektorem Trzeciej Rzeszy w Czechach i Morawach. Rozmowa toczyła się w obecności ambasadora RP w Niemczech, Józefa Lipskiego. Z rozmowy tej sporządzono najściślej tajne sprawozdanie. Oto fragmenty tego dokumentu.

„5. Odnośnie do Austrii Neurath uskarżał się, że stosunki nie układają się pomyślnie, mimo że on ze swej strony dokłada starań by je odciążyć. Natrafia on niemniej u Schuschnigga na specyficzny osobisty opór, tak że odnosi się pesymistycznie do możliwości złagodzenia sytuacji. Stosunki rozwijają się tak niepomyślnie, że Neurath nie wyklucza możliwości wybuchu od wewnątrz Austrii.

P. minister Beck wskazał, iż jeśli chodzi o Austrię, to łącza Polskę z nią stosunki gospodarcze. Specjalnych interesów politycznych tamże nie posiadamy.

6. Odnośnie do Czech Neurath zwrócił uwagę na to, iż stosunki z tym państwem układają się źle. Próby załatwień nie dają rezultatów. Istnieje tutaj różnica między zasadami głoszonymi przez p. Bensza i powtarzanymi przez posła czeskiego w stosunku do mniejszości sudeckich a rzeczywistością.

Minister Beck podkreślił, iż mimo liberalnej konstytucji Czechy prowadzą w stosunku do mniejszości najostrzejsze formy państwą policyjnego.

Minister Neurath podkreślił, iż gdyby Czechy były szły po pierwotnej koncepcji Masaryka, mogłyby się przynajmniej przez pewien czas utrzymać. Tak jak dziś rzeczy się przedstawiają, „wird dieser Blinddarm früher oder später ausgeschnitten werden müssen" (prędzej czy później ta ślepa kiszka musi być wycięta)".

20 maja 1932 roku kanclerzem Austrii został Engelbert Dollfuss. W swojej polityce wyrzekł się on unii gospodarczej i politycznej z Niemcami, zaprowadził rządy silnej ręki, zakazał działalności NSDAP. Był członkiem Partii Chrześcijańsko-Społecznej. Zbliżył się do Włoch i Węgier. Jego rządy zapoczątkowały konflikt z hitlerowcami tak w Austrii, jak i w Niemczech. Rozpoczęła się walka o władzę.

26 maja 1933 roku zdelegalizowano Komunistyczną Partię Austrii. W lutym 1934 roku doszło do krwawej rozprawy z socjaldemokratyczną opozycją i jej zbrojną siłą Schutzbundem. Zakazano działalności partii socjaldemokratycznej. 25 lipca doszło do nieudanego zamachu hitlerowców. Kanclerz Engelbert Dollfuss został zamordowany. Na granicy Austrii koncentracja wojsk włoskich.

Kanclerzem Austrii został minister oświaty w rządzie Engelberta Dollfussa — dr Kurt von Schuschnigg. Kontynuuje on dotychczasową politykę Engelberta Dollfussa. Następuje dalsze zbliżenie Austrii do Włoch. Ale Niemcy nie próżnują. W Austrii rozwija się ruch nazistowski. W polityce zagranicznej następuje zbliżenie Włoch i Niemiec. Stawia to Austrię w trudnej sytuacji. 11 lipca 1939 roku następuje jednak pojednanie. Kurt von Schuschnigg godzi się na wprowadzenie hitlerowców do rządu. Wydaje tym wyrok na siebie i dotychczasowy status Austrii.

W lutym 1938 roku w Berchtesgaden doszło do spotkania Kurta von Schuschnigga z Adolfem Hitlerem. Wicekanclerzem zostaje Arthur Seyss-Inquart. Kurt von Schuschnigg zostaje zmuszony do ustąpienia, a kanclerzem zostaje Arthur Seyss-Inquart. Ogłasza przyłączenie Austrii do Niemiec. 13 marca 1938 roku wojska niemieckie w Austrii.

Józef Beck odpoczywał w tym czasie w Sorrento. Felicjan Sławoj-Składkowski — premier rządu polskiego — słał depesze wzywające go do powrotu. Ale Józef Beck nie wracał. Uważał, że zajęcie Austrii przez Niemcy odwraca ich uwagę od Gdańska i Pomorza. Na Zamku odbyła się konferencja prezydenta Ignacego Mościckiego, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego i premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego. Zgodnie orzekli, że obrona Austrii nie leży w interesie Polski. Wprawdzie Edward Rydz-Śmigły zdawał sobie sprawę z tego, że Niemcy *„po pochłonięciu Austrii i Czechosłowacji mogą zwrócić się z kolei przeciw Polsce"*, ale wymyślono konflikt z Litwą, aby rozwiązać zadawniony spór i pozyskać ludzi żądnych sukcesów na międzynarodowej arenie. Pretekstem do rozpalenia konfliktu z Litwą było zabicie przez litewską straż graniczną żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza — Stanisława Serafina.

Postanowiono wymusić na Litwie nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Polską. Wystosowano ostrą notę. 18 marca 1938 roku marszałek Edward Rydz-Śmigły pojechał do Wilna, aby osobiście dowodzić wyprawą na Kowno. Ludzie krzyczeli entuzjastycznie:

— *Wodzu, prowadź nas na Kowno!!!*

Do wyprawy nie doszło, bo Litwa zgodziła się nawiązać stosunki dyplomatyczne z Polską. Postępowanie Polski wywołało niezadowolenie w Anglii i we Francji. Protestował też ZSRR, ale zajęty własnymi sprawami, poprzestał na proteście, co w konflikcie sudeckim pozwoliło zlekceważyć pomoc radziecką jako nieskuteczną. W raportach dyplomatycznych nadsyłanych z Moskwy do MSZ w Warszawie — drukowanych ostatnio na łamach „Historii i Życia", dodatku do „Życia Warszawy" — prezentowano dość wnikliwy obraz tego, co się w ZSRR działo, a szczególnie w armii, którą stalinowskie czystki pozbawiły wypróbowanych dowódców.

W Sudetach szykowano się do Tag der deutsche Arbeit — niemieckiego świętą pracy, 1 maja 1938 roku, które miało być masowymi demonstracjami przeciw Republice Czechosłowackiej. W czasie demonstracji w Chebie deputowany Georg Wollner powiedział nad wyraz szczerze:

„Z przyczyn taktycznych Henlein nie mógł przyznać się wcześniej do narodowego socjalizmu. Dziś już nie musimy być dwulicowi. Unosi się nad nami opiekuńcza dłoń 75-milionowego narodu niemieckiego oraz kanclerza Rzeszy, Adolfa Hitlera".

Konrad Henlein — to szef Sudetendeutsche Partei, która parła do rozbicia Republiki Czechosłowackiej i przyłączenia Sudetów do Rzeszy. Na 1-majowych demonstracjach roku 1938 członkowie tej partii zgodnym chórem skandowali hasła:

— *Ein Volk, ein Reich, ein Führer!!* — Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz.

— *Drogi Wodzu, wyzwól nas od Czechosłowacji!!!*

— *Żydzi precz, Czesi precz!!*

Gdy we wrześniu 1938 roku z Wiednia zacznie nadawać swe programy prowokacyjna rozgłośnia „Wahrelt siegt", to winowajcami nieporozumień między Niemcami w Sudetach a Czechami ogłosi *„komunistycznych podżegaczy, dywersantów i emigrantów"*.

Adolf Hitler już 29 maja 1938 roku ogłosił dyrektywę „Fall Grün" plan zbrojnej napaści na Czechosłowację.

„Powziąłem nieodwołalną decyzję zniszczenia w niedalekiej przyszłości Czechosłowacji za pomocą akcji wojskowej. (...) Wojna propagandowa musi zarówno zastraszyć Czechosłowację groźbami i zmniejszyć jej zdolność oporu, jak i dostarczyć mniejszościom narodowym wytycznych dla poparcia naszej wojny".

W Sudetach robiło się coraz niebezpieczniej. Dyrektywa dla Freikorpusu głosiła: *„...siać zamęt, palić, brać zakładników. Od jutra, 20 września 1938 roku, podejmować większe akcje również w porze dziennej"*. Rozlegały się więc na Sudetami strzały, niebo rozjaśniały łuny, ginęli ludzie. 28 września 1938 roku w Alt-Altenreuth — między Chebem a Mariańskimi Łaźniami, 140 henleinowców napadło na 15 żołnierzy Straży Ochrony Państwa. Zginęło trzech, czterech odniosło rany.

We wrześniu 1938 roku premier brytyjski Neville Chamberlain

trzykrotnie jeździł do Niemiec, aby nakłonić Adolfa Hitlera do ustępstw. Podczas sporu polsko-litewskiego Francja była skłonna rozluźnić znacznie sojusz z Polską. Później jednak, gdy konflikt sudecki narastał, minister spraw zagranicznych Francji — Georges Bonnet wysyłał telegramy do ambasadora Leona Noela, aby ten wysondował Polaków, jakie stanowisko zajmą w ewentualnym konflikcie. Odpowiedź Polski zarówno w maju, jak i czerwcu 1938 roku była niezmienna: — jeśli dojdzie do konfliktu Niemiec z Francją — Polska wypełni swoje sojusznicze zobowiązania.

Innej odpowiedzi trudno się było spodziewać, bo Polska chciała przy sudeckim ogniu upiec zaolziańską pieczeń. I upiekła, co wywołało falę entuzjazmu. Tylko komuniści byli temu przeciwni, ale komuniści w tej rozgrywce zupełnie się nie liczyli. Przestawali istnieć jako nielegalna nawet partia. Edward Rydz-Śmigły 12 października 1938 roku pojechał w glorii do Cieszyna, entuzjastycznie witany przez ludność. I choć generał Władysław Bortnowski — dowódca grupy zaolziańskiej — był uznawany za bohatera, to w kołach wojskowych „zdobycie" Zaolzia oceniano bardzo sceptycznie. Z myślą o przyszłej wojnie...

29 września 1939 roku do Monachium pojechali: premier Francji Eduard Daladier, premier Wielkiej Brytanii — Neville Chamberlain, na specjalne życzenie prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta — Benito Mussolini. Na miejscu już był kanclerz Rzeszy Wielkoniemieckiej — Adolf Hitler.

Postanowiono — nie pytając o zdanie ani Czechów, ani Słowaków — że Republika Czechosłowacka w czasie od 1 do 10 października 1938 roku opuści w stanie nienaruszonym Sudety, gdzie mieszkało 3 miliony Niemców. Siedemset tysięcy Czechów miało do wyboru: emigrować do Czechosłowacji lub pozostać i czekać cierpliwie, co z nimi zrobią Niemcy.

W zamian za zgodę Anglii, Francji i Włoch na rozbiór Czechosłowacji Adolf Hitler zobowiązał się zrezygnować z wszelkich dalszych roszczeń terytorialnych. Dał na to... słowo honoru.

Politycy „monachijscy" nie uratowali pokoju nawet na pełny rok. 1 września 1939 roku rozpoczęła się druga wojna światowa najazdem na Polskę. Błędy popełnione przez polityków kosztowały ludzkość 6 lat wojny i miliony poległych, zaginionych i pomordowanych. Mylić się jest rzeczą ludzką, ale nie dla polityków.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Miał to być pokój uratowany dla jednego pokolenia

„Rehabilitacja tych, którzy stali się w przeszłości ofiarami nieuzasadnionych politycznych oskarżeń, bezprawia, jest naszym partyjnym i społecznym obowiązkiem" — Tezy Komitetu Centralnego KPZR na XIX Wszechzwiązkową Konferencję Partyjną.

Jak zaświadczają niektórzy nasi badacze, tylko na Białorusi w latach 30. były poddane jeżowsko-beriowskim represjom setki tysięcy osób. Znaczną część z nich wysłano na wschód i północ kraju (Wyspy Sołowieckie, Workuta, Kołyma), a pozostałych likwidowano na miejscu, niedaleko od miejsca zamieszkania. Było to znacznie tańsze i nie przeciążało i tak już przepełnionego transportu kolejowego. Gdzie jednak konkretnie likwidowano te setki tysięcy, w jakiej ziemi spoczęły ich kości? (...)

Mamy niemało majestatycznych pomników wystawionych ofiarom niemieckiego faszyzmu, świadczących o bohaterstwie narodu białoruskiego wykazanym w walce z tym przeklętym wrogiem ludzkości, ale nic, jak dotychczas, nie przypomina młodym pokoleniom o ofiarach stalinizmu. Jest to błąd, którego tolerować nie wolno. O nich powinniśmy pamiętać — o nich, nie bohaterach, lecz niewinnych ofiarach tyrana, o nich, spracowanych robotnikach, o nich, głodujących kołchoźnikach, o pierwszych ludowych inteligentach, o kobietach i mężczyznach, którzy z kulą w potylicy padali do grobów, przez samych siebie wykopanych, bez przekleństwa, bez protestu, lecz z mizernym i tragicznym słowem na ustach: „Za co?".

Oni nigdy nie usłyszą odpowiedzi na to swoje pytanie — odpowiedzi na to pytanie powinniśmy udzielić my. Temu celowi służy publikacja dwóch autorów, którzy zrealizowali swój człowieczy obowiązek wobec narodu i historii.

Laureat Nagrody Leninowskiej
WASIL BYKAU.

(...) Człowiek, który dokonał przestępstwa i z nim żyje, jest przestępcą. Zdolny jest do czynienia zła nadal. Taki człowiek podlega karze. Kto wykazał skruchę i przez pokutę sumienia, wstyd i ból wrócił do stanu pierwotnego, by tworzyć dobro, ten się oczyścił, wrócił do człowieczeństwa. Tu tkwi duchowa istota życia i śmierci, wieczności i nieśmiertelności. Domaga się pełnej prawdy o zbrodniach lat 30. i 50., stanowi honor sumienia narodu.

Oczyszczenie sumienia niezbędne jest społeczeństwu, które dopuściło do ludobójstwa i zrodziło ludobójstwo — największą zbrodnię przeciw ludzkości. Skruchy, wiadomo, nie wykażą nie żyjący już zabójcy, ani *„cisi emeryci"*. Oczyszczać się powinny następne pokolenia, które nawet nie widziały tej tragedii, oczyszczać się powinny z win swoich przodków. Moralną pokutę powinny wziąć na siebie potomne pokolenia narodu, winny opłakiwać ofiary, ocenić przestępstwa. Taka jest duchowa dialektyka społeczeństwa. Musi być dokonany rachunek sumienia, by nie wróciła śmierć. Naród w całości, jak i każdy człowiek, ma swą indywidualność, z tą różnicą, że człowiek pojedynczy jest samotny, a naród stanowi zbiorowość, byt człowieka pojedynczego ograniczony jest jego wiekiem, a naród jest wieczny przez swoją historię.

Z. Pazniak: — *W młodości aż do bólu serca poruszyły mnie opowiadania ludzi, którzy wrócili ze stalinowskich więzień i obozów, omal z niebytu. Nie wówczas nie zapisałem, nie notowałem i z przerażeniem zrozumiałem swój błąd w zatęchłej atmosferze lat 70., gdy zobaczyłem, jak z wolna wszystko wraca, jak się folkloryzuje, jak się mitologizuje pamięć narodu o tych czasach, jak wręcz zanika ona — a poczwarne sceny z tych opowiadań pozostają w świadomości.*

Oto pędzą ludzi od miejsca do miejsca. W 20-stopniowy mróz przewożą w pociągu. Zatrzymują się na stacji. „Wszyscy rozbierać się — *komenderują konwojenci* — idziemy do łaźni". *Gołych ludzi na trzaskającym mrozie oblewają wodą ze szlauchów.* „Przyjemnych wrażeń — *kpią konwojenci* — a teraz spać". *I zamykają się drzwi. Nazajutrz z całego pociągu przy życiu pozostają nieliczni. Zlodowaciałe trupy ładowano na furmanki tak, by zwisały głowy, a jeden z katów rozbijał je siekierą. Widocznie był taki rozkaz — dla pewności. Mijają lata, a z pamięci nie znika zabójca trupów.*

Przywożą na Kołymę, wpędzają do pełnego szczelin, sklejonego z desek baraku, gwiżdże północny wiatr. Po pierwszej nocy połowa nie wstaje. Pozostali przy życiu stawiają wówczas zastygłe, zamarznięte trupy wzdłuż ścian, by zakryć szczeliny, by odrobinę się ogrzać. *I wyraziście wyrastają przede mną atlanty i kariatydy, ta architektura epoki, ten obraz — barak...*

Tak oto opowiadał Iwan Trafimawicz Smal — członek partii od 1917 roku, członek Homelskiego Komitetu Rejonowego:

— *W 1937 roku przepracowałem w Mohilowskich Zakładach Remontu Samochodów jako zastępca dyrektora. Zabrali mnie w ślad za bezmyślnym donosem pewnego komsomolca stachanowca: zakłady nie wyremontowały w terminie dwóch samochodów. Wepchnęli mnie do pomieszczenia, w którym stała szczelnie przytulona do siebie cała masa ludzi, nawet nie było możliwości poruszyć się. Ludzie dusili się z braku powietrza, wariowali, umierali stojąc, a trupy stały wespół z żywymi i gdy już nie było możliwości wciśnięcia nawet pół człowieka, nowych więźniów strażnicy rzucali na góry, na głowy żywych ludzi.*

By wymusić zeznania, więźnia zamykano w specjalnej komórce — ciemnej, niskiej na półtora metra, napełnionej lodowatą wodą. W jedynym suchym miejscu stała czarna trumna i tylko w niej mógł znaleźć człowiek ratunek przed chłodną wodą. Wiele osób wariowało w tej trumnie.

Iwan Trafimawicz Smal zniósł wszystkie katusze i nie poddał się, nie podpisał oskarżenia. Po upadku Nikołaja Jeżowa wypuścili go schorowanego i siwego... Traf chciał, że na początku lat 50., wstąpił z synem w swoich sprawach do Ministerstwa Opieki Społecznej BSRR. W holu natknął się na pewną siebie, elegancko ubraną kobietę z dumnie podniesioną głową o siwiejących włosach:

— *Dzień dobry, Iwanie Trafimawiczu* — nie powiedziała, a wręcz wyśpiewała głębokim głosem i poszła. Iwan Trafimawicz zemdlał na rękach syna.

— *Ojcze, kto to?*

— *To Bajkowa. Przed wojną była sędzią śledczym w Mohilowskim Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych.*

To ona katowała Iwana Trafimawicza Smala. Przed Bajkową drżeli wszyscy więźniowie. Sadystka ta prowadziła przesłuchania tylko mężczyzn, a w szczególności upodobała sobie katowanie byłych rewolucjonistów. Więźniowi rozkazywała rozebrać się do naga i tańczyć pod melodię walca „Na stokach Mandżurii", kazała również śpiewać; następnie brała specjalnie zrobiony do tych celów batog z drucianymi frędzelkami i biczowała po genitaliach i innych czułych na ból miejscach, doprowadzając siebie do ekstazy, a więźnia do omdlenia z bólu.

Przed 1937 rokiem syn Iwana Trafimawicza Smala uczył się w jednej szkole razem z synem Bajkowej (mąż Bajkowej był również funkcjonariuszem NKWD), bywał często u nich w domu, nie wiedząc o niczym. Uprzejma gospodyni w fartuszku częstowała cukierkami i herbatą...

J. Szmyhalou: — *W połowie lat 50. będąc podówczas kapitanem Armii Radzieckiej, służyłem w obwodzie wołgogradzkim. Tam poznałem starszego lejtnanta Piotra Uwarawa, który w latach 40. brał udział w wysiedlaniu Tatarów z Krymu. Opowiadał mi, że wszystkie rejony, w których mieszkali Tatarzy krymscy, były równocześnie otoczone przez wojska NKWD. Na zebranie się wyznaczono około godziny. Gromadzono wszystkich pod lufami automatów. Przy próbie ucieczki — śmierć. Tatarów spędzano do wagonów i odprawiano na Syberię i do Kazachstanu. W eszelonach karmiono ich wyłącznie solonką sardelą i śledziami, nie dając przy tym wody. Wielu z nich umierało — najpierw chorzy i starzy, a następnie inni. Na każdej stacji wyrzucano zmarłych. Ludzie błagali o litość, ale litości nie było. Cenne rzeczy i pieniądze konwojenci zabierali. O znęcaniu się nad Tatarami Piatr Uwarau opowiadał z rozkoszą, ze smakiem, uważał swoje postępowanie za słuszne, a stalinowski akt w sprawie Tatarów — wychwalał.*

Z. Pazniak: — *Powinna powstać Księga Pamięci Narodowej. Wstrząsają nami obrazy, powstające z opowiadań różnych ludzi:*

— *Pamiętam zimę 1938 roku, przechodziłem obok budynku NKWD* — wspomina mieszkaniec Mińska, Siarhiej Fiodarowicz Ładucka. — *Mróz aż dech zapierał, a z otwartych okien piwnic, jak spod ziemi, para wali przez kraty, niby z parowozu — tylu ludzi tam osadzono.*

Obraz razi niby piorun. Na górnych piętrach przemykają groźne ludziki umundurowane w kurtki ze sztywnymi kołnierzykami i w bufiaste spodnie wojskowe, składają meldunki, otwierają i zamykają teczki z papierami, ze skupieniem krążą z dokumentami, a pod nimi w wypełnionych do ostatka celach dyszy parą, krwią i potem stłamszony naród.

Dokąd pędzi ten parowóz, gdzie jest jego końcowa stacja?

Znaleźliśmy tę stację. Nie dawała spokoju myśl: gdzie zapodzieli się ludzie, których rozstrzelano? Gdzie są oni — nie jeden, nie dwaj, lecz tysiące? Na początku lat 70. na północnych krańcach Mińska, na lewo od szosy Łogojskiej nie dojeżdżając do obwodnicy, istniała jeszcze wieś Zialony Łuh. Starzy mieszkańcy tej wsi opowiadali nam, iż dwa kilometry na północ od ich wsi, między obwodnicą i drogą na Zasławl, w lesie, w latach 1937— 1941 każdego dnia i każdej nocy rozstrzeliwano ludzi, których przywożono tu samochodami. Tam na pagórkach rósł stary bór, wokół rozpościerały się, na całe przestrzenie, lasy. Kawałek boru o powierzchni 10—15 hektarów był ogrodzony wysokim, ponad trzy metry, szczelnym parkanem, wykonanym z desek w nakładkę — deska na deskę i obciągniętym z góry drutem kolczastym. Za płotem stała ochrona z psami. Ludzi dowożono tu drogą żwirową, która prowadziła od traktu łogojskiego na Zasłauje. Szlak nazywano wówczas *„drogą śmierci"*.

Rozmowy z mieszkańcami Zielonego Łuhu i okolicznych wsi: Cna-Jodkawa i Drazdowa — z naocznymi świadkami tych strasznych wydarzeń — pomogły ustalić nie tylko fakty, ale również odtworzyć obraz masowych zabójstw. Ogłoszenie tych informacji w latach 70. było jednak rzeczą niemożliwą.

W latach 1987—1988 odszukaliśmy niektórych mieszkańców zniesionej już do tego czasu wsi Zialony Łuh, znów zebraliśmy wypowiedzi starych mieszkańców i świadków tych zdarzeń z okolicznych wsi, wyjaśniliśmy różne okoliczności, szczegóły, zanotowaliśmy odpowiedzi na nasze pytania...

Rozstrzeliwania rozpoczęły się tu w 1937 roku. Najpierw przeprowadzano je trzy razy dziennie: rano, o godzinie 14.00 i wieczorem, już po zmroku. Do lasu przywożono ludzi po kilka samochodów naraz i rozstrzeliwano. Trupy zrzucano do wcześniej przygotowanych głębokich dołów, warstwa za warstwą. Wypełniony dół zasypywano warstwą piasku nie grubszą jak 20—25 centymetrów. Czasami na górze sadzono sosenkę.

W drugiej połowie 1937 roku miejsce to ogrodzono, skazańców do rozstrzeliwania zaczęto przywozić według innego rozkładu: po południu, pod wieczór i przez całą noc. Wożono ich nieustannie każdego dnia. Nasi informatorzy nie pamiętali, czy były przerwy w niedzielę.

— *Strzelali codziennie* — opowiada mieszkanka wsi Cna Kaciaryna Mikałajeuna-Bahajczuk (ur. 1919) — *ciągle było słychać szum samochodów. Często, gdy tylko nadchodził wieczór, mężczyźni zbierali się w gromadkę, wychodzili na podwórka, nasłuchiwali jak strzelają. Porozmawiali po cichu, ponarzekali i rozchodzili się.*

— *Innym razem po kilka samochodów jednocześnie wjeżdżało na ogrodzony teren, wozili bez przerwy* — opowiada Daria Ihnatauna-Touseik ze wsi Cna (ur. 1911) — *a droga w lesie była ujeżdżona, jak asfalt. Gdy zaczynali strzelać, słychać było jęki, płacz, przeklinanie.*

— *Cała wieś drżała ze strachu. Przez pięć lat nie mogliśmy spać w nocy z powodu strzelaniny* — mówi stary mieszkaniec Cny — Roman Mikałajewicz-Bacian (ur. 1913).

Potwierdza to Mikołaj Piatrowicz-Michajczyk (ur. 1929) i inni mieszkańcy Cny.

— *Ze starszych chłopców najodważniejsi przelazili nawet przez płot* — mówi Mikałaj Piatrowicz — *lub robili otwory w ogrodzeniu i wiele widzieli.*

Zapytaliśmy, czy został ktoś z nich przy życiu?

Odpowiedziano: — Karpowicz Mikoła.

Mikałaj Wasiljewicz Karpowicz urodził się w 1919 roku, postawny, jeszcze dość krzepki człowiek. W 1939 roku poszedł do wojska. Los rzucał go po świecie i po różnych frontach. W latach 1937—1938 niejednokrotnie widział, jak zabijano ludzi w lesie. Groby kopano, widocznie, w pierwszej połowie dnia, bowiem pod wieczór, a często nawet zaraz po południu, gdy zaczynały zajeżdżać samochody, doły były już wykopane. M. Karpowicz opowiadał, że ludzi zabijano całymi grupami. Stawiano ich w rząd, kneblowano każdemu usta czopem i zawiązywano szmatą — by nie wypluł knebla. Zabójcy byli w mundurach NKWD. Strzelali z karabinów z boku, w głowę pierwszego w szeregu, by jednym pociskiem porazić jednocześnie dwie osoby.

— *Po strzale* — mówi Mikałaj Wasiljewicz Karpowicz — *dwie osoby padały do dołu. Amunicję oszczędzano. Po rozstrzelaniu grupy przesypywano ją warstwą ziemi, poprawiano trupy, by było równo i podprowadzano następną grupę. Po napełnieniu dołu do samego wierzchu zasypywano piaskiem i wyrównywano.*

— *Pewnego razu* — opowiada M. Karpowicz — *spotyka mnie wartownik z Malinauki* (wieś położona 4 km od omawianego miejsca) *zdenerwowany, poruszony.* — Już nabili, *mówi,* idź zobacz, nawet nie zasypali... *Podeszliśmy do płotu, który stał przy drodze, a tu w dole duża, szeroka jama, do samej góry zapełniona trupami:* — Leżą, braciszku, w rzędzie, jak prosięta.

Pytanie?: — Czy zdarzyło się, by ktoś się stamtąd uratował?

— *Jak stamtąd można się było uratować, przy takim płocie* — odpowiada Mikałaj Karpowicz. — *Prawda, raz pod wieczór, szarzało już, szedłem przez las z Zialonego Łuha do Cny z jednym naszym. Było jakoś niesamowicie. Akurat strzelać przestali. Widzimy, siedzi człowiek pod drzewem w zakrwawionej bieliźnie, ledwie żywy. Podeszliśmy, lecz nie wiemy, co robić! Aż tu zawarczał samochód. Odskoczyliśmy stamtąd, idziemy. Naprzeciwko wychodzą dwaj z NKWD:*

— Kim jesteście?

— *Jesteśmy z Cny.*

— Nikogo nie widzieliście?

— *Nieee, ale, siedział ktoś tam dalej* — zadrżał chłopina.

Obejrzeliśmy się, a tamtego za nogi wloką. Wrzucili do samochodu jak polano i pojechali. Ale jak on stamtąd wydostał się — do tej pory nie mogę zrozumieć...

A jednak się zdarzyło. Było to w roku 1938. Pewien skazaniec uciekł przed rozstrzelaniem.

— *Przez płot i nie znaleźli* — twierdzi Maryja Ryhorauna Paciarszuk z wioski Cna (ur. 1911). — *Jeden człowiek... Może on jeszcze gdzieś żyje? Może przeczyta te słowa i odezwie się?*

Maryja Ryhorauna potwierdza, że przed rozstrzelaniem skazańcom zatykano usta czopem. Mówi o tym również i mieszkaniec wsi Drazdowa-Skwarczeuski, Wasil Jakaulewicz, (ur. 1930) i inni. Wielu mimo to słyszało krzyki, płacz, błaganie o litość. Może nie starczało knebli? Najwidoczniej chodziło o co innego. Człowiek, który przez długi czas regularnie zabija ludzi, stopniowo staje się sadystą. Rodzi się w nim żądza męczenia swej ofiary, zanim ją zabije. Tak i męczono ludzi przed śmiercią.

I nie o oszczędność nabój chodziło, gdy zabójcy jednym pociskiem starali się przeszyć jednocześnie dwóch rozstrzeliwanych. Była to swego rodzaju brawura, sport dla katów, demonstracja profesjonalizmu. M. Karpowicz widocznie zobaczył akurat ten nietypowy sposób rozstrzeliwania z karabinu. Przepytaliśmy drobiazgowo wszystkich, którzy słyszeli strzały i tych, którzy widzieli jak zabijano, lub słyszeli od tych, którzy widzieli i doszliśmy do wniosku, iż strzelano zasadniczo z naganów i pistoletów (co potwierdzały późniejsze rozkopywania grobów).

— A czy strzały były głośne? — pytam Walancinę Michajłounę. Zzachanawaj (ur. 1929) z wioski Cna.

— *Nie* — odpowiada — *brzmiały sucho:* „chłop, chłop, chłop", *ale rozlegały się cały czas. Postrzelają, potem pomilczą i znowu:* „chłop, chłop, chłop".

Walencina Michajłauna była również wewnątrz tej „duszahubki". Podkopali się pod płotem z synem sąsiada i przeleźli za ogrodzenie, by uzbierać *jagód* — a mieli wówczas po 10—12 lat. Zobaczyli tam rozkopaną ziemię i dużo zasypanych dołów. Gdy wyleźli z jagodami, natknęli się na wojskowego:

— *Stój! Wysypuj!* — rozkazał chłopakowi. Zabrał jagody i jak nie warknie: — *Zmykać stąd!*

Rozstrzeliwania trwały aż do wybuchu wojny.

Podczas wojny mieszkańcy okolicznych wsi rozebrali płot wykorzystując materiały do celów gospodarskich. Stary bór wkrótce ścięto i rozszabrowano. Obecnie na tym miejscu wyrósł już powojenny las z 40—45 letnimi drzewami.

— A Niemcy tam nie rozstrzeliwali? — pytam Walencinę Michajłaunę.

— *Nie. Niemców tam nie było, nie rozstrzeliwali* — odpowiada.

Pytanie to stawialiśmy każdemu informatorowi. Wszyscy odpowiadali jednakowo.

Wstrząsająca relacja o zbrodni pod Mińskiem zamieszczona w białoruskim czasopiśmie „Litaratura i Nastactwa".

Kurapaty –

Tajemnicze zniknięcie pułkownika Janusza Albrechta

ze str. 1

den z chłopców w bramie domu. Obydwie zdają sobie sprawę, że jest to tylko działanie psychologiczne. W razie najścia Niemców nic ich nie uratuje. Nawet zaplanowana droga odwrotu na dach. Najpewniejszy jest cyjanek, który wzięła z sobą.

Do pokoju „Wojciecha" wprowadziła je pani Hubertowa. Opowieść o chorobie i wysokiej gorączce swego lokatora potraktowała z wielką wyrozumiałością i niedowierzaniem.

— Muszą panie zabrać rzeczy osobiste chorego. Proszę bardzo. Tylko dobrze szukajcie, bo te najpotrzebniejsze musiał mieć dobrze schowane.

Nie krępując się już gospodynią przeszukują wszystkie skrytki. Są puste. Kilka drobnych notatek ukrytych w fortepianie nie stanowi istotnego zagrożenia.

Pani Hubertowa żegna je serdecznie.

— Gdzie w razie czego mam panią szukać?

Obydwie wiedzą, że idzie o gestapo, o Niemców. „Herminia" wierzy sympatycznej pani. Podaje telefon sekretariatu szkoły Plenkiewicza na rogu Wspólnej i Marszałkowskiej — tam uczy, tam można jej zostawić wiadomość.

Tymczasem kontrwywiad działa bezbłędnie, jak dobrze naoliwiony zegarek. Pierwsze poszukiwania zaginionego szefa sztabu nie dają rezultatów. W więzieniach na Pawiaku, Mokotowie, w gestapo w alei Szucha, w warszawskich szpitalach i pogotowiu nie ma nikogo o nazwisku Jankowski, ani też nikogo, kto choć trochę by przypominał z rysopisu pułkownika. Sprawa zniknięcia „Wojciecha" stawała się coraz bardziej tajemnicza i niejasna.

„Jan" wrócił z urlopu. „Herminia" dostaje rozkaz stawienia się w jego lokalu przy ulicy Piusa 16A. Generał jak zwykle spokojnie, bez zbędnych pytań, wysłuchuje meldunku. Na twarzy nie drgnie mu ani jeden muskuł. Nie dał tego po sobie poznać, ale jest zaskoczony.

— Bardzo słusznie zrobiliście. Nie wolno ujawniać, że zniknął. Prawda może działać na żołnierzy deprymująco. Podawać, że rozchorował się na tyfus.

— Czy ma pan generał jeszcze jakieś polecenia?

— Tak, kontrwywiad musi stanąć na głowie. Idzie przecież nie o szeregowego żołnierza, lecz o Komendę Główną. Na wszelki wypadek łączność związaną z „Wojciechem" zawiesić. Pani i wszelkie kontakty pułkownika są od tej chwili w dyspozycji kontrwywiadu.

„Herminia" była pewna, że zniknięcia szefa nie można ukrywać przed żoną. Zresztą jej informacje mogłyby być jakimś śladem. Pani Maria Albrechtowa przyszła na Pole Mokotowskie. Spotkały się na końcu marszałka. Nie. Nic nie wie.

— W poniedziałek rano — mówiła zrozpaczona — jak zwykle wyszedł z willi państwa Matusewiczów przy ulicy Filtrowej. Tam — jak pani wie — spotykam się z nim. Miał pójść prosto do swojego pokoju u państwa Hubertów.

Wyklucza wszelkie sprawy osobiste, chorobę. Wiedziałaby o tym. Dalej nic nie wiadomo. Oficerowie kontrwywiadu wraz z „Oskarem" bezradnie rozkładają ręce.

Dopiero po czterech dniach przychodzi pierwsza wiadomość. Nitka, która może prowadzić do kłębka. Do szkoły zadzwoniła pani Hubertowa. Umówiła się z „Herminią" w Ogrodzie Pomologicznym między Wspólną a Nowogrodzką, naprzeciw kościoła na Koszykach. Przez telefon była tajemnicza, mówiła półsłówkami.

Siadły na ławeczce wciśniętej między chaszcze a grządki ogródków działkowych założonych przez mieszkańców.

Pani Hubertowa była podniecona.

— W parę dni po waszej wizycie zjawiło się u mnie dwóch takich.

— Polaków?

— Nie wiem. Mówili po polsku. Jeden z nich brunet. O takim wystającym, końskim uzębieniu. Mieli ze sobą klucze.

— Klucze? — zdziwiła się Zakrzewska.

— A tak. Klucze pana Jankowskiego od mieszkania. Mówili, że został zatrzymany przez policję kryminalną. W związku z kradzieżą w sklepie, gdzie prowadził księgowość.

droga śmierci

— *Niemcy tą miejscowością nie interesowali się.*

— Jak wyglądały te miejsca po rozebraniu ogrodzenia? — pytamy W. Szachanawaj.

— *Wszystko było spulchnione: piach i wysoka trawa. I bardzo dużo czerwonych grzybów, takich pąsowych, na cienkich nóżkach. Jakby krwią przesiąkniętych. Mówiono — krew ludzka wykiełkowała.*

O czerwonych grzybach na grobach wspominało wielu ludzi. Uważali oni, że te grzyby wyrosły z przelanej krwi. Znowu folklorystyczny obraz męczeństwa, pomyśleliśmy. Później okazało się, że ludzie mówili prawdę. Grzyby te to twardzioszki czosnaczki. Rosną na głęboko skopanym piachu i mają zapach czosnku.

Ciężko się rozmawia ze starymi kobietami o tych czasach:

— *O, moje dziateczki, iluż to dobrych ludzi wystrzelano!* — zawodzi Kaciaryna Mikołajeuna Bahajczuk. — *Chociażby im pomnik jaki postawić!*

I płacze...

— *Szczególnie strasznie było w nocy* — mówi Nadzieja Jafimauna Chomicz, (ur. 1922) z Zialonego Łuhu. Przed wojną mieszkała w Bobrujsku, ale często przyjeżdżała do siostry mieszkającej w Zialonym Łuhie. Dom jej stał w pobliżu lasu.

— *Ciągłe strzały, szczekanie psów, krzyki, zawodzenie.*

Również płacze...

— *Psy były złe, widocznie głodne* — dodaje Sonia Andrejeuna Kozicz (ur. 1925), również z Zialonego Łuhu — *A strzelano prawie bez przerwy, zwłaszcza w nocy.*

— *Wiele było wszędzie rozpryskanej krwi* — opowiada Maryja Iwanauna Paciarszuk, (ur. 1925) z Cny — *Jęki, jęki, jęki. Jęczeli nawet zakopani...*

Wiera Flodarauna Touścik (ur. 1933) z Drazdowa, pamięta, że gdy miała siedem lat, wraz ze starszymi dziećmi biegała przyglądać się zabójstwom. Wspomnienia przetrwały we fragmentach. Oto co zachowała dziecięca pamięć: zasypane świeżym żółtym piachem doły i krew na trawie.

— A piach nad dołami jeszcze się ruszał, jakby oddychał.

Pytanie: — Czy zabrano kogokolwiek z Drazdowa?

— *Nie pamiętam, byłam mała. Starsi opowiadali, że z wiosek brali. Jeździł samochód. Przychodzili w nocy i mówili:* — Zbierać się! — *Dokąd* — *nie wyjaśniali. I tak człowiek zbierał się, kładł do torby kawałek chleba, słoniny. A potem ich zawożono oto tam i rozstrzeliwano do dołów. Czy nie znajdzie się ktoś, kto by im pomnik postawił? Ileż ludzi wybito! Ileż narodu wpędzono do grobu!*

Matruna Mikałajeuna Mantasoua (ur. 1914) z Zialonego Łuhu opowiada, że w 1937 roku zabrali dwóch mężczyzn — Stryhawych z Padbałoccia.

— Kim oni byli? — pytamy.

— *Zwykłymi ludźmi, robotnikami.*

— Za co ich zabrali?

— *Nikt nie wie. Wtedy nie mówiono i nie pytano. W nocy po wsiach samochód, buda taka krążyła, „czorny woran" (czarny kruk) nazywana. Ludzi zabierano i odwożono i do dnia dzisiejszego nikt nie wie, gdzie oni są. Być może tu spoczywają... Zabrali również męża Tani Matusewicz i nauczyciela, który obok mieszkał. Nazwisk pozostałych osób nie pamiętam. Wszyscy mówili, że po wsiach zabierają. Iluż dobrych ludzi wytracili! Teraz pomnik by im postawić... Tak znęcano się nad narodem.*

W. Szachanawa poinformowała, że pamięta, jak zabrano trzy osoby z sąsiedniej wioski Jakubawiczy.

— Za co?

— *Mówią, że jeden na drugiego w złości nagadał — i wszyscy zginęli. U nas w Cnie zabrali nauczyciela Arsienia Pauławicza Hruszu. Dobry był człowiek.*

Walancina Michajłauna powiedziała, że słyszała w tym czasie rozmowy starszych ludzi o tym, jak robiono naciski na pewnego aktywistę-brygadzistę ze wsi Cna, by „dostarczył" niezbędną liczbę „wrogów ludu".

O aresztowania w okolicy pytamy Maryję Ryhoraunę Paciarszuk:

— *Z Chmarszczyzny* (wieś ta już nie istnieje) *zabrano trzy osoby: Andreja Filipowicza, Sciapana Ciarluka, a nazwiska trzeciego nie pamiętam, był to jakiś nowy.*

— Czy słyszeliście o propozycjach lub domaganiu się, by wydać *„wrogów ludu"*.

— *Od 1937 roku przewodniczącym rady miejskiego* (należeliśmy wtedy do papiernianskiej rady wiejskiej) *był Bacian Cimafiej Wasiljewicz. Właśnie jego pytano, czy nie ma tu „takich"? Odpowiadał stale, że u niego nie ma.*

— Pytanie: — Czy w jakimś innym miejscu w okolicy rozstrzeliwano ludzi?

— *Tak, rozstrzeliwano — w Zdanowiczach, koło Barawej, koło Drazdawa, na prawo od kolejki wąskotorowej* (obecnie tej wąskotorówki nie ma) *i w Mińsku za parkiem Czaluskineuca, tam gdzie obecnie jest fabryka Wawiłowa.*

Pytanie do M.R. Paciarszuk, D.I. Touścik i M.J. Paciarszuk (deputowany do rady wiejskiej, członek KPZR):

— Co obecnie należałoby z tym terenem zrobić? Miasto jest przecież tuż obok, obwodnica naruszyła groby?

— Postawić pomnik — zgodnie odpowiadają wszyscy.

Spotkaliśmy również ludzi, którzy opowiadali o tych wydarzeniach niemal szeptem. Prosili, by nigdzie nie zamieszczać ich nazwisk. Niektórzy zbywali nas milczeniem, a np. Mikałaj Wasiljewicz Ihnaszau (ur. 1914) z Zialonego Łuhu, który przewojował całą wojnę dochodząc aż do Berlina, powiedział nam tylko tyle, że bał się nawet zbliżyć do tego płotu, bo kto zań zaszedł, już stamtąd nie wracał.

A byli i tacy ryzykanci, którzy zabawiali się wykopując kieś inne znamiona. Wyjaśnić tę zagadkę może po części tzw. „planowa gospodarka" prześladowań.

W latach 30. Wiaczesław Mołotow powiadomił Józefa Stalina, że brakuje więzień, a najważniejsze — skarżył się Mołotow — aresztowanych „trzeba karmić". A w kraju panował wówczas głód. Wtedy właśnie na szeroką skalę rozbudowano system obozów, zaczęto stosować zabójstwa ludzi w drodze na zesłanie, zabijanie chłodem i morzenie głodem, itp. Zastosowano przy tym planową, „postępową" metodę. Każde miasto, każdy rejon itd. otrzymał swoisty rozdzielnik. Represje przeprowadzano zgodnie z harmonogramem. Wytworzyło się „współzawodnictwo" za wykonanie i przekroczenie planu represji (wykrywanie „wrogów ludu"). Liczbę indywidualnie ujawnionych „wrogów" podawano w sprawozdaniach, wystąpieniach, w prasie. Gdy jednak rozdzielnika nie zrealizowano, a kończył się okres planowy — chwytano byle kogo. Wtedy właśnie krążyły „czarne kruki" po wsiach.

Okolica obok drogi zasławskiej nosiła nazwę „Brod". Dawniej w pobliżu tego miejsca rozciągały się bagna.

— A czy miało dawniej nazwę to miejsce, które potem zostało ogrodzone, ten bór na pagórkach? — zapytaliśmy mieszkańców Drazdowa.

— *Tak* — odpowiedzieli. *Miejsce to nazywało się Kurapaty.*

— A dlaczego?

— *Bowiem wiosną rosły tam masowo białe kwiaty — kurapaty — zawilce. (...).*

Niezwykle przykre wrażenie pozostawiają Kurapaty.

Z południowej strony miejsce to podcięła obwodnica, zbudowana tutaj w 1957 roku. Właśnie wtedy wydobywano tu kości i czaszki. Wspinamy się po stoku, wchodzimy do lasu i od razu napotykamy groby — niezliczoną liczbę zapadniętych porosłych dołów. Ludzie przegnili i ziemia opadła. Doły różnych rozmiarów: 2x3, 3x3, 4x4, 6x8 metrów i większe. Zagłębienia dochodzą do 70—80 cm. W części centralnej pasmo pagórków. Na stokach i w dolinkach wciąż zapadnięte doły, wciąż doły... Tylko na samym szczycie pasma jest prawie równo, prawdopodobnie dawniej była tu droga. Być może podjeżdżały po niej samochody, by w nocy oświetlić teren reflektorami. Z południowej strony odnaleźliśmy miejsce, gdzie stało ogrodzenie. Dobrze widoczny jest rów, który był przed ogrodzeniem, a o którym opowiadali nam mieszkańcy okolicznych wsi. Po ledwie zauważalnych dołkach poznajemy, gdzie stały słupy: w odległości czterech metrów jeden od drugiego.

Doły różnią się rozmiarami. Być może miały różne głębokości i dlatego nie udaje się dokładniej ustalić według grobów liczby zabitych.

W latach 70. na Kurapatach było jeszcze względnie cicho. Obecnie przybliżyła się tu dzielnica Mińska Zialony Łuh-6. Gdy przychodzi się na groby, ogarnia człowieka rozpacz, jest o bowiem obecnie rejon odpoczynku mieszkańców Mińska. Bawią się tu dzieci...

Z. Paźniak: — *1 maja 1988 roku było tutaj tłumnie i wesoło jak na bulwarze. Ludzie odpoczywali całymi rodzinami, w wesołym towarzystwie. Na mogiłach, palili ogniska, tutaj też jedli, pili, smażyli szaszłyki, grali na gitarach, grali w karty, wyłamywali gałęzie, ścinali drzewa; chrypiały tranzystory. Ktoś ogałaca brzózkę, co wyrosła w zapadlinie grobu — chce skosztować soku. Dziwię się, dlaczego nie płynie z niej krew. Jasne — ludzie nic nie wiedzą. Nie wiedzą, iż pod nimi spoczywa całe pokolenie. I znowu jawi się w świadomości obraz, jak tamten obraz parowozu, tylko w szaszłykowym dymie.*

J. Szmyhalou: — *Gdy umierają „cisi emeryci", którzy przyczynili się do tego zapomnienia, to kładą ich do trumny, na pogrzebie mówią o nich ciepłe słowa, gra orkiestra, a dla tych, co tu spoczywają, orkiestrą było ujadanie psów i wystrzały z natanów. A jak cierpiały dzieci, jak cierpiały rodziny represjonowanych! Nie! Trzeba pamiętać o wszystkim. I niech po śmierci każdemu będzie oddane to, co mu się należy.*

Przegląd niektórych grobów wywołał u nas zatrważające podejrzenia.

Spostrzegliśmy zbyt głębokie zapadliska, a po bokach gdzieniegdzie kopczyki, jakby tu wcześniej ktoś kopał. Niektóre doły były świeżo rozkopane na głębokość jednego metra. Nigdzie ani kosteczki. W jednym grobie uczniowie pogłębiają ziemiankę. Głębokość ponad jeden metr. Na dnie sypki, niezależały, niedawno zruszony piach. Niepokój nasz się wzmocnił, gdy przypomnieliśmy sobie opowiadania pewnego wieśniaka (który zastrzegł sobie incognito) o tym, że zaraz po wojnie przez długi czas grzebali tu żołnierze.

5 maja 1988 roku grupa archeologów z Instytutu Historii Akademii Nauk BSRR rozkopała jeden z grobów. Szybik poszukiwawczy w środku zapadliska wykopano na głębokość 1,5 metra. Żadnych wyników — ciągle czysty piach.

To odkrycie poraziło całą naszą grupę, składającą się z pięciu osób, nie mniej niż sam fakt masowych prześladowań. Jak mogliśmy nie docenić ich podłości! Oto kto grasował tutaj po wojnie! Likwidowano ślady, a to znaczy, że już wtedy wiedziano, co wyprawiano! Gdzie ta wasza „uczciwa" wiara w słuszność waszych spraw, w słuszność waszych decyzji! Okazuje się, że baliście się jeszcze wówczas. Dokonać takiej ogromnej i wyczerpującej, egipskiej wręcz pracy! Wykopać tyle trupów! Gdzie je ukryto? Wywieziono i zakopano? Spalono? To nie byle płotka wydała rozkaz przeprowadzenia ekshumacji. Beria? Canawa? Malenkow? — Kto?

Jeszcze tego dnia okazało się, iż zabójcom nie udało się zatrzeć śladów. Podeszli do nas chłopcy, którzy 1 maja 1988 roku kopali ziemiankę w zapadłości grobu. Poprowadzili nas na drugą stronę penetrowanego obszaru. Rozrzucili świerkowe łapki, przykrywające zagródkę z żerdzi i ujrzeliśmy stos przestrzelonych ludzkich czaszek, stos kości, skórzanego i gumowego obuwia.

Pogłębiając swoją ziemiankę do dwóch metrów chłopcy natknęli się na stos ludzkich kości. Była to niższa warstwa grobu.

Przypomnijmy, że NKWD-ziści, po rozstrzelaniu jednej grupy ludzi, przysypywali trupy i wyrównywali dno. Podczas ekshumacji żołnierze wybrali kości do głębokości dwóch metrów i widocznie zdecydowali, że dół się kończy. A może po prostu „odwalili robotę", gdy dozoru nie było w pobliżu. Rzeczywista głębokość grobu — 2,8 m, powierzchnia 3x3 m. Chłopcy starannie wybrali połowę warstwy ludzkich szczątków (23 szkielety). Między szkieletami znaleźli porcelanowe i emaliowane kubki, skórzaną portmonetkę z radzieckimi kopiejkami z lat 30. (ostatnia data na monetach — rok 1936), szczoteczkę do zębów w futerale produkcji fabryki witebskiej, dużo pustych, wystrzelonych łusek od nagana średnicy 7,5 mm i okrągłe połamane okulary w cienkiej metalowej oprawce. Na wszystkich gumowych kaloszach znaki firmowe krajowych fabryk i data produkcji — 1937. rok. Znaleziono również męskie skórzane buty i oburwie damskie. Dziury od kul występują w czaszkach przeważnie na potylicy, gdzie często widać po dwa otwory, umiejscowione obok siebie. W kilku czaszkach otwory występowały na skroniach, na czole a nawet z góry głowy (po dobijaniu w dole). Wszystkie wejściowe otwory mają średnicę 7,5 mm.

O czym mówią te znaleziska? Groby zostały napełnione w w latach 1937—1938. Rozstrzeliwano z naganów. Ludzi rozstrzeliwano, widocznie, bez sądzenia, bez ogłoszenia wyroków śmierci. Spoczywają tu ze swoimi zawiniątkami, zabranymi, gdy kazano „zbierać się", z kubeczkami, ze szczoteczkami do zębów, a nawet miedziakami. Na rozstrzeliwanie widocznie nie szykowali się.

A oto nazwiska chłopców, którzy dopomagali nam w trudnych poszukiwaniach: Ihar Baha (szkołę już skończył i pracuje jako murarz) oraz uczniowie szkoły nr 171 z Mińska, Wiktar Piatrowicz i Aleksander Makruszyn.

Drugi dół — grób był naruszony podczas przeprowadzania wykopu pod gazociąg, biegnący szczytem pasma pagórków przez Kurapaty. Grób nieduży, położony w oddali od byłego szlaku skazańców. Podczas ekshumacji widocznie „zgubili" go, zapomnieli przekopać. Robotnicy Kombinatu Budowlanego „Bielspiecmantaż" Państwowego Komitetu Gazyfikacyjnego BSRR, a potem dzieci, wygrzebali tutaj kości i 15 przestrzelonych czaszek, 20 par obuwia skórzanego i kaloszy. Między innymi — resztki damskich pantofli. Na kaloszach znaki firmowe krajowych fabryk i data 1939 rok. Na jednym kaloszu znak firmowy ryskiej fabryki i napisy po łotewsku. Data — 1939 rok. Jest to grób z 1940 roku, w którym pośród innych został pogrzebany Łotysz (z Łotwą, wydaje nam się, kaloszami podówczas nie handlowano).

Na temat tych wykopalisk został sporządzony dokument i powiadomiona baraulanska rada wiejska. Przewodniczący rady Siarhiej Iwanawicz Czaczaniec odniósł się ze zrozumieniem do informacji o grobach. Została nawet powołana komisja dla wyjaśnienia okoliczności z tym związanych i ponownego pochowania ludzkich szczątków. Kości zebrano do specjalnej trumny.

W chwili obecnej w pierwszej kolejności należy ustawić odpowiednie tablice przy Kurapatach z informacją o tym miejscu, by ludzie wiedzieli, że nie jest to miejsce pikników i odpoczynku. Nie sądzimy, by ekshumacja wszystkich grobów, sądząc z tego, co odkryliśmy, została przeprowadzona w latach 40. do końca. Na dnie tych głębokich grobów na pewno leżą jeszcze tysiące zabitych. Niezbędne jest również ponowne publiczne pochowanie odkopanych szczątków. Należy też pomyśleć o wzniesieniu w omawianym miejscu pomnika ofiar represji stalinowskich.

I jeszcze jedna sprawa: — Darować winy, czy też ukarać zabójców. Pomyśl, czytelniku o tym sam.

My sądzimy, że ludobójstwo nie może ujść bezkarnie. Tych, którzy to uczynili, nie powinien obejmować okres przedawnienia. Gdy jest się w głębokim, chłodnym, trzymetrowym dole, usłanym trupami, gdy bierze się do ręki śliską podeszwę od małego nie większego niż 34 rozmiar żeńskiego pantofla — rozumie się to jednoznacznie.

...A. oni wciąż jeszcze próbują mówić o jakichś „zasadach".

ZIANON PAZNIAK
JAŪHIEN SZMYHALOU

— I to wszystko?

— Nie. Pytali o ludzi, którzy odwiedzają Jankowskiego.

— Mam nadzieję, że... — „Herminia" nagle urwała.

Pani Hubertowa spojrzała na nią zgorszona.

— Powiedziałam, że przychodziła nieraz blondynka, zdaje się sympatia, jak to u mężczyzn bywa. Nikt więcej. Przejrzeli jego pokój. Pozabierali swetry i rzeczy osobiste. I poszli, kazali tylko zadzwonić, jak zjawi się ta kobieta.

Wysuplała z torebki kartonik z numerem telefonu.

— O proszę.

To już było coś. Numer natychmiast trafił do kontrwywiadu. Na tym ślad się zerwał. Było to prywatne mieszkanie. Kogo osoba odbierająca telefon miała zawiadomić, nie sposób było dojść.

Zgodnie z decyzją „Grota" funkcję „Wojciecha" objął pułkownik Tadeusz Pełczyński „Grzegorz", kolega i znajomy Roweckiego jeszcze z „zuchowatych". Po Albrechcie ślad wszelki przepadł. Kamień rzucony w wodę. Nawet bez kręgów, jakie się zwykle rozchodzą po powierzchni. Wobec braku jakichkolwiek reperkusji, aresztowań czy wpadek zaczęto już wątpić, czy to Niemcy dokonali aresztowania. Może „Wojciech" został porwany...

„Herminia" powróciła do swego mieszkania przy alei Niepodległości 163. Mimo iż „Wojciech" znał ten adres, niejednokrotnie tu bywał, raz czy dwa nocował tu z żoną, czuła się bezpieczna. Komórka bezpieczeństwa organizacyjnego stwierdziła, że podejrzanej obserwacji lokalu nikt nie usiłował prowadzić.

Przeszło wiele dni. O sprawie pułkownika „Albrechta" jakby zapomniano. Bieżące wydarzenia poczęły zamazywać ostrość sprawy. W końcu sierpnia „Herminia" wróciła do domu po południu. Od zniknięcia „Wojciecha" minęło już sześć tygodni i nie miała nadziei, by sprawa wyjaśniła się prędko.

Powitała ją Marysia, dziewczyna prowadząca gospodarstwo domowe.

— Był do pani telefon. Zapraszali na obiad. Ale nie wiem kto i gdzie.

Zakrzewska była niezadowolona.

— Tyle razy prosiłam, by notować dokładnie.

Po półgodzinie dzwonek do drzwi. Spodziewała się Wacka Szuyskiego. Otwiera bez pytania i cofa się ze zdumienia.

— Wszelki duch... z jakiego piekła pan wraca?

Przed nią stoi pułkownik „Wojciech", uśmiecha się blado. W tyle za nim inżynier Józef Matusewicz.

— Właśnie z piekła, z Kielc, z gestapo — odpowiada Albrecht.

Wcisnęła ich do przedpokoju. Zamknęła starannie drzwi uprzednio wyglądając na schody. Uściskała szefa, pytając z nawyku konspiracyjnego?

— I wprost do mnie?

— Nie, nie wprost do pani. Dzwoniliśmy, by przyszła pani na Filtrową. Nie zjawiła się pani. Parę godzin chodziliśmy po Polu Mokotowskim. Sprawdzaliśmy. Obserwacji nie było. Potem przyszliśmy tutaj.

Poprosiła ich do pokoju. Podała kawę i starała się zebrać myśli. Inżynier Matusewicz obcierał raz po raz wilgotniejące oczy.

— Oj ludzie, ludzie — powtarzał.

„Wojciech" wyglądał na zmęczonego. Wreszcie „Herminia" doszła do siebie. Siadła obok nich i wsypała cukier do kawy. Z satysfakcją zauważyła, że nawet jej ręka nie drży.

— Zaraz będzie tu gestapo — powiedziała spokojnie — trzeba się przygotować.

„Wojciech" zaoponował.

— Nie będzie żadnego gestapo. Zostałem zwolniony dziś rano. Mam przyrzeczenie, że nie będę śledzony.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Przyjechałem wprost z Kielc pociągiem — mówił dalej. — Nikt mnie nie śledził. Z dworca poszedłem na Filtrową. Nikt za mną nie szedł. Zresztą lokal im nie znany, gdyż wzięli mnie z ulicy, gdy tylko wyszedłem w aleję Niepodległości po nocy spędzonej u państwa Matusewiczów. Niech pani będzie spokojna. Jutro dokładnie pani wszystko wytłumaczę, gdy się spotkamy.

C.D.N

CEZARY LEŻEŃSKI

Przedstawiony powyżej tekst jest rozdziałem przygotowywanej przez LSW książki Cezarego Leżeńskiego „BEZ BUŁAWY", która to książka jest poświęcona Stefanowi Grotowi-Roweckiemu. W następnym numerze przedstawimy ciąg dalszy rozdziału. Tytuł pierwszej części rozdziału pochodzi od redakcji.

URLOP W BUŁGARII (2)

Polak, co ty potrzebujesz?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Poranek na granicy rumuńskiej w Siret ma wygląd kilkuletniego, obdartego malca, który stuka w szybę, pokrzykując wytrwale: — Cigareta! Bombona! Cigareta! Dostaje kilka cukierków i w tym momencie chłopiec przeraźliwie gwiżdże na palcach, a z rowu w pełnym galopie wyskakuje spora grupa wyraźnie starszych wyrostków. Ale ja znam te zwyczaje. Ledwie chłopaczek wsadził brudne paluchy do buzi, odpaliłem maszynę i z piskiem wyrwałem na asfaltowy szlak. Nim niezadowoleni młodzieńcy zdążyli sięgnąć do ziemi po coś twardszego...

Specyficzny to kraj.

Napiszmy wyraźnie, że podróżuje się w Rumunii dużo szybciej i wygodniej niż po radzieckich drogach. Główne szlaki są dobrze oznakowane (na słupkach na poboczu wypisane są odległości do najbliższej i głównej na trasie miejscowości).

Mają niezłą nawierzchnię i bez obawy, oprócz radarowych konsekwencji — można rozwijać szybkości w granicach „setki". Ale uwaga: wyłącznie tam gdzie pusto i głucho! Samochodów rumuńskich, tych osobowych, co prawda mniej niż... naszych, ale bacznie obserwować należy manewry każdej ciężarówki. Nie zawsze posiada taka kompletne oświetlenie z tyłu i bez żadnej (nawet „ręcznej") sygnalizacji zjechać może na przykład tuż przed nami w jakąś boczną dróżkę.

Przez niewielkie miejscowości najlepiej byłoby przejeżdżać w biały dzień z ręką na sygnale i z zapalonymi reflektorami. Uważać trzeba naprawdę bardzo, zwłaszcza na dzieciaki, które czasem niespodziewanie wyskakują gdzieś zza płotu aż na skraj drogi, tuż przed maskę auta. Znów mała rada: w samochodzie powinien być „dyżurny", którego głównym zadaniem będzie odpowiadać na pozdrowienia małych Rumunów. Lepiej im pokiwać, nie takie to znów męczące, a widziałem kilka polskich aut z powybijanymi szybami. Widać tamtejsze maluchy bardziej nerwowe jakby...

Jeśli nie mamy „handlowych" zamiarów, lepiej się też w tych wioskach i miasteczkach nie zatrzymywać. Obsiadają cię duzi i mali niczym muchy, a kupić będą chcieli dosłownie wszystko — od tenisówek do anteny i lusterek samochodu. Zresztą w ferworze „walki" nawet nie zauważysz, kiedy ci to i owo odkręcą... I ostatnia już rada — nie korzystajmy z żadnych, nawet pozornie świetnych „skrótów". Może się okazać, że to droga nieprawdopodobnie dziurawa i wyboista, może się też okazać, że jej... w ogóle nie ma.

Pierwsze duże miasto Suczawa

Nowoczesne, z bardzo efektownym centrum, czyste, budowane z rozmachem i wyobraźnią. Czekam na otwarcie banku. Na przejściu granicznym wymieniają talony na gotówkę tylko tym, którzy muszą wnieść na miejscu opłaty celne. Starszy pan z teczką o wyglądzie urzędnika, dyskretnie zagląda do auta. Zna kilka słów po rosyjsku, kilka po niemiecku:

— *Nie macie państwo do sprzedania kawy?*

— Nie, niestety...

— *A może „Inkę", co się rozpuszcza?*

— Również nie...

— *A może mydło?*

— Mamy, ale jedziemy na wakacje, pan rozumie...

— *Tak, oczywiście, a może chociaż jedną czekoladę?*

Idziemy na mały spacer. Przez szyby widzę sporo towaru w sklepach przemysłowych; jakieś maszyny do szycia, lodówki czy pralnice, odkurzacze. Tylko kupujących brak. W spożywczym — tylko gęste soki i bodajże ogórki. No i ocet. Wyładowują potężne wory z ciężarówki — błyskawicznie formuje się kolejka, pędzą już następni przechodnie, napierają na lady. Po chwili sprzedaż ruszyła. Zerknąłem ciekawie: kupowano ziemniaki...

Jedziemy dalej. Muszę przejechać ponad 500 kilometrów i przekroczyć granicę. Wolę nocować w Bułgarii.

Wypatrzyłem na mapie inną nieco trasę.

Pojedziemy wybrzeżem i przekroczymy granicę w Vama Veche. Skręcam z tranzytowego szlaku na Tecuci i Galati. Ruch od razu mniejszy, droga wciąż niezła. I pierwsza niespodzianka: ulica, ciasno zabudowana, nagle kończy się rozległym placem. Koniec. Podjeżdżam ostrożnie. Nabrzeże i — potężna, ciemnozielonej barwy rzeka. Dunaj! Czyli przeprawa promem! Szukam kasy (20 lei kosztuje ta zabawa dla trzech osób plus auto) i wracam biegiem, bo mam wrażenie, że tłum wyrostków przewróci mi samochód. Upał, szyby były otwarte, kilkunastu chłopiasiów jednocześnie zaczęło sięgać do wnętrza. Moi, przerażeni, zaczęli zakręcać szyby — to czarni od słońca młodzieńcy ruszyli do wycieraczek, lusterek i kołpaków przy kołach. Nerwowa sytuacja, zaczęliśmy się w pewnym momencie szarpać, a nikt ci nie przyjdzie z pomocą — miejscowi przyglądają się leniwie — „dadzą sobie radę czy nie?"... Na szczęście przypłynął prom i — odetchnęliśmy.

Trasa piękna, nieuczęszczana, szalenie malownicza, z przejazdem przez urokliwe, górskie wioski. Polecam; jedziemy przez Macini, Horię, Ciucurovę do Bali i dalej na Konstancę. Właśnie gdzieś na górskich serpentynach spotkaliśmy osła-aktora...

Wypadam zza zakrętu, a tu na asfaltowym poboczu leży oślisko, jak długie, bez ruchu. Biedny, pewnie go jakiś szalony Rumun ciężarówką potrącił. Mijałem go może w odległości metra, gdy... leniwie podniósł łeb i wyraźnie niechętnie wstał z rozgrzanego asfaltu.

Tam też, w którejś z wiosek, widzieliśmy dziwny pogrzeb. Kondukt na czarno, tylko ksiądz (a może pop...) w białym szerokoskrzydłym kapeluszu. Zaś nieboszczyk, w otwartej płytkiej trumnie, wędrował na ramionach sąsiadów od zagrody do zagrody. Żegnał się ze swoją wsią...

Już przed Konstancą, na dwupasmowej trasie, wpadam na radar. To znaczy, wpadam na milicjanta z „lizakiem", a z trzymanej przez niego krótkofalówki trzeszczy ktoś po rumuńsku, że „kotrolire" i „polonesz sedemdesat". Sympatyczny brunet w mundurze triumfująco-bezradnym gestem rozkłada ręce. Ja też, bo „szedłem" gdzieś w okolicach „setki". Spokojnie sięgam po moje souveniry.

Dla tych Czytelników, którzy nie przeczytali poprzedniego odcinka wakacyjnych przygód: te souveniry to... prezerwatywy, nabyte w stacji benzynowej jeszcze w kraju, które czyniły już furorę u naszych wschodnich sąsiadów...

Rumun zaskoczony spogląda w pełną prezerwatyw garść i rozpromienia się w sekundę:

— *Import?! Prima, Polak, prima!!!*

Przyjacielskie poklepywanie mnie i auta. Mogę bez przeszkód dalej podróżować.

Zbliża się dziesiąta wieczorem, do granicy jeszcze tylko kilkanaście kilometrów, ale ja, po dwóch noclegach w samochodzie, ledwie na oczy widzę. Decydujemy się przespać w Mangalii, na jednym z licznych campingów. Bungalowów zasadniczo nie ma, ale ja wiem, że są, sięgam po „gumki" i mam domek, blisko miejsce na samochód i prysznice, a przede wszystkim: nareszcie normalne łóżko!

Wyciągam walizy, podchodzi właściciel zaparkowanego obok „Poloneza" na opolskiej rejestracji. Facet zaczyna bez zbędnych wstępów:

— *W tamtą, czy z powrotem?*
— W tamtą...
— *Tu bardzo kiepsko...*
— Dlaczego? Pogoda niezła, ale co? Robale w domkach?
— *Co pan gadasz o pogodzie! „Salaty" nie ma wcale! Żadnej! Ani marek, nic...*
— Może za wcześnie?
— *A pewnie! Trzeba się teraz pobujać z miesiąc. No, cześć...*
— Cześć.

Widziałem go jeszcze następnego dnia, na przejściu granicznym. Wyładowanym po dach „Polonezem". Nie przypuszczacie, jaki to pakowny samochód! Odprawili nas już i Rumuni i Bułgarzy, a ci ostatni wciąż wyciągali z auta jakieś szpargały na przygotowane specjalnie w tym celu stoły.

Po stronie rumuńskiej byliśmy niemal świadkami kontroli osobistej, której „dopuścili" się celnicy na sympatycznej rodzince w czerwonym „Wartburgu".

I tu mała dygresja. Kochani rodacy, zwłaszcza ci jeżdżący nie całkiem turystycznie. Dlaczego uważacie celników za ostatnich frajerów, ślepych niczym krety, których zawsze uda się okpić, do których macie zresztą — w razie wpadki — wyłączną pretensję.

Oglądaliśmy na granicznych przejściach wyłącznie Polaków.

Nikt inny tędy nie podróżuje?! Większość „podpadała" już na pierwszy rzut oka. Czy trzeba być wybitnym psychologiem, żeby dokładnie odprawić (włącznie z osobistą) dwóch panów jadących na wczasy do Grecji samochodem tak wypakowanym, że wszelakiego dobra wystarczyłoby dla średniej wielkości wioski.

— *Jak oni nas traktują!!!* — wrzeszczy dopinając się po dokładnej rewizji kobiecina, a prawie jej nie widać zza gigantycznej sterty ręczników i „pościelowego", którym to towarem dosłownie nafaszerowany był „maluch".

Brak wyobraźni i pazerność — te dwie cechy rzucają się w oczy u rodaków podróżujących bałkańskim szlakiem. Bo cóż można sympatycznego powiedzieć o człowieku, który przez wiele godzin parkuje swój wypakowany dżinsem samochód na „ziemi niczyjej" i wciska (bo nie prosi, a właściwie wciska...) rodakom po kilka par spodni czy kurtek. Bułgarzy go odprawili, ale już z powrotem nie wpuszczą, a Rumuni, dla odmiany — nie chcą wpuścić i obserwują z pogardliwym uśmiechem nachalne próby wracającego z Turcji „turysty". Rodacy odmawiają, przecież do rumuńskiego przejścia raptem sto metrów, a pazerny Polonus zupełnie bez wyobraźni. Zlitował się wreszcie facet z zielonego fiata:

— *Panie, zrób pan z tego towaru paczki, oclij pan to wszystko u Rumunów i jedź do domu...*

— *Cło? Coś pan szalony? Ile to grosza!*

— *No to pan tu stój do usr... śmierci!*

Urlop w Bułgarii

Uroków tego kraju nie trzeba rodakom przedstawiać, znane są jeśli nie z „obdukcji", to z niezliczonej ilości gazetowych i telewizyjnych korespondencji. Może więc jedynie kilka ciekawostek i porównań stylu bycia i życia. Naszego, tam w Bułgarii i — Bułgarów.

Na podstawie trzech, czterech miast z Warną na czele śmiało mogę powiedzieć, że w porównaniu choćby z 1987 rokiem zaopatrzenie, niestety, pogorszyło się. Wykupywanie przez Polaków (tak, tak!!!) to jedno i dla przykładu „Słonecznego Brzegu" w dużych sklepach nie uświadczysz po godzinie od dostawy. Ale brakuje choćby wspaniałych bułgarskich dżemów, konfitur, które w latach minionych można było otrzymać w dużym wyborze.

— *My też, jak i wy, sprzedajemy co tylko możemy za dolary...* — takie wyjaśnienie usłyszałem od młodej Bułgarki w sklepie.

Nadal śmieszą bywalców plaż nadbałtyckich środki ostrożności podejmowane nad Morzem Czarnym. Sprzęt ratowniczy to zwykle gwizdek i płetwy, a najprostsza metoda zapewnienia sobie spokojnego dnia — to wywieszanie przy zmarszczonym zaledwie morzu czarnej flagi.

Wyraźnie mniejszy wybór wspaniałych, orzeźwiających „szwepsów", czyli napojów na licencji firmy „Schweppes", sporo natomiast świetnych przypraw, przede wszystkim nie spotykanych u nas, kupić można na miejskich targowiskach. Tam też bywają zwykle najtańsze brzoskwinie. Tańsze niż... pomidory.

No i niezmiennie denerwujące, często bezczelne zaczepki na każdym niemal rogu, przed każdą kawiarenką:

— *Polak, co ty potrzebujesz?*
— *Nic Bułgar nie potrzebuje.*
— *Słuchaj, kolega, ja mam tanio 120 marek.*
— *Kolega, to dozbieraj jeszcze chociaż osiemdziesiąt.*

Żenujące natomiast sceny rozgrywały się przez wiele dni pod koniec czerwca (być może i później również) na dworcu kolejowym w Warnie. Żenujące i kompromitujące dla organizatorów podróży do Bułgarii. Zdarzały się bowiem i takie przypadki, że brakowało wagonów (sic!), nie tylko sypialnych, ale nawet zwykłych, z przedziałami na osiem osób. I ludziska koczowali na dworcu dobę, śpiąc na rozłożonych byle gdzie ręcznikach...

Ale poza tym wspaniale! Słońce — gwarantowane, woda — niczym z czajnika, a przede wszystkim — jeszcze czysta, tak że nurkując za smakowitymi „mulami" głowy o skały nie rozbijesz. I sympatyczni ludzie, z którymi „płodową" rakiję pociągnąć w noc możesz, i pośpiewać, i potańczyć takoż...

Po urlopie, do domu.

W potwornym upale (w połowie lipca temperatury w Rumunii sięgały czterdziestu paru stopni) dosłownie gotujesz się w blachach auta. Przebyliśmy tę drogę szczęśliwie, rozdając tu i ówdzie kilkanaście ostatnich prezerwatyw. Znów był wygodny bungalow na campingu w Rumunii.

I to smutne wrażenie: bogaty kraj, bogaty w dobre, urodzajne ziemie, gdzie dorodna pszenica przypomina wzrostem nasz zagajnik a chleb sprzedawany jest na kartki.

Na przejściu granicznym wyraźnie przybyło samochodów z polską rejestracją. Przejście to dla nas było bezproblemowe, choć widoki rozkręcanych, wyprutych do gołej niemal blachy aut nie należały do rzadkości. I prymitywny camping w Czerniowcach („patent" z WC z kowbojskimi drzwiczkami...), poszukiwania wyjazdu na Kołomyję i zdziwiona mina młodego milicjanta z GAI, gdy przed nowym wyjechałem mu z drogi, którą żaden „tranzytowiec" nie jeździ. Sympatyczny chłopak, przegadaliśmy z pół godziny. I jeszcze Lwów, łomot miski olejowej na asfaltowych wybojach na moście w środku miasta (na szczęście — tylko niewielkie wgniecenie i już Mościska. Godzina oczekiwania i — jesteśmy w kraju. Mimo wszystko — było pięknie.

Na zakończenie — zagadka. Cóż znaczy po bułgarsku: „*Molia, molia zdupczite biletite!*" Pamiętacie Państwo (ciekawych odsyłam do poprzedniego wydania gazety). Ale proszę podać jedno z popularniejszych imion damskich i męskich. No, kto wie z naszych turystów? Otóż damskie to — Stalinka, a męskie — Żelazko...

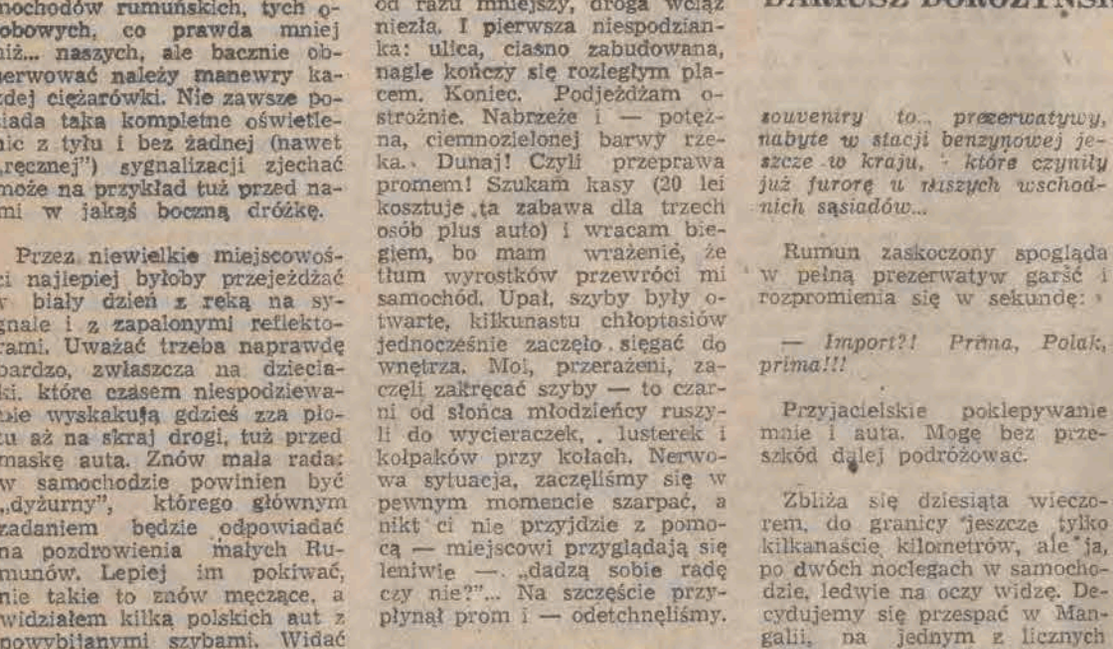

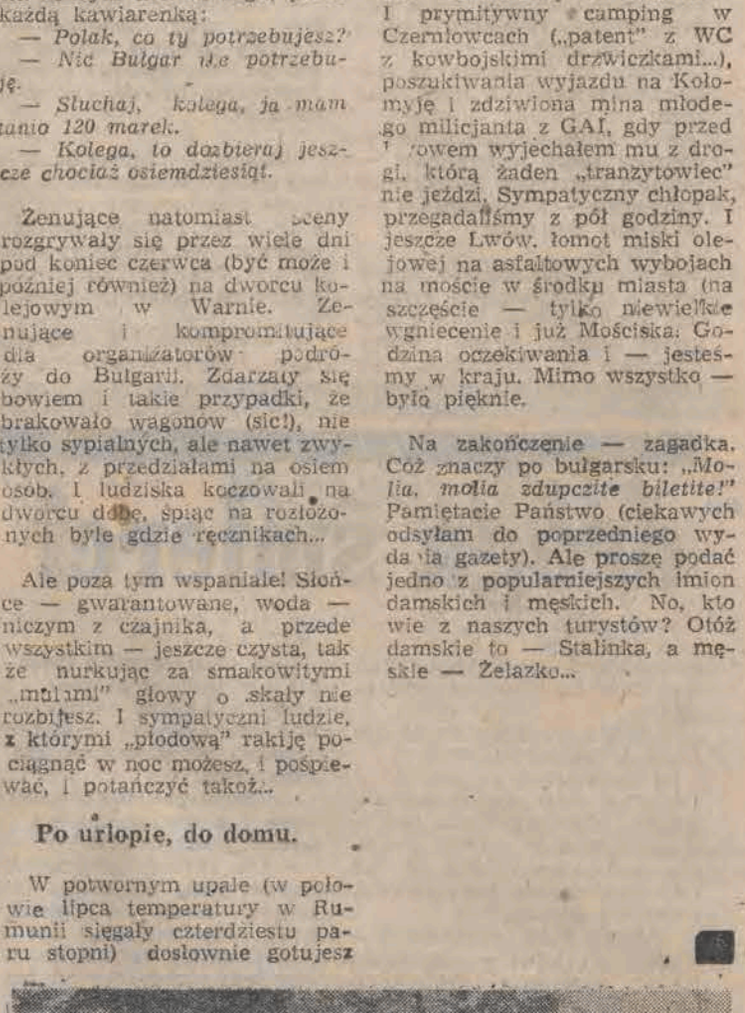

Foto: Grzegorz Gałasiński

W Afryce mówią, że niebezpieczeństwo urodziło się w USA, w USA mówią, że w Afryce

Są tacy, którzy myślą, że to tylko straszenie

LUDWIK GEBEL

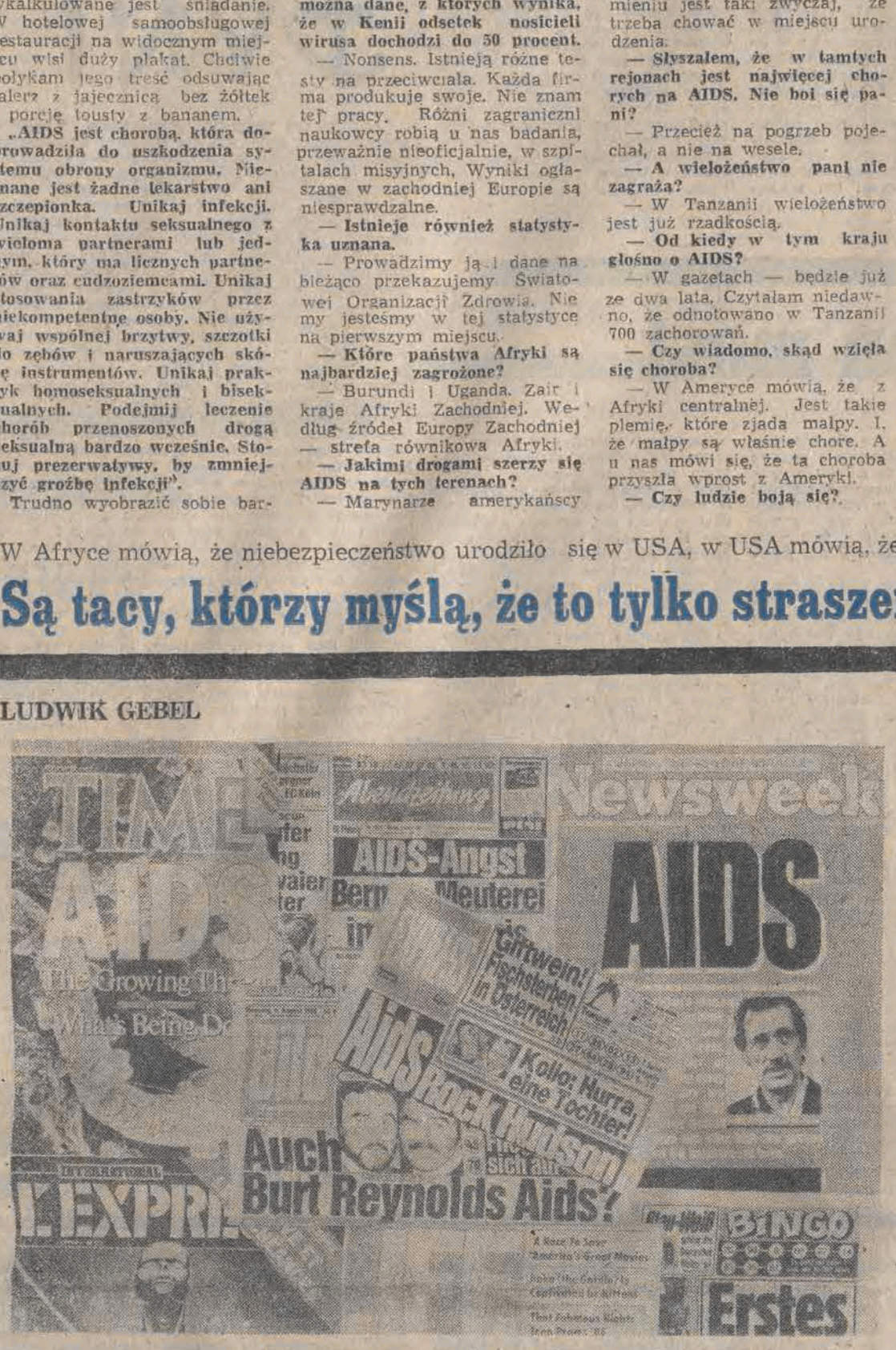

Po przyjeździe z Nairobi do Dar Es Salaam, wynajmuję pokój w najtańszym hotelu — „IMCA". W cenę pokoju wkalkulowane jest śniadanie. W hotelowej samoobsługowej restauracji na widocznym miejscu wisi duży plakat. Chciwie połykam jego treść odsuwając talerz z jajecznicą bez żółtek i porcję tłusty z bananem.

„AIDS jest chorobą, która doprowadziła do uszkodzenia systemu obrony organizmu. Nieznane jest żadne lekarstwo ani szczepionka. Unikaj infekcji. Unikaj kontaktu seksualnego z wieloma partnerami lub jednym, który ma licznych partnerów oraz cudzoziemcami. Unikaj stosowania zastrzyków przez niekompetentne osoby. Nie używaj wspólnej brzytwy, szczotki do zębów i naruszających skórę instrumentów. Unikaj praktyk homoseksualnych i biseksualnych. Podejmij leczenie chorób przenoszonych drogą seksualną bardzo wcześnie. Stosuj prezerwatywy, by zmniejszyć groźbę infekcji".

Trudno wyobrazić sobie bardziej zrozumiałą, zwięzłą i przystępną informację publiczną o chorobie i profilaktyce. Takim plakatem na temat **„Nabytego Zespołu Braku Odporności"** nie powstydziłby się na pewno resort zdrowia żadnego państwa.

Z doktorem Kitindi Kumpuni — dyrektorem Departamentu Nauki Ministerstwa Zdrowia Tanzanii, który studiował w Łodzi rozmowa o tym, skąd wzięła się choroba AIDS.

— Badaniom naukowym dotyczącym wirusa HIV, który wywołuje AIDS i badaniom nad uzyskaniem szczepionki, często towarzyszy wrzawa w żądnej sensacji prasie. Bywa ona szkodliwa kiedy szerzy nastrój lęku i bezradności.

— Lub głosi: „Wszystkiemu winni Murzyni" — Ale przepraszam, przerwałem panu.

— Wirus HIV—2 wyizolowano w 1986 roku z krwi osób zamieszkujących między innymi tereny Afryki Zachodniej. Jeszcze wcześniej wybuchła światowa wojna prasowa o to, który kontynent był pierwszy. — Co sądzi pan o tym?

— Choroba nie zaczęła się w Afryce. Zaczęła się w Stanach Zjednoczonych.

— Czy jest to pewne?

— Prawdopodobne. W Stanach Zjednoczonych mówiło się, że przeniesiono ją od czarnych z Haiti. Ale i na Haiti jej nie było. Prawda okazała się taka, że najwięcej chorych i najwięcej zgonów z powodu AIDS jest w USA. Stąd właśnie tyle hałasu.

— W czerwcu 1987 roku, wśród uczestników III Międzynarodowej Konferencji na temat AIDS, w hotelu Washington Hilton and Towers w Waszyngtonie, rozkolportowano gazetkę podpisaną przez „Zjednoczony Front Przeciwko Rasizmowi, Kapitalizmowi i Imperializmowi" z siedzibą w Nowym Jorku. Tam dla odmiany sugerowano ni mniej ni więcej, że wirus wyprodukowano w celach politycznych w laboratoriach CIA. Przeciwko Murzynom i homoseksualistom. Natomiast w naukowym piśmie — „Lancet" — z 1985 roku, znaleźć można dane, z których wynika, że w Kenii odsetek nosicieli wirusa dochodzi do 50 procent.

— Nonsens. Istnieją różne testy na przeciwciała. Każda firma produkuje swoje. Nie znam tej pracy. Różni zagraniczni naukowcy robią u nas badania, przeważnie nieoficjalnie, w szpitalach misyjnych. Wyniki ogłaszane w zachodniej Europie są niesprawdzalne.

— Istnieje również statystyka uznana.

— Prowadzimy ją i dane na bieżąco przekazujemy Światowej Organizacji Zdrowia. Nie my jesteśmy w tej statystyce na pierwszym miejscu.

— Które państwa Afryki są najbardziej zagrożone?

— Burundi i Uganda. Zair i kraje Afryki Zachodniej. Według źródeł Europy Zachodniej — strefa równikowa Afryki.

— Jakimi drogami szerzy się AIDS na tych terenach?

— Marynarze amerykańscy przywlekli wirus do portu kenijskiego w Mombasie. Mombasa stanowi okno na świat dla Burundi, Rwandy i Ugandy. Kilka lat temu Uganda była w stanie wojny z Kenią i do dziś jeszcze nie ma porozumienia pomiędzy tymi państwami. Kenia za transport przez swoje terytorium żąda zapłaty. Nie stać na nią Ugandę. Tanzania udostępniła północne tereny dla tranzytu. Szofer plus prostytucja — to drogi szerzenia infekcji.

— A jaką dla Tanzanii rangę ma problem AIDS? Są państwa, na przykład Brazylia, w których powstały szpitale dla chorych na AIDS. Jak jest tutaj?

— Więcej ludzi umiera na malarię. Niepotrzebne są nam szpitale wyłącznie z chorymi na AIDS.

— Czy istnieje w Tanzanii obawa, że z powodu AIDS spadną wpływy z turystyki? Jakie reakcje na zagrożenie chorobą wykazuje społeczeństwo? Czy prostytucja zmniejszyła się?

— AIDS pojawił się w Tanzanii w roku 1982 lub 1983. Od tego czasu świadomość społeczna przeszła trzy fazy: Na początku — ludzie nie rozumieli. Potem — był okres paniki. Obecnie — świadomość zagrożenia, ale też pełny spokój. I żadna nadwrażliwość. Prostytucja nie zmniejszyła się. Częściej stosowane są prezerwatywy. Propaganda zachodnioeuropejska wywarła ujemny wpływ na turystykę w Kenii. W Tanzanii sytuacja była bardziej krótkotrwała, pojawiła się dwa lata temu, lecz mamy ją już za sobą.

Z Katarzyną Basiney, która 14 lat mieszka w Dar Es Salaam, rozmowa o tym, czy ludzie w Tanzanii boją się AIDS.

— Czy wie pani, że jest pani sławna jako jedna z nielicznych przedstawicielek „Polonii" w tej części Afryki?

— Tak? Nic o tym nie wiedziałam. Rzadko spotykam rodaków. Cieszymy się z mężem, gdy odwiedzają nas.

— Gdzie podział się mąż?

— Musiał zawieźć zwłoki ciotki na wyspę Ukerewe na jeziorze Wiktoria. W jego plemieniu jest taki zwyczaj, że trzeba chować w miejscu urodzenia.

— Słyszałem, że w tamtych rejonach jest najwięcej chorych na AIDS. Nie boi się pani?

— Przecież na pogrzeb pojechał, a nie na wesele.

— A wielożeństwo pani nie zagraża?

— W Tanzanii wielożeństwo jest już rzadkością.

— Od kiedy w tym kraju głośno o AIDS?

— W gazetach — będzie już ze dwa lata. Czytałam niedawno, że odnotowano w Tanzanii 700 zachorowań.

— Czy wiadomo, skąd wzięła się choroba?

— W Ameryce mówią, że z Afryki centralnej. Jest takie plemię, które zjada małpy. I, że małpy są właśnie chore. A u nas mówi się, że ta choroba przyszła wprost z Ameryki.

— Czy ludzie boją się?

— Ludzie mówią: „A ty nie umrzesz? — I tak umrzesz i tak" — i się nie przejmują. A inni mówią: „To jest kara Boża".

— Za prostytucję?

— Prostytucja, jaka była, taka jest, może i większa.

Rozmowa z lekarzami w Kenii, którzy zastrzegli anonimowość.

— W Polsce nie stanowi tajemnicy liczba nosicieli i liczba zgonów z powodu AIDS. Trudniej doszukać się statystyki w Kenii. Z czego to wynika?

Doktor I: — W Nairobi istnieje instytut zajmujący się badaniami naukowymi nad AIDS. Z pewnością opracowywane są tam dane statystyczne. Do roku 1985 w ogóle nie mówiło się na ten temat. W 1987 roku odbyła się konferencja naukowa stomatologów poświęcona AIDS. Dyskutowano między innymi o epidemiologii w związku z migracją. Stwierdzono, że problem istnieje i nie ma go co ukrywać.

Doktor II: Niektóre ambasady wprowadziły nakaz badania krwi na przeciwciała, jako warunek uzyskania wizy. Później wycofano się z tego. Indie przebadały wszystkich studentów kenijskich i wydaliły 15 po wykryciu u nich nosicielstwa. Władze kenijskie zaprotestowały.

— Czy w swojej codziennej praktyce spotykacie się z chorymi na AIDS?

Doktor II: — Nie mam kontaktu.

Doktor III: — Chorych na AIDS najłatwiej znaleźć w państwowych szpitalach.

— Jak wygląda sprawa diagnostyki?

Doktor I: — W państwowej służbie zdrowia nie wszyscy pacjenci są testowani.

— Czy dlatego, że testy są zbyt drogie?

Doktor I: — Jednorazowe badanie kosztuje około 500 szylingów kenijskich, czyli około 30 dolarów. To wysoka kwota dla przeciętnego obywatela.

Doktor II: — Po co robić testy, jeśli nie ma objawów choroby?

Doktor III: — W państwowych szpitalach można by doszukać się ciekawej statystyki poronień. Według mnie, na 10 poronień — 8 następuje z powodu zakażenia AIDS.

— Słyszałem ze źródeł autorytatywnych, że gdyby ktoś miał wypadek w Afryce i byłaby konieczność przetoczenia krwi, to zachorowanie byłoby pewne.

Doktor I: — Nieprawda. W Kenii od około 3 lat każdy dawca krwi jest badany. I na tym nie koniec. Również krew z butli jest testowana przed przetoczeniem. Znane są wam hipotezy, że wirus ten jest pochodzenia zwierzęcego lub że wydostał się spod kontroli laboratoriów inżynierii genetycznej, czy może laboratoriów broni wirusologicznej?

Doktor II: — Owszem, istnieje wersja brytyjska: Wirus pojawił się, kiedy zaprzestano szczepień przeciwko ospie prawdziwej.

Doktor I: — Po raz pierwszy przeczytałem o AIDS 6 lat temu w „Times" i „Newsweek". Konkretnie — były to informacje o zachorowaniach wśród homoseksualistów i narkomanów w USA. Dwa lata później ukazały się pierwsze wzmianki w miejscowej prasie o zachorowaniach w Rwandzie, Burundi, Ugandzie, Zairze i o zgonie z powodu AIDS syna prezydenta Zambii. Gdy w Anglii mówiono o częstych zachorowaniach w Kenii, faktycznie w Kenii stwierdzono chorobę w późniejszym okresie. Do dziś mógłby pan spotkać wiernych poglądowi, że AIDS — to tylko propaganda państw nieprzyjaznych Afryce.

Doktor II: — To tak, jak niegdyś było z syfilisem. Francuzi mówili, że to choroba hiszpańska, a Hiszpanie, że choroba francuska.

Doktor I: — A co pan powie o takim przypadku?: — Pewien przystojny Anglik zakochał się w miejscowej piękności. Kochali się wzajemnie, lecz platonicznie. Przyprowadził ją kiedyś do mnie z prośbą, aby przed ślubem zbadać jej krew na nosicielstwo wirusa HIV. Test wypadł dodatnio. Powiedziałem mu: „Niech pan również sprawdzi u siebie". I wynik okazał się także dodatni. Anglik wrócił do kraju, narzeczona pozostała w Kenii.

— W jakich rejonach Kenii jest najwyższa zachorowalność na AIDS?

Doktor IV: — W rejonach przygranicznych — na zachodzie, nad jeziorem Wiktoria.

— Zatem nie w większych miastach? A kto przynosi infekcję?

Doktor IV: — Podróżnicy, biznesmeni, kierowcy. Ludzie przenoszący się z kraju do kraju.

— Czy można dostrzec wzrost zachorowań?

Doktor IV: — Tak. Od około 12-18 miesięcy.

— Słyszałem, że w ubiegłym tygodniu w pana szpitalu było kilka zgonów z powodu AIDS.

Doktor IV: — Nie chciałbym tego potwierdzić.

„Daily News Tanzania"

„Egipski chirurg od 3.5 roku leczy AIDS w Zairze, gdzie nosicielami jest 6 proc. populacji".
29.12.1987.

„W USA w 1988 roku będzie 50 000 ofiar AIDS. W 1991 roku choroba może objawić się u miliona ludzi".
14.02.1988.

„Konferencja z udziałem 114 ministrów zdrowia w Londynie. Lęk i histeria. 72 000 przypadków AIDS ze 128 państw ogłoszono w WHO, lecz nosicielami może być 5 do 10 milionów. Kenijskie prostytutki zwiększyły częstotliwość stosowania prezerwatyw z 28 do 50 proc. redukując niebezpieczeństwo infekcji".

Mówi: Józef Irzyniec

— Od jak dawna jest pan związany z księgarstwem?

— Rozpocząłem pracę 1 września 1948 r. w PIW, oddział w Łodzi, jako główny księgowy, bo do takiej pracy miałem wówczas przygotowanie. Po dwóch latach zostałem zastępcą dyrektora do spraw hurtu w „Domu Książki". Otóż do roku 1953 przedsiębiorstwa „Dom Książki" były dwuszczeblowe: produkcja wydawnicza była dzielona na 12 przedsiębiorstw „Domu Książki", a książki z drukarni były wysyłane do poszczególnych magazynów „Domu Książki" na terenie kraju. W tym czasie w Łodzi „Dom Książki" miał 24 magazyny, z tym że były to jakieś piwnice, strychy, a nawet młyn. Toteż zaszła pilna potrzeba wybudowania jednego dużego magazynu. Wzniesiono go na ul. Stalowej 1, o powierzchni 4,5 tys. metrów kw.

— Jak doszło do powstania „Składnicy Księgarskiej"?

— Początkowo było 5 przedsiębiorstw hurtowych (Warszawa, Łódź, Kraków, Wrocław, Poznań), które zlikwidowano w 1956 r. tworząc jedno z siedzibą w Warszawie. Tak więc powstał centralny hurt księgarski, który po dwóch latach otrzymał nazwę „Składnica Księgarska". Chcę powiedzieć o pewnej istotnej sprawie: otóż do 1958 r. hurt księgarski kupował całą produkcję wydawniczą za gotówkę. Nie brał, jak to czynimy dziś, książek w komis. A więc całe odium nie trafionej produkcji spadło na księgarstwo.

— Kto teraz odpowiada za niechodliwe buble?

— Książki znajdujące się u nas, w swej ogromnej masie, są własnością wydawców. Są oczywiście od tego wyjątki: tytuły bardzo chodliwe, potrzebne są kupowane przez „Składnicę Księgarską" od wydawców za gotówkę. Obecnie takich książek jest u nas na ponad 1 mld zł.

— Pomówmy zatem o dniu dzisiejszym łódzkiej „Składnicy Księgarskiej", o jej „pojemności", o ludziach zatrudnionych przy pakowaniu i rozpakowywaniu książek...

— Łódzka ekspozytura, jeśli chodzi o wielkość jej magazynów, jest największa w kraju, natomiast zajmuje drugie miejsce pod względem obrotów. Powierzchnia naszych magazynów wynosi 13,5 tys. m kw. Obecnie doszło jeszcze 1200 m kw. w Kwilnie koło Gieczna. Remontujemy tam kurniki nie użytkowane przez Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną i zamierzamy znieścić, tam około 200 tys. paczek tytułów trudno chodliwych.

— Czy to panu, dyrektorowi „Składnicy Księgarskiej", wystarczy?

— Jeśli produkcja wydawnicza będzie rosła w tym tempie, w jakim obecnie rośnie, a sprzedaż będzie taka jak jest — nie wystarczy. Sprzedaż wartościowo jest wysoka z uwagi na ceny książek, natomiast ilościowo jest już zupełnie nieźle.

— Na jaką kwotę oblicza się zgromadzone w magazynach pańskiej „Składnicy" książki?

— Na koniec czerwca 1988 r. było tego na około 6 mld zł.

— Taka ilość wymaga sporej grupy pracowników. Ilu ludzi pracuje przy książkach?

— Proszę pana, „Składnica Księgarska" to jest fabryka. Zilustruję to na przykładzie jednego dnia, ot weźmy 25 lipca 1988 r. Przyjęliśmy do naszych magazynów 8236 paczek, co stanowi ponad cztery wagony (każda paczka zawiera ok. 20 egzemplarzy książek). Tegoż samego dnia wysłaliśmy 6386 paczek, to jest 3 wagony. Tak więc 25 lipca rozpakowaliśmy i zapakowaliśmy 7 wagonów kolejowych.

— Ilu ludzi to robiło?

— Przy książkach pracuje około 130 pracowników, przeważnie kobiety. Ale jest zawsze duża absencja chorobowa, są urlopy... W omawianym dniu pracowało 170 osób. Przy okazji muszę zaznaczyć, że my, w Łodzi, jesteśmy głównym odbiorcą książek drukowanych w języku polskim w ZSRR. Jest to przeważnie klasyka. Nasze magazyny są przystosowane do rozładunku 30-tonowych samochodów, a nawet i cięższych. Bywa, że jednego dnia przyjeżdża do nas 7 takich olbrzymów z ZSRR i trzeba je także szybko rozładować. A taki jeden samochód, to 3 tys. paczek!

— Czy personel zatrudniony w „Składnicy Księgarskiej" jest specjalnie przygotowywany do pracy z książką?

— W magazynach stosujemy szkolenie przywarsztatowe. Szkolimy pakarki, sortowaczy, wybieraczy, kontrolerów i magazynierów. Praca u nas jest bardzo ciężka. Pakarka dziennie przerzuca 2 tony książek. A nie są to wcale kobiety o posturze ciężarowców.

— Zapewne pomaga im w pracy mechanizacja?

— Nasze magazyny są całkowicie zmechanizowane. To znaczy, że rozładunek odbywa się na taśmociągach. Książki w magazynach są na paletach. Posiadamy wózki widłowe bułgarskie i polskie, ale połowa stoi bezczynnie, bo nie ma do nich części zamiennych. Mamy 6 maszyn do sznurowania typu „Ampag", ale 3 są nieczynne z powodu jak wyżej. Kiedyś, panie redaktorze, nie było palet, nie było maszyn i ustawialiśmy książki w tak zwane kominy posługując się jedynie pięciometrowymi drabinami...

— Panie dyrektorze, produkcja książek nie zmniejsza się, natomiast coraz gorzej jest sprzedać książkę w księgarni. Jak dobrze pójdzie, zabraknie panu miejsca na składanie...

— „Miastoprojekt" opracowuje nowy magazyn na 5 tys. m kw., który ma stanąć tuż obok, na ulicy Stalowej.

— Kiedy zostanie położony kamień węgielny pod tę inwestycję?

— Już w przyszłym roku.

— A jak wygląda domowa biblioteka dyrektora „Składnicy Księgarskiej"?

— Pracuję już dość długo w tym zawodzie, a więc uzbierało się tego sporo. Ale mam dwóch synów, którzy gdy przychodzą w odwiedziny zawsze coś z tej mojej biblioteki wyciągną i zabiorą.

— Wiem, że oprócz dyrektorowania, pracuje pan społecznie.

— Jestem przewodniczącym komisji szkoleniowej w Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Księgarzy Polskich, przez dwie kadencje byłem nawet wiceprzewodniczącym ZG...

— Ale to panu nie wystarcza i zajmuje się pan dodatkowo przygotowywaniem kadr dla „Domu Książki".

— Od 1961 r. jestem nieetatowym nauczycielem w łódzkiej średniej szkole księgarskiej, gdzie wykładam ekonomikę księgarstwa. Staram się wpoić młodym ludziom nie tylko wiedzę, ale i miłość do książki, miłość do najpiękniejszego zawodu, jakim jest praca z książką i dla polskiej książki.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

KAZIMIERZ DROBIK

Na jutro rada

Nim dzień się nocą rozkrzyczaną staje
Zmowa jedności usta w grymas krzywi
Czy już umarli? Nie, oni są żywi
Nawyk po latach odmienia zwyczaje.

Idą wśród dymu przez pogorzelisko
Domy bez okien drzwi o ściany wsparte
Jeżeli talia ma znaczoną kartę
W jednym rozdaniu nie gra się o wszystko.

Pić bez toastu to zwyczaju zdrada
Gdy w oczach lampa czerwono się pali
Sufit nad ranem ma wygięcie tęczy.

Ze sobą w zgodzie to na jutro rada
Żaden drogowskaz nie wskazuje dali
Przed dróg rozstajem nie zawsze się klęczy.

Półka z książkami

DZIENNIKI M. DĄBROWSKIEJ

Pięć tomów **„Dzienników" Marii Dąbrowskiej** to absolutny bestseller wydawniczy. Ponad pół wieku pisarka prowadziła swoje zapiski notując wydarzenia z własnego życia i zapisując te, które wstrząsały krajem, Europą, światem. Fakty z historii nieodłącznie obfitują w nazwiska ludzi bardzo znanych i tych, o których dziś historia zapomniała.

Wydanie niniejsze stanowi zaledwie wybór — całość, zgodnie z wolą autorki, ukaże się dopiero w roku 2005 — ale jest to lektura fascynująca nie tylko dla wielbicieli pisarstwa autorki „Nocy i dni", bowiem sprawy codzienne nieustannie mieszają się z polityką, z wydarzeniami, które ważyły na losie jej ukochanej Polski.

Maria Dąbrowska: „Dzienniki". Czyt. 1988. Tomy 1/5. Cena 5.000 zł.

Oprac.: E.I.

PROSTO Z PARYŻA

Jeszcze jeden most

Liczne polemiki i dyskusje towarzyszyły podjętej w maju 1987 roku decyzji o zbudowaniu mostu łączącego francuską wyspę Ré ze stałym lądem. Wyspa, o powierzchni 85 km kw. leży naprzeciw La Rochelle, jednego z ważniejszych francuskich portów. Łączność z lądem zapewniały promy odpływające co pół godziny. Przebycie 4 kilometrów trwało 15 minut i stanowiło dodatkową atrakcję turystyczną.

Znana czytelnikom z „Trzech Muszkieterów" (to tam d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis udali się na śniadanie w czasie oblężenia La Rochelle) wyspa posiada bogatą przeszłość historyczną. Port znany jeszcze w czasach gallo-rzymskich, wyspa Ré (Insula Ratis — wyspa-tratwa) przechodziła burzliwe koleje losu w średniowieczu, należąc na zmianę do królów Francji i Anglii (będąc własnością książąt Akwitanii, stanowiła część posagu Eleonory Akwitańskiej, żony Ludwika VII, a później Henryka II Plantageneta). Wiek XVI i XVII stanowiły okres największego rozwoju ekonomicznego. Wyspa zwolniona z podatków, posiadała wówczas własną flotę i prowadziła aktywny handel, głównie z miastami hanzeatyckimi. Głównym źródłem dochodów była produkcja soli (dochodząca do 30 tys. ton w XIX wieku, obecnie jedynie 3 tys.) oraz wina, znanego już w czasach gallo-rzymskich. W XIX wieku, kiedy to większość winnic francuskich zostało spustoszonych przez filoksere — chorobę winorośli, jedynie winnice wyspy Ré ocalały w całości. Bogactwo wyspy uwidoczniało się na zewnątrz — armatorzy, bogaci kupcy budowali sobie piękne domostwa. Wyspa, aby odeprzeć ewentualne ataki Anglików została ufortyfikowana według planów Vaubana (Saint-Martin-de-Ré) w 1681. Świetność wyspy przybladła w czasach Rewolucji. Cytadela Saint-Martin stała się ciężkim więzieniem; za czasów Dyrektoriatu zsyłano tam księży, w 1820 żołnierzy wiernych Napoleonowi, a w 1872 znalazło się tam 400 komunardów. Więzienie nadal istnieje.

Wbrew pozorom obecnie głównym zajęciem mieszkańców wyspy Ré nie jest rybołówstwo, lecz rolnictwo. Wyjątek stanowią ostrygi — Ré jest jednym z bardziej znanych miejsc ich „hodowli". Wyjątkowo łagodny klimat pozwala na uprawę pszenicy, owoców i warzyw. Wyspa jest też rajem dla ornitologów ze względu na różne gatunki ptactwa żyjącego w naturalnych rezerwatach.

Obecnie wyspa Ré, posiadająca jedynie 11,5 tys. stałych mieszkańców, odwiedzana jest przez około 200 tysięcy turystów rocznie. Ludzi przyciąga wizja wypoczynku w ciszy i spokoju na pięknych atlantyckich plażach, które mieliśmy okazję oglądać w filmie „Najdłuższy dzień", gdyż tam właśnie kręcona była większość scen przedstawiających lądowanie aliantów w Normandii 6 czerwca 1944. Niestety zwiększająca się corocznie liczba turystów czyni ten wymarzony spokój i ciszę prawie niemożliwymi. Dodatkowo sprawę komplikuje fakt, że z roku na rok zwiększa się zanieczyszczenie plaż (tylko 4 kilometry dzielą wyspę Ré od La Rochelle), plaże atlantyckie Francji mają z tym znacznie więcej problemów niż śródziemnomorskie.

Te prawdziwe najazdy turystyczne zaczęły się w latach 70., kiedy to przyszła snobistyczna moda na egzotykę, a przede wszystkim na spędzanie wakacji na wyspach. Pojawiły się magiczne nazwy: Tahiti, Martynika, Reunion, Sumatra, od niedawna Malediwy i Seszele, a także nieco bliższe, mniej magiczne, ale zawsze wyspy: Sycylia, Madera, Baleary. Wyizolowanie, niedostępność stanowią podstawowy atut, powab wysp. Ci, dla których wyspy dalekie są z różnych powodów (głównie finansowych) niedostępne, spostrzegli nagle, że Francja otoczona jest mniejszymi lub większymi wyspami, które bardzo szybko zostały pokryte siecią (często bardzo gęstą) hoteli, kempingów z całym zapleczem usługowym. Przede wszystkim zbudowano mosty, aby ułatwić przedostanie się z lądu. Do tej pory dotknęło to dwie francuskie wyspy atlantyckie — Oléron (3 kilometrowy most zbudowany w 1966) i Noirmoutier. Teraz przyszła kolej na wyspę Ré, wkrótce ten sam los spotka Belle-Ile, największą z wysp bretońskich.

W przypadku wyspy Ré, problem był nieco inny. Projekt połączenia wyspy ze stałym lądem pojawił się już na początku XX wieku, ale wbrew pozorom wystąpili z nim nie mieszkańcy kontynentu, lecz wyspiarze. Zaproponowali oni wówczas zbudowanie podwodnego tunelu! O konstrukcji mostu zaczęto mówić w 1961, ale praktycznie do 1987 sprawa pozostawała wyłącznie wewnętrzną sprawą departamentu Charente-Maritime, do którego należy wyspa Ré. W 1987, kiedy ruszyły prace budowlane, z największymi protestami wystąpili wcale nie wyspiarze, ale środowiska ekologiczne obawiające się, że zwiększony ruch turystyczny (mimo wszystko liczba miejsc na promie była ograniczona, co powodowało często kilkugodzinne oczekiwanie mogące zniechęcić nawet najwytrwalszych) zniszczy naturalne środowisko wyspy, rezerwaty czy wydmy.

Natomiast mieszkańcy wyspy — mimo że również niechętnym okiem patrzą na gromady turystów — myślą przede wszystkim o własnych, potrzebach. Na wyspie nie ma ani jednego szpitala, jest tylko jedno liceum, brak kin, żadnych spektakli. Zadowolona jest głównie młodzież — zważywszy, że ostatni prom odpływał o 23., miły wieczór w La Rochelle musiał się szybko kończyć.

Konstrukcję mostu powierzono francuskiej firmie Francisa Bouygues, największemu na świecie przedsiębiorstwu prac budowlanych o 46 miliardach franków rocznych obrotów, budującej również tunel pod kanałem La Manche czy kontrowersyjną Arche de Défense. Francis Bouygues jest również właścicielem reprywatyzowanego w 1986 pierwszego francuskiego kanału telewizyjnego TF1.

Oddany do użytku 19 maja 1988 most mierzy prawie 3 kilometry długości, zbudowany jest na 28 betonowych słupach, specjalnie wzmocnionych ze względu na duży ruch statków i na silne prądy występujące w tym regionie. Przyszłość pokaże, czy decyzja o połączeniu Ré z kontynentem była słuszna. Jedno jest pewne już w chwili obecnej — wyspa, na którą można dostać się bez trudu traci swój urok, połączona z lądem przestaje być wyspą. W przypadku wyspy Ré magia przestała działać!

ALEKSANDRA ORŁOWSKA

PESTKI DYNI

Ludzi można podzielić na czarnych i białych, czerwonych i zielonych, na łysych i owłosionych, brodatych i niebrodatych, na cyklistów i komunistów, na smutnych i wesołych, itd. itp. Dla mnie najsensowniejszy i najzdrowszy podział, to na tych, którzy chcą coś zrobić i którzy nie chcą. Pani Gabrielle Enthoven zaczęła w 1880 zbierać wszystko, co miało związek z teatrem — przede wszystkim angielskim, ale nie tylko; programy, kostiumy, afisze, zdjęcia, rysunki, obrazy, sztychy, pamiętniki, recenzje... Zbierała, zbierała — aż uzbierała... Bardzo dużo i bardzo ciekawych, wartościowych, unikatowych przedmiotów. No i oczywiście nie miała już pani Gabrielle gdzie tego wszystkiego trzymać, tym bardziej że od samego początku przyświecał jej zamysł stworzenia muzeum teatralnego. Całą zatem swoją przebogatą kolekcję ofiarowała London Museum. Był to rok 1911. Niestety, londyńskie muzeum daru nie przyjęło tłumacząc się szczupłością miejsca nawet na własne ekspozycje. Zaczęła zatem pani Gabrielle kołatać do Muzeum Wiktorii i Alberta, które „oficjalnie ustanowione zostało domem dla wszystkich gałęzi sztuk przemysłowych i rysunku...". Tu dar został przyjęty, ale schowano go w magazynach i pies z kulawą nogą go nie oglądał. A niestrudzona miłośniczka teatru uzupełniała wytrwale „swoje" zbiory, aż do 1950, kiedy to się jej zmarło, bez doczekania sensownych efektów swych zabiegów...

Rzecz działa się w Londynie, zatem w miejscu o bogatej tradycji teatralnej, w mieście, w którym tworzyli Ben Jonson, Marlowe, Shakespeare... architekt — również „teatralny" Inigo Jones... W Londynie, gdzie w samym roku 1600 „pracowały" cztery stałe teatry i przez kilka tylko lat, między 1642 a 1660, z racji chwilowego zwycięstwa purytanów, były one zamknięte — jako nieobyczajna rozrywka! — całkowicie. Takie tradycje do czegoś zobowiązywały, tym bardziej że i na przestrzeni późniejszych stuleci teatrem interesowały się po równi i dwór królewski i najniższe warstwy gminu...

W latach 50. walkę o muzeum teatralne nasiliły i stowarzyszenia, i osoby prywatne, a wszystko przypominało huśtawkę: raz były pieniądze — raz nie, raz znajdowano lokalizację na nie — innym razem odmawiano jej... W akcję angażowały się autorytety, gazety (m.in. Times), artyści, opinia publiczna, kto tylko mógł (finansowo) i chciał (moralnie)... Na koniec utworzono malutkie Muzeum Teatralne na Kensingtonie, w 1974... Tak na odczepnego, bo mieściło ono zaledwie jedną setną zbiorów, jeśli nie mniej... Wstyd się zrobił...

Upór ludzi z pasją, „zwariowanych ludzi" przynosi jednak nieraz efekty. W 1987 roku, 23 kwietnia, w 423 rocznicę urodzin genialnego Williama S. otwarto w Hali Kwiatowej (Flower Market) w Covent Garden (stare centrum teatralne) Muzeum Teatralne z prawdziwego zdarzenia! Sama księżniczka Małgorzata, siostra Królowej pokrajała na otwarciu wielki tort...

(Wykorzystano w felietonie fragmenty zwierzeń Judith Samson drukowane w „Brytanii" w 1987 roku).

ANDRZEJ GRUN

Wyższy poziom – trudny wybór

Na tegoroczne, dwunaste już, Międzynarodowe Biennale Grafiki w Krakowie — imprezę o wysokiej randze prestiżowej — nadesłało prawie 3400 prac 1200 artystów z 53 krajów. Z tej mnogości dzieł jury kwalifikacyjne wybrało na wystawę główną 851 prac 420 artystów z 37 państw. Każdy, kto obserwuje imprezę od lat mógł więc stwierdzić, że nie było to biennale rekordowe, gdy idzie o ilość, jednakże z pewnością stało się reprezentatywnym przeglądem tej dziedziny sztuki w ciągu ostatnich dwóch lat na świecie. Reprezentatywne także i pod względem formalnych i tematycznych poszukiwań twórczych.

I jeszcze jedno interesujące spostrzeżenie obserwatorów tegorocznego biennale. Było ono rekordowe pod względem liczby imprez towarzyszących. Samych tylko wystaw zorganizowano sześć, przy czym dwie zasługiwały na szczególne podkreślenie: drzeworytu japońskiego ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie i z kolekcji **Feliksa Jasieńskiego** oraz sztuki zachodnioniemieckiej — dar dla tego muzeum od krytyka sztuki z RFN od lat związanego z krakowskim biennale — **Juergene Weichardta.**

Jak napisano w katalogu — i co podkreślała krytyka — zwłaszcza japońskie drzeworyty (pochodzące z okresu XVII—XIX w.) podobały się, nie tylko dlatego, że ilustrowały rozwój tej dziedziny grafiki w ciągu dwóch stuleci, ale przede wszystkim dlatego, że ukazywały miejsce i czasy, w których powstawały. Ukazywały więc dzielnice uciech, kurtyzany, sceny obyczajowe, aktorów japońskiego teatru kabuki, wreszcie pejzaże... „Nawet jeśli prace współczesnych grafików są artystycznie ciekawsze — pisano — bogatsze w formie, to przecież w zestawieniu z pięknym, starym drzeworytem japońskim wyglądają bardzo ubogo. Być może po latach w taki właśnie sposób oglądać się będzie dzieła, które dzisiaj zachwycają przede wszystkim jurorów".

Decyzją jury, któremu przewodniczył **Tadeusz Jackowski**, Grand Prix XII MBG otrzymał **Marek Jaromski** — młody absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, z dyplomem z pracowni prof. **Haliny Chrostowskiej.** Choć jest artystą młodym (ur. w 1953 r.) jednakże swoje prace prezentował już m.in. w RFN, Szwecji, Norwegii, Polsce, a także uczestniczył w wystawach zbiorowych prezentowanych w Egipcie, Tunezji, RFN, NRD, Danii, Austrii i we Włoszech.

Kontrkandydatem polskiego artysty do Grand Prix był **Jirzi Anderle** z CSRS ze swoimi grafikami podejmującymi tematykę współczesnego świata z jego zagrożeniami. Kustosz działu grafiki i rysunku w Victoria and Museum w Londynie, członek jury **Susan Lambert** powiedziała: chciałabym podkreślić wysoki poziom tej wystawy. Z racji swojego zawodu mam możliwości porównań i mogę z przekonaniem stwierdzić, *że ogólny poziom tej wystawy jest wyższy niż innych, z którymi się stykałam.* Dla mnie wybór laureata był trudny. Wahałam się między dwoma kandydatami: Jirzim Anderle i Markiem Jaromskim. Ostatecznie jednak głosowałam na Jaromskiego. Uważałam bowiem, że jemu właśnie taka nagroda była potrzebna. Anderle jest już artystą bardzo znanym i jego prace — choć znakomite — nie dodają już nic do charakterystyki tego artysty. Natomiast poszukiwanie nowych dróg przez Jaromskiego godne było najwyższej nagrody...

W statystyce biennale zwyciężyli w tym roku Japończycy (podobnie jak na biennale plakatu) przed Polakami. Wśród wystawiających jest ich o 19 więcej niż Polaków.

M.B.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

FUNDACJA „TELIMENY"

Łódzki Dom Mody „Telimena" postanowił założyć fundację na rzecz Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pieniądze pochodzące z fundacji przeznaczane będą na studenckie zamierzenia twórcze, wzory i projekty plastyczne, na które dziś szkole nie zawsze starcza własnych środków. Fundacja stawiać będzie także pewne wymagania jak np. odbywanie przez przyszłych projektantów praktyk w „Telimenie", aby mogli zapoznać się z procesem technologicznym, który gwarantuje związek plastycznej wizji z rzeczywistością i realnymi możliwościami. Fundacją zapewni sobie „Telimena" projekty dostosowane do możliwości wykonawczych oraz kadrę, gotową podjąć pracę natychmiast po studiach. Obecnie absolwent uczelni potrzebuje ok. 2 lat na przystosowanie się do warunków technologicznych zakładu, co stanowi oczywistą stratę dla przedsiębiorstwa.

I... SZTUKI DZIECKA

A oto jak brzmi program innej fundacji — Sztuki Dziecka, powstałej w 1987 r.: „Każde dziecko ma prawo do sztuki jako jej odbiorca i każde uzdolnione dziecko ma prawo do posługiwania się środkami artystycznego wyrazu, a zatem powinno mieć zapewnione możliwości wyrażania siebie, swej wyobraźni, swego sposobu postrzegania świata".

Fundacja będzie m.in. przyznawać stypendia i zapomogi uzdolnionym dzieciom, zapewniać im instrumenty muzyczne i pomoc niezbędną do kształcenia w różnych dziedzinach sztuki, wyszukiwać młode talenty, propagować ich twórczość, a także przyznawać nagrody pedagogom wyróżniającym się w pracy z dziećmi. Słowem — sprawować będzie mecenat nad utalentowanymi dziećmi w Polsce.

Fundacja pozyskała wielu sprzymierzeńców i ma już na swoim koncie szereg interesujących imprez.

„KLĄTWY"?

Czy „Klątwa Jagiellończyka" wyjaśni zagadkę „klątwy Tutenchamona"? Takie pytanie nasuwa się w związku z książką Zbigniewa Święcha pt. „Klątwy, mikroby i uczeni", która ukaże się nakładem „Iskier".

W 1973 r., po uzyskaniu zgody ówczesnego gospodarza Katedry Wawelskiej, kardynała metropolity krakowskiego, księdza prof. Karola Wojtyły, po blisko 500 latach otwarto grób Kazimierza Jagiellończyka, a wcześniej — jego żony, Elżbiety z Habsburgów. Poczynając od wiosny 1974 r. wiele osób z kręgu badaczy znad otwartego królewskiego grobu nagle umierało: na zawał serca i wylew krwi. W ciągu 10 lat od badań wnętrza królewskiego grobowca, aż 15 osób składa się na listę „ofiar klątwy". Najczęściej byli to ludzie w pełni zdrowia, w średnim wieku. Mikrobiolog z krakowskiej Akademii Rolniczej, prof. Bolesław Smyk badał „mikroświat" tego grobowca. Znalazł — i po 500 latach ożywił — wiele nie znanych światowej mikrobiologii szczepów bakterii, grzybów i pleśni, w tym toksycznego mikroba o nazwie aspergillus flavus (kropidlak żółty, złocisty). Według opinii mikrobiologów, on właśnie ma być odpowiedzialny za nagłą śmierć, gdyż atakuje najsłabsze ogniwa ustroju człowieka.

Ta historia kojarzy się z „klątwą Tutenchamona": po otwarciu grobu tego faraona w 1922 r. także nastąpiła seria nagłych zgonów badaczy grobu.

KANTOR O SOBIE I TEATRZE

„Urodziłem się w czasie I wojny światowej, młodość przypadła na drugą. To, co opowiadam w teatrze, to mapa mojej batalii, z jednej strony jest to moja pogarda dla historii oficjalnej, zajmującej się ruchami i ideologiami masowymi, kadencjami rządów, masowymi wojnami, zbrodnią, terrorem. Po drugiej stronie tych potęg stoi mała, bezbronna, ale wspaniała historia indywidualnego ludzkiego życia. Jedynie w tym indywidualnym życiu człowieka zachowała się prawda, wielkość i świętość. Należy to ocalić przed wszystkimi potęgami świata, nawet ze świadomością klęski...

Batalią jest teatr. W teatrze dokonuję najbardziej ryzykownego manewru, ale jestem pewien, że powinien on zapewnić sukces, zwycięstwo, wiem, że będzie to zwycięstwo nie z tego świata, że ofiarą będę ja sam... Teatr jest dla mnie polem batalii. Życie trzeba wzmocnić. Za wiele przedostało się tam obcych elementów z mętnych fal zbiorowego życia...

Jestem osobiście na scenie. To nie jest gra, są to strzępy mojego osobistego życia, które staje się według pojęć dadaizmu gotowym produktem. Każdego wieczoru będziemy odbywać rytuał i ofiarę. Robię to nie po to, aby przedstawić siebie, swoje przeżycia, lecz po to, aby zwyciężyć zbiorowe, masowe po-

Pochwała Galerii Bałuckiej

Po malarstwie **Jacka Markunasa** w sali przy Starym Rynku pokazano obrazy warszawianina dopiero pierwsza w Łodzi. Autor wzbrania się przed **Jacka Białkowskiego.** Cztery lata po dyplomie, dziesięć wystaw w dorobku, ale dopiero pierwsza w Łodzi. Autor wzbrania się przed zaliczeniem jego malarstwa do kręgu tzw. Nowych Dzikich, jednak pierwszego wrażenia, jakie pozostawia zamaszyste położenie farby, wyrazisty kolor, pewna drapieżność wyrazu, co nasuwa nowoekspresyjne skojarzenia — trudno się wyzbyć. Dopiero, kiedy zauważymy dbałość o walory dekoracyjne, kiedy odczytamy — może bezwiedne, ale obecne — nawiązania do wczesnorenesansowych układów kompozycyjnych, kiedy ujawnia swą poetykę z comedii del arte, a w innym obrazie, jakby z malarstwa fowistów, wtedy uznamy to malarstwo za bardziej intelektualne i racjonalne zarazem niż jest to możliwe w jakimkolwiek wydaniu ekspresji, rozumianej jako nurt czy tendencja. Spina to wszystko motyw, albo raczej temat głowy-maski, raz w układzie podwójnym — sprzężonych dialogiem, lub współobecnością, innym razem samotnych. Milczące, gadające, krzyczące głowy — maski pozbawione potocznej ładności, bliskie grotesce wzbudzają jednak sympatię, stąd obrazy Jacka Białkowskiego trudno wyrzucić z pamięci. Podobnie jak malarstwo Jacka Markunasa, które poprzedziło wystawę Białkowskiego.

Niestety nie tylko o takich pokazach przychodzi mi pisać. Niedawno starałam się usprawiedliwić to, co maluje Danuta Muszyńska, teraz to samo powinnam uczynić w stosunku do kompozycji **Jadwigi Szmidt.** Im bardziej się zna wysiłek włożony w przygotowanie i namalowanie obrazu, tym trudniej przekreślić go jednym zdaniem. Nikt bez powodu nie sięga po farby i pędzel, powód jest zawsze ważny, ale jeżeli efekt sprowadza się do kwiatów i traw kulturalnie rozmieszczonych na nieskazitelnie białym płótnie starannie naciągniętym na krosno, malowanych akwarelowo farbą olejną i wynikającej z tego ładności, to czy jest to wystarczający powód, aby mówić o MALARSTWIE? A jednak prędzej można znaleźć malarskie usprawiedliwienie dla tego, co robi Jadwiga Szmidt niż dla tego, co odczytujemy z obrazów Danuty Muszyńskiej. Co prawda publiczność wszak nie musi podzielać mojej opinii. Sądzę jednak, że łatwiej byłoby mi znaleźć tych, którym podobają się obrazy Jadwigi Szmidt niż skłonnych tak oceniać malarstwo Białkowskiego. Prawdą jest bowiem, że im więcej wiemy o dziejach sztuki, im lepiej ją rozumiemy, tym trudniej zaakceptować powierzchowną ładność dla niej samej. Zawsze bowiem oczekujemy znacznie bogatszych treści i nie zadowala nas jednowymiarowość przekazu.

Reprezentacyjny salon BWA — Salon Sztuki Współczesnej, przy ulicy Piotrkowskiej 86 jakoś się ostatnio z przypisywaną mu rangą rozminął. Miejsce nie nobilituje niektórych prezentowanych tam wystaw, innym zaś — jak tak dalej pójdzie — zacznie szkodzić. Może nie aż tak, jak stało się to z Klubem Dziennikarza, w którym doprowadzono do pomieszania wartości. W salonie BWA bowiem nie ma obawy, aby obrazy profesjonalistów ktoś opatrzył informacją, iż jest to malarstwo amatorów, nie ma obawy, żeby wystawiono coś, co swoim poziomem warsztatowym dowodzi zupełnej nieudolności autora. Dla ścisłości: nie mam na myśli ostatniej wystawy w Klubie Dziennikarza.

Czarnej przyszłości nie prorokuję Salonowi Sztuki Współczesnej, lecz czy nie okaże się zasadna zmiana nazwy tego salonu? Inaczej przestanie być SALONEM, a już na pewno SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

„Punktem wyjścia jest emocja..."

— rozmowa ze SŁAWOMIREM KACZOROWSKIM

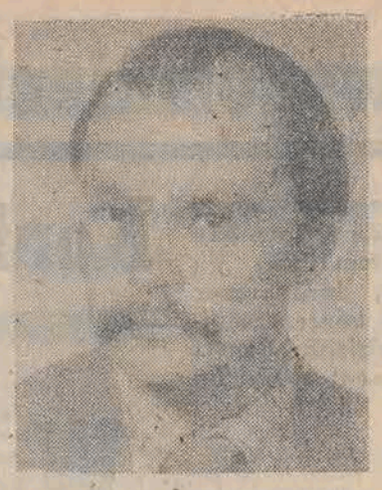

— Pańskich kompozycji kameralnych posłuchać można na organizowanych w Akademii Muzycznej sesjach „Musica Moderna" a także w filharmonii, gdzie z udziałem flecisty **Włodzimierza Demianiuka** odbyło się nie tak dawno prawykonanie większej formy — Koncertu na flet i orkiestrę, za który otrzymał pan II nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Młodych Kompozytorów. Czy swoje utwory pisze pan zawsze dla konkretnego wykonawcy?

— Staram się. To daje największą możliwość skonfrontowania własnej wizji z ostatecznym efektem brzmieniowym. Perspektywa rychłego wykonania utworu przez obdarzonego zaufaniem odtwórcę stanowi zresztą dodatkowy bodziec dla kompozytora.

— Czyżby oznaczało to nieufność w stosunku do wykonawcy nieznanego?

— W pewnym sensie tak. Chodzi o to, że osoby nie mające doświadczeń związanych z wykonywaniem muzyki współczesnej nie zawsze ją właściwie rozumieją i interpretują. Niezgodność z intencjami twórcy może też wiązać się z faktem nieumieszczenia w partyturze dostatecznej ilości jednoznacznych informacji, co jest cechą zapisu nutowego w ogóle.

— Jednak trudno polegać tylko na jednym, znanym sobie interpretatorze.

— I rzadko tak się dzieje. Ale, na szczęście, porównanie kilku odmiennych, w pełni kompetentnych wykonań może być dla autora muzyki bardzo instruktywne. Jest skądinąd rzeczą naturalną, że każdy odtwórca ma indywidualne spojrzenie na sposób interpretacji.

— Studiował pan, jak wiem, u **T. Kiesewettera,** a ukończył studia kompozytorskie u **B. K. Przybylskiego** w 1981 r. W jakiej fazie twórczych poszukiwań znajduje się pan obecnie?

— Niełatwo jest oceniać własną twórczość na bieżąco. Na pewno bardziej trafna będzie ocena mojej pracy z perspektywy czasu. Mogę tylko stwierdzić, że dawniej interesowały mnie m.in. niekonwencjonalne sposoby wydobycia dźwięku, co było widoczne choćby we wspomnianym Koncercie fletowym. Zastosowałem tam wielodźwięki i glissanda instrumentu solowego. Z kolei np. w „Kontrastach" na fortepian wydobywanie dźwięku następowało bez pomocy klawiatury, bezpośrednio ze strun. Teraz jestem pod tym względem bardziej umiarkowany. W II Koncercie fortepianowym, nad którym właśnie pracuję, ograniczam się już wyłącznie do klasycznego sposobu gry.

— A jeśli idzie o materiał dźwiękowy, o formę?

— Jeszcze przed kilkoma laty porządkowanie materiału dźwiękowego wynikało z działania intuicyjnego. W sposób na ogół swobodny wykorzystywałem pełną skalę 12-dźwiękową. Również forma związana była z podejściem intuicyjnym i miała niejednokrotnie charakter jakby kalejdoskopowy. Teraz w materiale dźwiękowym dążę do selekcji, a jego uporządkowanie uzależniam od przebiegu formy. W porównaniu z utworami pisanymi tuż po studiach stosuję wyraźniejszą selekcję elementów i dążę do ich większej ekonomii.

— Takie też wrażenie odniosłem ostatnio słuchając pana „Direction" na 2 fortepiany. Można chyba stwierdzić, że ta ewolucja środków świadczy o osiąganej przez pana dojrzałości twórczej. Jak natomiast kształtują się zainteresowania gatunkowe?

— Trudno mi mówić o wyraźnych preferencjach. Sądzę, że trzeba spróbować swych sił w różnych gatunkach, pisząc na odmienne instrumenty i składy wykonawcze. To niewątpliwie poszerza doświadczenie. Nie wykluczam, że określona specjalizacja przyjdzie później.

— Co w pana przypadku odgrywa w procesie twórczym większą rolę — emocja czy intelekt?

— Właściwie częściowo już na to pytanie odpowiedziałem mówiąc o traktowaniu materiału dźwiękowego i formy. Z biegiem czasu wzrósł u mnie na pewno czynnik intelektualny w procesie obróbki tworzywa, niemniej jestem zdania, że w twórczości muzycznej nie może on dominować. Zajrzałoby wówczas niebezpieczeństwo muzyki spekulatywnej, muzyki „na papierze". Należę do tych, co wierzą, iż muzyka bardziej niż z rozumu powinna wypływać z serca. Punktem wyjścia jest więc emocja i — nie boję się użyć tego określenia — natchnienie.

— Czy emocje są jedynie motywacją do pracy twórczej, czy też mają być również przekazywaną przez muzykę „treścią"?

— Problem przekazu i odzwierciedlenia treści emocjonalnych w muzyce pozostawiam estetykom. W każdym razie dalek jestem od koncepcji dźwiękowej ilustracyjności.

— Sporo czasu poświęca pan chóralistyce — jako dyrygent i twórca. Pański „Benedictus" na chór mieszany a cappella zdobył niedawno nagrodę na konkursie PZCh i O.

— Chóralistyka rzeczywiście jest mi bliska. Przez szereg lat śpiewałem w łódzkim zespole wokalnym Bel Canto; potem dyrygowałem Akademickim Chórem Politechniki. Teraz kieruję chórem XXVI LO. Traktuję to jako kolejne uzupełnienie doświadczeń.

— Czego uczy pan w Akademii Muzycznej?

— Prowadzę zajęcia ze współczesnych technik kompozytorskich na Sekcji Rytmiki i propedeutyki muzyki współczesnej na Wydziale Instrumentalnym.

— Zarazem jest pan współorganizatorem wspomnianej na wstępie, odbywającej się w Akademii cyklicznie, sesji „Musica Moderna".

— Organizuję ją wraz z Wiesławem Rentowskim i inicjatorem tej akcji — prof. **Bronisławem Kazimierzem Przybylskim.** „Musica Moderna" urządzana jest dwa razy w roku i za każdym razem ma inny temat. Stanowi przy tym aktualny obraz tego, co dzieje się w łódzkim środowisku kompozytorskim, naturalnie w szerszej perspektywie dokonań innych twórców. Osobiście pragnąłbym, aby imprezą tą zainteresowali się bardziej także słuchacze spoza tzw. środowiska.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Kto rządzi?

Nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Politizdat" ukazała się interesująca książka **J. E. Korniłowa i G. A. Szyszkina** pt. **„Kto prawit Amerikoj?"** (Kto rządzi Ameryką). Jak utrzymują autorzy mimo okresowych zmian, rząd federalny USA zawsze wyraża interesy kapitału monopolistycznego. Autorzy książki podkreślają, że amerykańska klasa rządząca nie jest czymś zastygłym i niezmiennym. Między różnymi ugrupowaniami monopolistycznej burżuazji „toczy się stała rywalizacja o wpływy i władzę, o rozszerzenie ekonomicznych i umocnienie politycznych pozycji". Tak np., przed początkiem lat 80. jednym z rosnących ośrodków siły w życiu politycznym USA stał się wielki biznes Kalifornii. Jego trzon stanowią wielkie amerykańskie koncerny wojskowo-przemysłowe. Przypada na nie przeszło 1/4 wszystkich zamówień Pentagonu.

Autorzy omawiają unię personalną szefów największych koncernów i instytucji państwowych, roli biznesu w finansowaniu kampanii wyborczych. Ukazana jest także działalność funkcjonariuszy obecnego rządu republikańskiego zarządzających państwem oraz charakterystyka sfer społecznych, z których pochodzą kadry tworzące rząd.

Zaletą pracy jest zaprezentowanie bogatego materiału biograficznego obejmującego karierę polityczną wielu czołowych działaczy państwowych, a także polityków zakulisowych. Są wśród nich prezydent **Ronald Reagan,** sekretarz stanu **George Shultz,** były minister obrony **Caspar Weinberger** i inni.

Ujawniona ostatnio wielka afera łapownicza w USA potwierdza niektóre tezy zawarte w książce Korniłowa i Szyszkina.

Kronika

OD CZASÓW PAMIĘTNEJ EKSPOZYCJI „4 RAZY PARYŻ" — rekordy powodzenia bije w Warszawie **wystawa młodej plastyki — „Arsenał 88".**

Zwiedza ją dziennie około 2 tysiące osób. Organizatorzy czynią starania o przedłużenie wernisażu, który stał się wydarzeniem artystycznym, do 31 sierpnia.

Ogromnym **zainteresowaniem cieszy** się też **240 stronicowy katalog wystawy.** Zawiera on reprodukcje prezentowanych prac oraz artykuły omawiające główne kierunki poszukiwań twórczych młodych artystów.

A OTO WYBORNY MINIFELIETONIK głośnego wrocławskiego literata, kontynuatora tradycji cyganerii artystycznej, autora „Liszaja", **Zbigniewa Smektały,** o znanym rysowniku **Andrzeju Mleczce:**

...Mleczko, czyli Schwarzenegger rysunkowej kreski, to skórka banana dla państwowych urzędników, z których jeden, konkretnie cenzor, został zwolniony z pracy i musiał się zająć układaniem boazerii. A bezlitosny kat z ulicy Świętego Jana 14 (adres Galerii autorskiej Andrzeja Mleczki) — stał przy rzemieślniku — debiutancie: patrząc na krzywe listwy boazerii z diabelską miną zjadliwie rechotał: „teraz to ja panu tego nie puszczę!".

„NOWYJ MIR" ZAMIERZA OPUBLIKOWAĆ DWIE POWIEŚCI — do niedawna odsądzanego od czci i wiary — **Aleksandra Sołżenicyna: „Pierwszy krąg" i „Oddział chorych na raka".**

AKTORKA GDYŃSKIEGO TEATRU — HANNA BITTNER-SZYMAŃSKA — założyła na Wybrzeżu pierwszą prywatną scenę w Polsce. Zainaugurowała ona swoją działalność spektaklem „Sekskamerona" (opartego na motywach „Dekamerona" Boccaccia.

Przedstawienie obfituje w rozegliżowane sceny i ściąga tłumy publiczności.

Jak z tego widać, przedsiębiorczość plus pomysłunek są zawsze opłacalne!

JACEK BROMSKI, po zrealizowaniu świetnego kryminału „Zabij mnie glino", **przystępuje do pracy nad nowym filmem.** Tym razem będzie to **komedia erotyczna** — pod frapującym tytułem — „Sztuka kochania".

JAK POWIEDZIAŁ TENGIZ ABUŁADZE — podczas pobytu w zeszłym miesiącu **w Polsce** — wciąż **otrzymuje wiele listów po zrealizowaniu „Pokuty".**

Większość autorów stanowią widzowie zachwyceni filmem (blisko 90 procent). Ale są wśród nich i tacy, którzy ślą pogróżki reżyserowi — piszą nawet, iż pragnęliby go... zamordować — z czym, jak stwierdził Abuładze, wcale się nie kryją.

TOWARZYSTWO IM. FRYDERYKA CHOPINA otrzymało w darze od Raisy Gorbaczow portret kompozytora, namalowany przez bezimiennego mistrza.

Żona radzieckiego przywódcy została zaproszona, jako honorowy gość, **na najbliższy konkurs chopinowski** (odbędzie się on za dwa lata w Warszawie).

5-TYSIĘCZNY NAKŁAD POPOŁUDNIÓWKI „KURIER PODLASKI", ukazujący się w **Białymstoku,** rodzinnym mieście **Ludwika Zamenhofa,** wydrukowanej w języku esperanto, **rozpowszechniany będzie podczas Światowego Kongresu Esperantystów w Rotterdamie.**

PROFESOR ANDRZEJ ZAHORSKI, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, **autor wydanej dopiero co głośnej książki „Spór o Stanisława Augusta", wybiera się w najbliższych dniach, wraz z grupą naukowców, do Wołczyna.**

Nie spodziewa się jednak odnalezienia szczątków ostatniego króla Polski. Jak **powiedział w wywiadzie udzielonym „Kurierowi Polskiemu"** — „Miasteczko to przechodziło z rąk do rąk. W kościele w Wołczynie, gdzie w 1938 roku złożono trumnę królewską, był po wojnie najpierw magazyn zbożowy, a potem magazyn nawozów azotowych. Sklepienie runęło. Mamy prawo mieć wątpliwości, czy prochy królewskie ocalały".

ZBIGNIEW KOWALEWSKI (absolwent łódzkiej szkoły filmowej), **reżyser 30 filmów dokumentalnych, ukończył półtoragodzinny film, poświęcony** karierze **artystycznej Violetty Villas.**

W WARSZAWSKIEJ MENNICY zostanie wybity (w zwyczajowym nakładzie 3—5 tys. egzemplarzy), zaprojektowany przez **Bohdana Chmielnickiego, medal ku czci ofiar Katynia.**

Medal ten przekazany zostanie Towarzystwu Archeologiczno-Numizmatycznemu.

NA WĘGRZECH działalność prowadzi **40 prywatnych wydawnictw.**

NA XIX MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE ŚPIEWAKÓW OPEROWYCH W SOFII duży **sukces odniosła solistka Teatru Wielkiego w Łodzi — Roma Owsińska.**

W bardzo silnej konkurencji — rywalizowało 50 śpiewaków z kilkunastu krajów — uzyskała nagrodę specjalną jury.

Gratulujemy!

W ELBLĄSKIM MUZEUM POLECAMY NIEZWYKLE INTERESUJĄCĄ WYSTAWĘ IKON (ze zbiorów Muzeum Nowogrodzkiego w Związku Radzieckim). Eksponowane są ikony pochodzące z XII—XIX w.

Ta niecodzienna **ekspozycja czynna będzie do 22 września br. Warto ją obejrzeć w czasie wakacyjnych wędrówek.**

ZA OBRAZ CLAUDE'A MONETA „Dans la Prairie" w londyńskim domu aukcyjnym Satheby, nabywca (zastrzegł sobie anonimowość) **zapłacił rekordową cenę 14,3 mln funtów.**

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

tęgi (...) Moja teoria teatru zawiera warunek, że aktor nie powinien grać, powinien być, bo w sensie konwencjonalnym gra jest udawaniem. Aktorzy w Cricot nie udają, oni są, żyją w tym teatrze. Ja gram siebie".

„ZDRAJCA" DAŁ ZNAĆ

Oliver Stone, amerykański reżyser i scenarzysta, którego film „Pluton" wyświetlany jest aktualnie na ekranach naszych kin, znów dał o sobie znać. Rozpoczyna pracę na nowym obrazem zatytułowanym „Born in the Fourth of July" (urodzony 4 lipca). Będzie to historia Rona Kovica, podobnie jak Stone walczącego w Wietnamie, który sparaliżowany na skutek odniesionych ran, po powrocie do Stanów włączył się aktywnie w ruch przeciwko „brudnej wojnie", narażając się władzom oraz weteranom, dla których stał się „zdrajcą". Swoje doświadczenia z tego okresu zawarł w książce będącej podstawą scenariusza filmowego Stone'a.

SCENA JAK BOISKO

Boisko do gry w piłkę nożną, 15-metrowej wysokości figura Sfinksa i dwie gigantyczne piramidy — oto monumentalna scenerią, w jakiej pokazano operę Verdiego „Aida", w Kanadzie. W ciągu dwóch nocy to wielkie widowisko obejrzało ponad 30 tys. widzów. W tej dramatycznej opowieści operowej o losach etiopskiej księżniczki i jej tragicznej miłości wzięło udział ok. 1000 śpiewaków, tancerzy, chórzystów i aktorów „mówionych", jak również menażeria składająca się z tygrysów, słoni, lwa, 11 koni oraz ogromnego pytona. Sama waga sprzętu technicznego przekroczyła 180 ton, nie mówiąc już o specjalnym systemie nagłaśniania, który pochłonął 15 mln dol.

„Aida" pokazana zostanie w listopadzie br. w Sydney w ramach Międzynarodowego Festiwalu Oper, zaś na wiosnę przyszłego roku w Japonii.

WIERSZE NA ZAMÓWIENIE

Z ofertą nowego rodzaju usług dla miłośników poezji wyszło Brytyjskie Towarzystwo Telefonów oferując wiersze przez telefon, których można wysłuchać po nakręceniu odpowiedniego numeru telefonu. 5 minut poezji — testowane na razie w ramach eksperymentu — zostanie wprowadzone na stałe po uzyskaniu wymaganej liczby zainteresowanych. Program zainaugurowany został utworami poety Johna Heath-Stubbsa. Następnymi autorami i zarazem lektorami będą m.in. Kathleen McPhilemy, Jeremy Reed oraz James Berry. Koszt poetyckiego abonamentu wynosi 38 pensów (0,70 dol.) za każdą minutę poezji w godzinach szczytu oraz 25 pensów (0,45 dol.) w pozostałym czasie.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Mario Puzo „Ojciec chrzestny" — 3500 zł; „Podręczny słownik angielsko-polski" (2 t.) — 6500 zł; **Zofia Radwańska-Paryska, Witold Paryski** „Encyklopedia tatrzańska" — 7000 zł; **„Encyklopedia powszechna PWN"** (5 tomów, w tym suplement) — 70 000 zł; **„Atlas historyczny świata"** — 10 000 zł; **Lidia Długołęcka, Maciej Pinkwart** „Zakopane, Przewodnik historyczny" — 2000 zł; **Zbigniew Nienacki** „Wielki las" — 2000 zł; **Zbiorowa** „Ideologia i polityka Józefa Piłsudskiego" — 1500 (cena nominalna 650 zł) **Pu Yi** „Byłem ostatnim cesarzem — Chin" (Biografie niezwykłe", WL) — 2500 zł (cena nominalna 3 tomów 1400 zł).

Fraszki

JAN GROSS

DZIAŁANIA I SKUTKI

Czasem się ludziom za złe bierze
To, co uczynią w dobrej wierze.

GÓRY I DOLINY

Nie zbudujesz wieży
Na najwyższych graniach,
Im kto wyżej mierzy,
Tym niżej się kłania.

OSTATNI REJS

Kiedy dopłynął do koryta,
O dalszą drogę już nie pytał.

TRAGEDIA ATEISTY

W zakładzie pracy
Został wyklęty,
Kiedy się dobrał
Do wszystkich świętych.

(Fraszki z tomiku „Rodacy przy pracy" — Wyd. Inst. Zw. Zaw. W-wa 87).

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Kontynuujemy druk obszernych fragmentów nowej książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż", która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia z czasów, kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy. Po fragmentach rozdziału: „Raport w sprawie Cyganów", publikujemy fragment rozdziału: „Konfrontacja". W przygotowaniu dalsze.

Raport w sprawie Cyganów

(3)

Co było dalej — na ogół wiadomo. Zbyt wiele pozostało na temat dalszego rozwoju wydarzeń dokumentów, bym musiał je tutaj szczegółowo omawiać. Przypomnę tylko pokrótce, że władze niemieckie wydały polecenie, by opiekę nad obozem Cyganów objęli lekarze żydowscy. Zwiększyło to, rzecz jasna, szansę przeniesienia epidemii na teren getta. Wydział Zdrowia stanął przed dylematem — kogo skierować na tę niebezpieczną placówkę. Nie należało liczyć na to, że znajdą się lekarze, którzy, nie zmuszeni, zgłoszą się do pracy na tak niebezpiecznym odcinku. Na szczepionkę weiglowską nie można było liczyć... To nie dla Żydów.

Po długich deliberacjach problem został rozstrzygnięty stosunkowo demokratycznie. Lekarze sami zadecydowali, że o skierowaniu do pracy na terenie obozu cygańskiego decydować będzie losowanie. Okres pracy miał tam trwać dziesięć dni. Pracowało dwóch lekarzy jednocześnie. Po dziesięciu dniach zmieniało ich dwóch następnych. Losowaniu podlegali tylko lekarze nie posiadający rodziny. Wobec tego, że byłem od roku żonaty, zesłanie do obozu cygańskiego mi nie groziło.

I zaczęło się. Z idealną regularnością co dziesięć dni zmieniała się para lekarzy, których głównym zadaniem było szybkie separowanie chorych od zdrowych. (O gruntownym odwszeniu nie mogło być w tych warunkach mowy.) I co piętnaście dni nowa para lekarzy zapadała na dur plamisty. Nie pomagały żadne środki ostrożności. O jednym z lekarzy, doktorze A., opowiadano, że chcąc uchronić się od kontaktu z nosicielami wszy, badał chorych trzymając stetoskop na długość kija i stojąc na stole. I on zachorował... Trwało to około dwóch miesięcy. Może nieco dłużej. Nie potrafię też dokładnie powiedzieć, ilu z tych kilkunastu lekarzy przeżyło. O ile mnie pamięć nie myli — pięciu. Na szczęście w samym getcie liczba zachorowań na dur plamisty tylko nieznacznie wzrosła. Nie smakowała widać zarazkom anemiczna krew zamkniętych za drutami getta i skazanych na inne, przewidziane perspektywicznie rodzaje śmierci, Żydów. Natomiast wśród Cyganów zarazek mógł sobie poszaleć do woli. Rzadko gdzie i kiedy zostały stworzone pomyślniejsze warunki dla epidemii duru plamistego.

Początkowo na terenie obozu prowadzono jeszcze jakąś statystykę. Później i jej zaniechano. Nie wystawiano nawet kart zgonu. Zmarłych chowano bezimiennie na cmentarzu żydowskim, do którego zresztą z obozu były dwa kroki... Ziemia-matka nie czyniła różnicy między grzebanymi przy zachowaniu wszystkich form żydowskiego rytuału religijnego a grzebanymi bez łez i modłów Cyganami.

Trwało to, jak powiadam, około dwóch miesięcy. Aż pewnej nocy zajechały przed obóz cygański samochody ciężarowe, na które załadowano wszystkich zdrowych i chorych — i wywieziono. Niemcy nawet nie robili tajemnicy z losu, jaki spotkał mieszkańców obozu. Zresztą, przed kim mieli robić tajemnicę? Przed innymi podludźmi, których czekał podobny koniec? Wszystkich Cyganów wymordowano... Część wystrzelano, a część zagazowano w samochodach z rurami spalinowymi wmontowanymi do wewnątrz. Sposób ten wypróbowano już wcześniej na Żydach wysiedlonych z getta. Kamienice, które tworzyły obóz, wróciły do getta, czyli za pojedyncze druty kolczaste. Solidnie je wydezynsekowano i kilkadziesiąt rodzin żydowskich, zanim i te zagazowano w Chełmie lub w Oświęcimiu, zamieszkało w ich świeżych wnętrzach. Jak się później w Wydziale Zdrowia dowiedziano, na decyzję wymordowania obozu cygańskiego wpłynął podobno fakt zwiększonej liczby zachorowań na dur plamisty w samej Łodzi. Tej aryjskiej, rzecz jasna. Ile w tym prawdy — trudno dociec.

Oto wszystko, co mi w tej sprawie wiadomo: Przypuszczam, że jestem jedynym, który miał okazję tak blisko z nią się zetknąć, i to tylko dzięki słabemu sercu doktora Sz. i słabemu zwieraczowi doktora W. Ale, ale...

Ta historia ma przecież swój happy end, jeśli w ogóle określenie to może być w użyciu na jakimkolwiek etapie opisanych tu wydarzeń. Równo w piętnaście dni po swoim ostatnim pobycie na terenie obozu cygańskiego (to znaczy po owej wizytacji, w której brałem udział) — oberscharführer Eugen Jansen sam zachorował na tyfus plamisty. W jaki sposób dostała się do jego ciała zdradziecka wesz — nie wiadomo. Może z sierści pięknego wilczura, może inną drogą... W każdym razie psa z miejsca zastrzelono, co nie zmieniło faktu, że stan chorego po dziesięciu dniach choroby był taki, iż nie pozostało władzom nic innego, jak odwołać się do najbardziej kompetentnych potęg tego i tamtego świata. Nie pomogli lekarze niemieccy, wezwano do pomocy żydowskich, z getta — między innymi obydwu moich szefów. Ponadto szef Kripo wezwał do siebie wszystkich rabinów (było ich, zdaje się, czterech) i poradził im, by się zaczęli intensywnie modlić do żydowskiego Boga o przywrócenie zdrowia oberscharführerowi, gdyby bowiem umarł, mogłoby to na getto sprowadzić straszne klęski. Rabini mieli więc do wyboru — albo w trosce o los getta modlić się, by Eugen Janse jak najszybciej wyzdrowiał, albo w chęci zmniejszenia na świecie liczby wrogów Izraela, jak i w chęci zmniejszenia deficytu w rachunku krzywd, modlić się, by szybko wyzionął ducha.

Nie wiadomo, jaką decyzję podjęli rabini, o co się koniec końców modlili. Nie wiadomo, czy ich modły żydowski Jahwe w ogóle wziął pod uwagę. Faktem jest, że w dwa dni później Jensem zmarł, a getto przeżyło go o dwa lata i sześć miesięcy.

Konfrontacja (1)

Wczesną wiosną tego roku gruchnęła po getcie wiadomość, że hitlerowcy zamierzają przesiedlić tutaj dziesiątki tysięcy Żydów niemieckich. Jak większość plotek zawierających niedobre dla getta wieści, i ta okazała się prawdziwa. Zagęszczone do niemożliwości, miało wchłonąć tysiące nowych przesiedleńców. Wkrótce przybyły pierwsze transporty, a za nimi następne. Z Berlina, Hamburga, Kolonii, Monachium, a także z Wiednia i Pragi. Przesiedleńców rozlokowano w przeróżnych lokalach: w szkołach, w warsztatach, w barakach zamienionych na tymczasowe obozy, skąd miano ich później rozmieszczać po jakichś cudem wygospodarowanych mieszkaniach.

Kierował w tym czasie dużym ambulatorium lekarskim. Pewnego dnia otrzymał z Wydziału Zdrowia polecenie, by natychmiast udać się do jednego z takich obozów, znajdującego się w rejonie jego ambulatorium. Miał tam zorganizować punkt sanitarny i zapewnić przesiedleńcom stałą pomoc lekarską. Obóz mieścił się w pięciopiętrowym, wielkim i ponurym gmachu, który do chwili wybuchu wojny, a może do powstania getta, stanowił siedzibę sekty mariawitów. Szedł tam nie bez pewnej ciekawości. Żydzi niemieccy stanowili w Europie społeczność zupełnie wyjątkową. Zarówno ze względu na rolę, jaką do momentu objęcia władzy przez hitleryzm odgrywali w życiu kulturalnym i gospodarczym Niemiec, jak i ze względu na zupełnie swoistą, utworzoną w ciągu ostatnich stu lat mentalność. Wiele się na tę mentalność składało, ale przede wszystkim przekonanie o własnej odrębności i wyjątkowości. Trochę mu o tym wszystkim opowiadał ojciec, który, jak większość Żydów polskich — niemieckich Żydów nie lubił. Znacznie lepiej poznał te sprawy podczas studiów we Francji. Przypadły one na okres objęcia władzy przez Hitlera. Wielu Żydom niemieckim udało się znaleźć schronienie na ziemi francuskiej, schronienie, które uważali za tymczasowe, uważając, że cała awantura hitlerowska musi szybko minąć. Przez pewien czas związany był z dziewczyną, której ojciec należał do typowych przedstawicieli tej swoistej społeczności. Piastował wysoką godność w niemieckiej socjaldemokracji i był nawet właścicielem gazety, która swój rodowód i tytuł wywodziła od pisma założonego w swoim czasie przez Marksa. Na podstawie więc własnych obserwacji, na podstawie opowiadań dziewczyny, czasami wręcz zdumiewających, wyrobił sobie o Żydach niemieckich opinię, jak sądził, w miarę obiektywną. (...)

Pomarlawicki gmach zapchany był przesiedleńcami. Zarówno w dużych salach, jak i w pomieszczeniach mniejszych ustawiono setki dwupiętrowych prycz, zbitych z nie heblowanych desek. Prycze stały obok siebie tak blisko, że przejść między nimi można było jedynie bokiem. Wszystkie kąty, miejsca pod pryczami, między pryczami i na pryczach zajęte były przez walizy, torby, pakunki, tłumoki, pościel, suszącą się bieliznę, garnki, puszki z konserwami, talerze, garderobę. Aż dziw, że mogło tu się jeszcze znaleźć miejsce dla ludzi. Wobec tego, że musieli się przecież gdzieś pomieścić, najchętniej leżeli na pryczach, pilnując resztek swego dobytku, które władze pozwoliły im ze sobą zabrać.

Od razu się zorientował, że ludzie ci nie zdawali sobie w pełni sprawy z tego, gdzie, w jakich warunkach się znaleźli. Panował tu nastrój czegoś w rodzaju pikniku, majówki, wycieczki w nieznane. Na razie nie wpuszczano tu jeszcze ludności miejscowej, a przesiedleńcom nie spieszno było do zewnętrznych kontaktów. A mimo to życie towarzyskie kwitło. Odwiedzano się w różnych pomieszczeniach, zawiązywano znajomości, żartowano, ba! — urządzano nawet przyjęcia dla gości przybyłych z innego piętra czy innej sali. Walizki służyły za stoły, prycze — za krzesła. Jeszcze przesiedleńcy nie zaznali głodu. Trochę skarżyli się na warunki sanitarne, ale raczej przeważała ciekawość niż panika i zgroza.

Podczas tej pierwszej lustracji obozu przy ulicy Franciszkańskiej ograniczył się do powierzchownego sprawdzenia warunków sanitarnych i zorientowania się, czy nie ma wśród przesiedlonych jakichś chorób zakaźnych. Zorganizował też punkt lekarski, co przyszło mu tym łatwiej, że wśród przesiedleńców znajdowała się wcale pokaźna grupa lekarzy. Udało mu się cudem wygospodarować jakąś izdebkę, którą sami przesiedleńcy zobowiązali się doprowadzić do odpowiedniego stanu. Tam miał stale dyżurować lekarz i tam też po kilku dniach przesłał podręczną apteczkę.

Wrócił na Franciszkańską po tygodniu. Oficjalnie w tym celu, by zilustrować działanie punktu lekarskiego, nieoficjalnie, by zobaczyć, co tu się zmieniło. Kierowała nim niezdrowa ciekawość, której przed sobą się wstydził, ale której nie mógł się oprzeć. (...)

Pozornie nic się tu nie zmieniło. Zagęszczenie pozostało takie samo, prycze zawalone były nadal różnymi bambetlami, ale nastąpiło to, co nastąpić przecież musiało. Coś, co w normalnych warunkach miałoby, być może, wymiar historyczny i znalazłoby wyraz w kronikach czy przekazach, o czym by sobie opowiadano przez lata w tonacji bądź tragicznej, bądź anegdotycznej, jednak w warunkach niewoli niemieckiej, w głodującym getcie przybrało formę karykaturalną: coś, co w innych okolicznościach zasługiwałoby na pióro Szekspira, teraz prosiło się o kreskę Daumiera.

Obóz przesiedleńców zamienił się w jarmark, w targ, gdzie straganem była każda prycza, a przedmiotem handlu wszystko. Kiedy zaczęły wyczerpywać się skromne ostatecznie zapasy żywności, którą przesiedleńcy przywieźli ze sobą, i kiedy zrozumieli, że racje żywnościowe getta nie wystarczą, by utrzymać się przy życiu, tym bardziej że przejście od jako tako normalnego odżywiania się do gettowego głodowania nastąpiło nagle, nadszedł czas handlu czy wymiany. Przybysze skupywali każde ilości chleba, kartofli czy brukwi, które zawsze pokątnie można było nabyć, po cenach zazwyczaj bardzo wygórowanych. Teraz, kiedy gwałtownie wzrósł popyt, ceny na żywność zaczęły rosnąć w tak szybkim tempie, że przesiedleńcy musieli coraz szybciej wyprzedawać się z dobytku, na który istniał z kolei popyt, jeśli nie wśród wszystkich mieszkańców getta, to z pewnością wśród dużej ich części. Tylko że przesiedleńcy znaleźli się w sytuacji przymusowej, osłabiającej ich pozycję przetargową, musieli sprzedawać, aby móc kupić... Poza tym miejscowi byli bogatsi, bogatsi w doświadczenie życia za drutami, przybyszom zaś nie starczyło wyobraźni, by od razu klęskę swoją w pełni sobie uświadomić. W konsekwencji więc przesiedleńcy znaleźli się na łasce i niełasce tych, którzy mieli to niezwykłe szczęście, że znaleźli się za drutami wcześniej. Była to handlowa wiktoria miejscowych nad przybyszami. Ale ta handlowa wiktoria nabrała jednocześnie charakteru tryumfu jednej postawy żydostwa nad drugą. I do tego tej pogardzanej nad chełpiącą się i dumną. Był to więc swoisty tryumf i swoista zemsta. (...)

Cóż te dwa światy łączyło? Formalnie — religia, ale też różnie, w swej treści filozoficznej, i obrzędowej, pojmowana. Historycznie — wspólne, sięgające w daleką przeszłość korzenie i przez całe wieki taki sam los. Rasa? To już był argument pseudonaukowy. Co je dzieliło? Dwa wieki rozwoju Europy. Dwa wieki emancypacji, która ledwo, ledwo tknęła życia Żydów na wschodzie Europy i która przeobraziła gruntownie życie Żydów na zachodzie, a w pierwszym rzędzie życie Żydów niemieckich. (...)

I oto nastąpiło zderzenie tych dwóch światów. Nie w formie dyskusji, nie w formie wymiany myśli, ale w formie zaciekłych targów, w formie wymiany handlowej na pryczach obozów przesiedleńców w getcie łódzkim. Wymiana swetrów na brukiew, butów na cebulę, garnków czy poszew na kromkę chleba pozwalała tym pogardzanym Żydom polskim się odkuć. Za poniżenie, które okazywali im Niemcy, mścili się na przybyszach, czyniąc ich, zawiłym, meandrem myśli, odpowiedzialnymi za swój los. Odkuwano się nie tylko za pychę tamtych, za to, że świecili w oczy swoimi Zweigami, Einsteinami, Reinhardtami, ale i za swoją nędzną egzystencję, za wegetowanie w małych, przykurczonych na skraju historii miasteczkach, za pogromy, za getta ławkowe. Ci, którzy przybyli, nie zdawali sobie jeszcze w pełni sprawy z rozmiarów swojej klęski. Ci, którzy ich tu przyjmowali, nie chcieli zdać sobie sprawy z tego, że klęska jest obopólna. Wyzyskiwanie przesiedleńców uzyskało rację nadrzędne, a jeśli tego było jeszcze za mało, obarczano przybyszów dodatkową winą za zmniejszone przydziały żywnościowe, za jeszcze większe zagęszczenie, za własne rosnące cierpienia...

— Może się pan doktór napije herbaty?

— Co? Może. Proszę bardzo — pytanie mężczyzny wyrwało go z jakiegoś stanu pół snu, pół wspomnień. Było mu zimno, miał dreszcze. Propozycja wypicia herbaty była co najmniej przesadna. Herbata gettowa była roztworem z palonego cukru i w niczym nie przypominała autentycznej herbaty. Było mu jednak wszystko jedno. Byle się trochę ogrzać.

...Wtedy była wiosna i przybysze beztrosko pozbywali się ciepłej odzieży, którą wykupywali miejscowi, mając doświadczenie dwóch zim spędzonych w warunkach getta. Sale i pokoje gmachu przy Franciszkańskiej rozbrzmiewały hałaśliwą wrzawą bazarowych przetargów. Stanął obok jednej z prycz i przysłuchiwał się końcowym etapom transakcji. W jej wyniku piękny, wełniany pulower przechodził na własność kupującego za sumę kilkudziesięciu marek gettowych, za które trudno było kupić kilogramowy bochenek chleba. Kupujący mówił po żydowsku, sprzedający po niemiecku. Doskonale się rozumieli i doskonale ukrywali wzajemną niechęć. Przez chwilę miał ochotę wtrącić się do targu i pouczyć przybysza, że getta nie można było przeżyć zarówno bez chleba, jak i bez pulowera... Zrezygnował z tego zamiaru. Zresztą końca transakcji wówczas nie doczekał. Postanowił jak najszybciej uciec z tego obrzydliwego targowiska. Gdy zamierzał opuścić salę, został nagle popchnięty przez kilkuletniego chłopca, który omal go nie przewrócił. Chłopiec biegł wołając donośnie: — Liese! Liese!

— Uważaj, dziecko — powiedział. — To nie jest plac zabaw. Rodzice ci tego nie powiedzieli?

— Przepraszam pana, Liese to moja siostrzyczka. Mama kazała mi ją odszukać — to mówiąc chłopiec wskazał jedną z prycz pod drzwiami.

Spojrzał w tym kierunku i ujrzał siedzącą na pryczy z podkurczonymi pod siebie nogami kobietę lat trzydziestu, może trzydziestu pięciu...

— Jak się nazywała ta rodzina tam na dole? — zapytał mężczyznę nalewającego mu do szklanki gorący płyn.

— Reiser, panie doktorze. Oni pochodzą z Hamburga.

— Mieszkali tylko w trójkę?

— Początkowo mieszkał tam jeszcze jakiś... Jak wywozili z getta wszystkich nie pracujących Żydów niemieckich, jego też wywieźli.

Tak. Z przesiedlonych wywieziono prawie wszystkich. To znaczy tych, których do tego czasu nie wykończył głód. Hitlerowcy uważali, że przybysze z Niemiec czy Czech powinni iść na pierwszy ogień. Władze getta były zresztą też tego zdania...

Podszedł do siedzącej na pryczy, zafascynowany jej niezwykłą urodą. Gdy się do niej zbliżył, spojrzała na niego wzrokiem, w którym dziewczęca naiwność i nie sprecyzowana obietnica roztapiały się w tępej obojętności. Strząsnęła z czoła pukiel jasnych włosów, a zorientowawszy się, że mężczyzna, który podszedł do niej, został przed chwilą potrącony przez jej syna, powiedziała:

— Przepraszam pana bardzo, ale trudno tu utrzymać dzieci przy sobie.

— Nic się nie stało. Czy można pani w czymś pomóc?

— Pomóc?— wydała się zdziwiona — w czym może mi pan pomóc?

Z pryczy nad nią, niby z baldachimu, wychylił się jakiś mężczyzna i powiedział w dół:

— Męża tej pani, doktora Reisera, gestapo aresztowało. Został wysłany do obozu.

— Mąż pani był lekarzem?

Zbyt późno spostrzegł się, że użył czasu przeszłego. Nie odpowiedziała. Odpowiedział natomiast ten z góry. Widocznie i on uznał, że czas przeszły będzie tu najodpowiedniejszy:

— Nie. Był prawnikiem.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Kobieta widać nie bardzo skłonna była do rozmowy. Kiedy zamierzał ją pożegnać, zagadnął go mężczyzna z góry. Był to młody stosunkowo człowiek o bladej, prawiej białej twarzy.

— Czy są tutaj jacyś neurolodzy?

— Są. Oczywiście, że są. Dlaczego pan o to pyta?

— Jestem chory. Na pewno słyszał pan o takiej chorobie, Sclerosis multiplex. Multiple Sklerose. — Najpierw podał nazwę łacińską, a później powtórzył ją po niemiecku. — Trudno mi chodzić. Jeszcze trudniej pracować. Powiedziano mi w Hamburgu, że jeśli będę miał odpowiednie zaświadczenie lekarskie, zostanę zwolniony z pracy, otrzymam rentę i podwójną rację żywnościową.

— Tak panu powiedzieli w Hamburgu? — starał się, by pytanie nie zabrzmiało ironicznie, ale nie bardzo mu się to udało. Przyślę panu neurologa.

Spojrzał jeszcze raz na kobietę, która tłumaczyła coś dzieciom, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, i poszedł dalej...

— Panie Goldsztajn, czy ten, co tam mieszkał na dole, miał trudności w chodzeniu? To znaczy, czy chorował na nogi?

— Tak, tak. Prawie zupełnie nie wychodził.

...Po dwóch, czy trzech tygodniach przesiedlonym z zachodu przydzielono mieszkania. Trudno zresztą było użyć tego określenia w stosunku do pomieszczeń, które przypadły im w udziale. Nawet gdyby władze getta okazały jak najlepszą wolę — a w tym wypadku z całą pewnością tego nie zrobiły — było rzeczą niemożliwą, by wszystkich, których przesiedlono do getta, przydzielić kwatery czy mieszkania umożliwiające normalne życie. Już przed przybyciem Żydów niemieckich warunki mieszkaniowe były straszne. Zresztą ludzie, którzy reprezentowali władze getta, myśleli tak jak większość tutejszej ludności. Dla nich przesiedleńcy byli nie tylko intruzami z zewnątrz. Byli Żydami ukaranymi za to, że się wyrzekli swego żydostwa. Wszystko było tylko konsekwencją tej kary.

ARNOLD MOSTOWICZ

C.D.N.

— Nie, w żadnym wypadku nie możecie państwo jechać do Latiny. Dzieją się tam rzeczy okropne. Na azyl czeka się długo, czasami po dwa lata. Komisje, które zajmują się obozowiczami, mają swoją ustaloną metodę pracy, która opiera się na dewizie: co nagle, to po diable. Zresztą, oprócz potencjalnych azylantów, zwala się na obóz, szczególnie jesienią, ogromna liczba Cyganów, w większości z Polski.

— Cyganów? — zdziwił się Duch.

Zahorski nalał wina, podniósł kieliszek. Byli już po obiedzie, Georgia patrzyła przed siebie obojętnie, sennie. Żona Zahorskiego sprzątała ze stołu.

— Cyganie polscy — ciągnął gospodarz — *często najeżdżają Latinę. Cały tabor zjawia się w obozie, żąda azylu. Nie można ich przecież wypędzić. W Polsce zima, śniegi, a tu klimat łagodniejszy. I jedzenie za darmo. Cyganie trzymają baby i dzieci na miejscu, a sami wędrują po okolicach, zapuszczają się do Rzymu i Mediolanu, kto ich się tam doliczy! Robią interesy, handlują złotem, dolarami, brylantami. Kupują używane samochody, zresztą wszystko, na czym w Polsce można zarobić. To trwa całą zimę. Kiedy przychodzi wiosna, i w Polsce już nie ma śniegów, Cyganie nagle rezygnują z azylu. Pewnego ranka cisza w obozie, wymiotło ich. Jadą z powrotem do Polski, sprzedać to, co zdobyli. Kiedy na jesieni zjawią się z powrotem w Latinie, nikt nie będzie w stanie odróżnić poprzednich od obecnych. Nikt ich zresztą nie traktuje poważnie, wiadomo, że przełażą przez wszystkie granice bez problemów, na co im w ogóle jakieś azyle? A do Ameryki nikt ich przecież nie wpuści.*

— Mam wspaniałego świątka do sprzedania — powiedziała nagle Georgia.

— Zabrałaś świątka?! — krzyknął Duch.

Był to świątek ze skansenu kurpiowskiego, świątek prawie trzystuletni. Duch dostał go kiedyś od pijanego robotnika, kiedy zwiedzał skansen. Za litr wódy. Wiedział, że ten świątek wart jest kilkaset dolarów, pewien korespondent amerykański chciał go kupić natychmiast. Dawał najpierw dwie stówy, po chwili doszedł do czterech i położył forsę na stół. Duch odmówił. Pokochał tego świątka, bardzo markotnego chłopinę, wydłubanego z drzewa lipowego. Zostawił go w Polsce u rodziny. Nie wiedział, że Georgia w ostatniej chwili zabrała figurkę w podróż.

Teraz sięgnęła do torby i postawiła kurpiaka na stole, w środku Rzymu. Ludowy rzeźbiarz ani nie przypuszczał, że jego dzieło znajdzie się po kilku stuleciach tak blisko papieża.

Zabłysły oczy gospodarzy. Szczególnie pani domu napaliła się na to drzewo. Ale zagrała „cool", obojętną. Pokazała na dwa świątki, stojące na komodzie, jakieś cepeliowskie paskudztwa, wyrabiane seryjnie pod turystów — ciemniaków.

— Moje świątki są ładniejsze — powiedziała — *bardzo je lubię. Ten wasz jakiś taki smutny.*

Albo grała idiotkę, albo rzeczywiście nią była. Jeżeli naprawdę była ciemna, to wiadomo, że się z niej dobrej ceny nie wyciśnie. Jeżeli udaje, że się nie zna na sztuce, i nie ma pojęcia o prawdziwej wartości przedmiotu, to zawsze jest szansa, żeby pobudzić jej chciwość. Georgia wiedziała, że Duch nie zaprotestuje — pieniądze były im bardzo potrzebne. A jednocześnie podniecała ją perspektywa posiadania pięciuset dolarów — pół miliona lirów! — bo na tyle liczyła.

Jest takie gruzińskie przysłowie, dotyczące zdolności handlowych poszczególnych narodów: Żyd przechytrzy Armeńczyka, Żyda przechytrzy Grek, ale Gruzin kupi ich wszystkich i sprzeda im samym, tylko dwa razy drożej. I oto Duch miał okazję sprawdzić w praktyce umiejętności swojej Gruzinki.

Upór i spryt pani Zahorskiej przechodził ludzką wyobraźnię. Nie, nie była Żydówką — była to Polka z krwi i kości, wysoka, przystojna blondyna, o jasnym, szczerym wejrzeniu. Ale nie było na nią ani rady, ani sposobu. Ten wspaniały świątek, wart bez najmniejszej wątpliwości te pół tysiąca amerykańskich papierów, został po godzinnej walce sprzedany za...

Jan Duch nie mógł zapanować nad sobą, kiedy przyszło do wymienienia ceny. Zadławiło go z gniewu, podziwu dla ludzkiej bezczelności, i ze śmiechu jednocześnie.

— Byliśmy wtedy na dnie. Przerażeni tym wszystkim — opowiadał. — *Każdy grosz miał wielkie znaczenie: dzień głodu lub dzień względnej sytości. W końcu przecież dostałem tę rzecz za litr wódki! I oddaliśmy świątka za jedne dziesięć dolarów.*

— Rabunek w biały dzień — powiedziałem.

— Exactly — zgodził się Duch. — *Po kilku latach, kiedy Georgia była już żoną faceta, spowinowaconego z królem Belgii, milionera, którego rodzina posiadała połowę Luxemburga, sprawa świątka znowu powróciła. Georgia nie mogła znieść świadomości, że ktoś ją zrobił w konia. Nigdy nikomu nie darowała, taki mały Stalinek. Pojechała do Rzymu i zażądała oddania świątka, oczywiście dziesięć dolarów zwróciła. Wtedy jacyś ludzie proponowali jej tysiąc za tę zabawkę, ale tysiąc nie znaczył już dla niej nic. O ile wiem, ma tego świątka nadal.*

Targ z Zahorskimi został ubity, ale atmosfera zwarzona. Wszyscy obecni wiedzieli, że był to klasyczny rip-off, wyrolowanie naiwnego, czy też potrzebującego. Wtedy zadzwonił Jerzy Giedroyć, który wiedział, że o tej porze Duch z żoną będą u Zahorskiego.

Najpierw Giedroyć pogadał trochę z Zahorskim, potem słuchawkę przejął Duch.

— Wydałem polecenie Zahorskiemu, żeby panu wypłacił pięćdziesiąt tysięcy lirów. On panu znajdzie jakieś tanie lokum. Za hotel, oczywiście, będzie pan musiał płacić sam, ale jeśli podeśle mi pan jakąś prozę, to otrzyma pan honorarium. Najlepiej byłoby, gdyby pan napisał wyjaśnienie dla naszych czytelników, podając powody, dla których pan decyduje się pozostać na Zachodzie.

Jan Duch zrozumiał, że oto zaczyna się polityczna gra na całego, zawodnik nazwiskiem Giedroyć strzela na jego bramkę, i Duch musi uważać, żeby nie wpuścić gola.

— Na ile stron? — zapytał obojętnie.

— Na ile pan sobie życzy. Może być dziesięć, może być pięćdziesiąt.

— Czy płaci pan od strony?

— Zwykle tak, ale w szczególnych wypadkach płacimy określoną sumę za tekst, niezależnie od jego długości.

— Chciałbym zarobić jak najwięcej — powiedział Duch — *ale nie chciałbym w tym celu rozciągać w nieskończoność mego tekstu.*

— Bardzo słusznie. Proszę się czuć swobodnie pod tym względem.

— Czy ma pan jakieś sugestie co do formy, czy treści takiego wyjaśnienia? Bo nie wiem, jak to ma wyglądać, nigdy czegoś takiego...

— Absolutnie żadnych restrykcji — powiedział Jerzy Giedroyć. — *Niech pan pisze wyłącznie to, co chciałby pan powiedzieć naszym czytelnikom, rozsianym po całym świecie, którzy chcieliby się czegoś o powodach pana decyzji dowiedzieć. Wydrukuję pana tekst bez zmian. I jeszcze jedno: chciałbym, żeby pan wiedział, że nie kierują mną żadne względy polityczne, po prostu uważam za swój obowiązek pomagać ludziom zdolnym, którzy znajdują się w trudnej sytuacji życiowej.*

— Rozumiem, panie redaktorze. Bardzo panu dziękuję — powiedział Duch i na tym rozmowa się skończyła.

Duch wiedział, doskonale, że Giedroyć kłamie, ponieważ trudna sytuacja zdolnego człowieka obchodziła go tyle, co litewski śnieg sprzed stu lat. Kierowała nim wyłącznie potrzeba zbicia kapitału politycznego, choćby najmniejszego, na każdym takim zdolnym, potrzebującym pomocy. Duch nie był takim frajerem, na jakiego wyglądał, a Giedroyć nie był takim czyściochem moralnym, za jakiego chciał się przedstawić. Był to twardy zawodnik, agent polityczny od dziesiątków lat, wytrenowany w twardej szkole wywiadu wojskowego, potem sterowany przez CIA, utrzymujący „Kulturę" i Instytut Literacki z funduszów wywiadu amerykańskiego, bo przecież lista darowizn, publikowana w każdym numerze na ostatniej stronie, to tylko kamuflaż. Za te wszystkie darowizny można sobie zjeść dwa dobre obiady na miesiąc w Paryżu, nic więcej.

Jan Duch nie miał złudzeń co do tego, jakiego tekstu Giedroyć potrzebuje. Ustawmy sprawę jasno, znam Janka od wielu lat i wiem, że nie nadawał się na gracza politycznego, była to dusza szczera, żywiołowa, a przede wszystkim nigdy nie zależało mu na władzy nad kimkolwiek — co za tym idzie, nie cierpiał, kiedy ktokolwiek miał władzę nad nim. Każdy niech sobie żyje spokojnie, dla siebie, w sposób, jaki mu najbardziej odpowiada — to była jego dewiza. Czasem, kiedy widział, że ktoś go chce rolować w sposób nieprzystojny, stawał się brutalny, niekiedy z daleko posuniętymi skutkami. Ale to była tylko samoobrona. Teraz zaś stał w zupełnie nowej sytuacji, z której trudno było wybrnąć niedoświadczonemu chłopakowi.

Koty Wiecznego Miasta

Wiadomo, że Jerzy Giedroyć oczekiwał tekstu, w którym Jan Duch potępi ówczesne władze Polski oraz komunizm w ogóle. Taki tekst mógł otworzyć płaszczyznę porozumienia między grupą „Kultury" a tym młodym, nieco już skompromitowanym przez wrobiony w niego „antysemityzm", poetą. Wówczas pewne drzwi, pewne możliwości, stanęłyby przed Janem Duchem otworem. Ale rzecz w tym, że Jan Duch, nie będąc miłośnikiem stosunków panujących w Polsce, tekstu antykomunistycznego napisać nie mógł.

Duch bowiem, w najgłębszej głębi swojej duszy, uważał komunizm za najpiękniejszą ideę, kiedykolwiek przez ludzkość wymyśloną. Idea i jej wyobrażony efekt końcowy są piękne, czyste, przejmujące miłością człowieka do człowieka. Ale jak do tego dojść? Przez brud, krew, morze krwi? Co osiągnął Kościół poprzez chmury ze stosów Inkwizycji? Co osiągnął Stalin? Czy to był komunista? Czy miał marzenie: wizję szczęścia ludzkiego na tej planecie? Czy komunizm nie może obejść się bez wodza? Jaka gwarancja, że następny wódz, jeżeli taki przyjdzie, znów nie będzie przestrzeliwszonym, spragnionym krwi schizofrenikiem? Jaką cenę trzeba płacić za trzymanie tej idei przy życiu, za czynienie jej atrakcyjną dla mas?

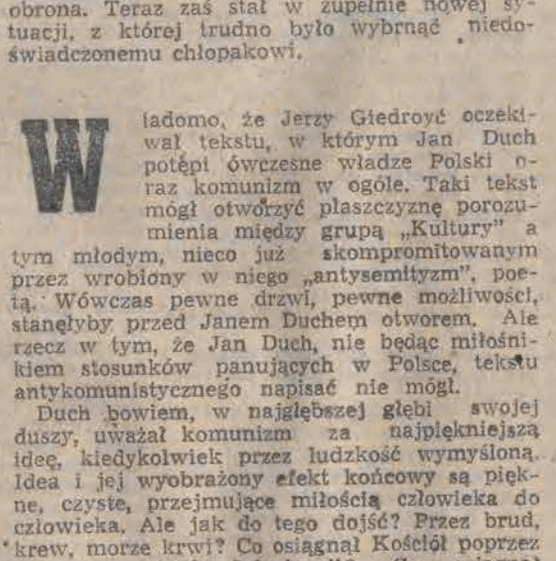

Foto: Jan Styczyński

Jan Duch nie uciekał od komunizmu. Jan Duch uciekał od ludzi, którzy nie mieli żadnych szans, żeby tę ideę chociaż częściowo wprowadzać w życie. Uciekał od ludzi słabych, głupich, nieuczciwych, małych drobnomieszczan i drobniutkich kapitalistów, zaplątanych przez przypadek w nie sprzyjającą im strukturę. Edward Gierek i jego „otwarcie na Zachód", jego pożyczki, jego inwestycje! Jakaż to parodia — zarówno zdrowego rozsądku, jak i litery leninowskiej idei! Zasadniczy błąd tego wszystkiego polega na tym, że mali prostaczkowie, którzy siłą naturalnej rotacji kadr wdrapują się kolejno na swoje karuzelowe, wirujące krzesełka „władzy", wyobrażają sobie, że są ucieleśnieniem idei, że każda krytyka w nich skierowana jest krytyką samej idei, „ustroju", jak to określają, a to jest niedopuszczalne. Ach, jak oni za to niedobrych śmiałków karzą! *„Jan Duch zdradził kraj"*, małe pieski podały w gazetach. Jaki kraj, nicponie? Bez was, to dopiero byłby kraj!

Jerzy Giedroyć czeka na polityczny testament Jana Ducha, a Duch grzęźnie w rozważaniach na temat, czy to ludzie nie dorastają do komunizmu, czy to komunizm tak przerasta możliwości ludzi, że wychodzi z tego bieda. I co tu Giedroyciowi napisać, temu Giedroyciowi, któremu też o nic innego nie chodzi, tylko o zachowanie status quo? Przecież gdyby wszystko, o co chodzi Giedroyciowi, zostało w mgnieniu oka zrealizowane, gdyby Polska stała się dokładnie taka, jak ją sobie Giedroyć wyobraża — co wtedy stałoby się z Giedroyciem? On, jako on, może istnieć tylko w stanie permanentnego zawieszenia, w stanie tej walki, którą prowadzi od dziesiątków lat z takim samym skutkiem, czyli bez skutku.

Łatwo traktować lekko dylemat Jana Ducha teraz, po blisko dwudziestu latach, kiedy siedzimy obaj w kawiarni Związku Literatów (do którego Duch zapisał się ochoczo, w miejsce byłych stalinowców, którzy dziś, jako liberałowie, nowym „komunistycznym" Związkiem pogardzają), łatwo śmiać się ze złudzeń Giedroycia, który dziś, jak ten wróbel z dowcipu, który po całym dniu orania, spędzonym w grzywie konia, ćwierka do niego znad żłobu: ale śmy się napracowali, co? Rzecz w tym, że jest to wróbel przepędzony, a pole nie zaorane, nie zasiane, po prostu ugór. Wszystko jedno; nam, to znaczy mnie i Duchowi, jest teraz o wiele łatwiej gadać o tym, cośmy przeżyli niż wtedy to przeżywać.

— Przez te wszystkie lata — powiada Jan Duch — *nabrałem przekonania, że komunizm to sprawa ludzi wolnych. Jest to po prostu wolny wybór każdej zainteresowanej jednostki. Ja rozumiem, że w swoim czasie mister Karl Marx, a potem mister Uljanow nadali dość atrakcyjny i przekonywający wyraz swoim ideom, i rozumiem, że duża część pewnych społeczeństw wyraziła daleko idące zainteresowanie tymi ideami, ale to nie powód, żeby z tych idei czynić religię i w imię tych idei, albo też pod ich pretekstem zabijać ludzi. Każda idea jest wytworem ludzkiego mózgu, jakiegoś konkretnego ludzkiego mózgu, a każdy mózg może okazać się omylny. Papież jest omylny, ponieważ zakładanie nieomylności, choćby w sprawach religii, jest nieporozumieniem, dlatego, że ogromna liczba ludzi na świecie uważa religie, wszelkie religie, za nieporozumienie, jeśli nie wręcz za objaw choroby mózgu. Idee polityczne, wizje nowych kształtów i sposobów życia ludzkiego pociągają mnie, zwłaszcza komunizm, ale nikt nie ma prawa zmuszać mnie do ponoszenia konsekwencji błędów w realizowaniu tejże idei przez osoby niekompetentne, w ogóle mi nie znane, wzbudzające moją niechęć i obawę. Nie znoszę kapitalizmu, ludzie robiący Boga z pieniądza są mi równie obcy i wstrętni jak ci, którzy nadużywają swoich stanowisk w tak zwanym komunizmie. Ale w kapitalizmie nikt nie zmusza mnie, żebym przyjął doktrynę pomnażania pieniędzy za jedynie możliwy rodzaj życia, nikt też nie będzie mnie karał za to, że odmówię spekulowania, produkowania czegoś, czy choćby oszczędzania. W Polsce są kary za bycie blue-bird'em, czyli niebieskim ptakiem, a przecież, przepraszam bardzo, gówno komu do tego, czy ja pracuję, czy leżę do góry brzuchem cały dzień i kontempluję własną brudną stopę. Urodziłem się wolny i chcę żyć, a także umrzeć, wolny. Warunki społeczne, warunki i możliwości otwarte przed ludźmi powinny zapobiegać marazmowi jednostek, a nie ustawy o niebieskich ptakach. W Kanadzie miałem okres* — ciągnął Duch — *kiedy po prostu piłem wódkę, leżałem, czytałem filozofów hinduskich i miałem resztę świata w dupie. Nikt nie wtykał nosa w moje sprawy, bo za to dopiero groziłaby mu kara! Naruszenie twojej privacy, czyli swobody osobistej, to najgorsze przestępstwo. Otóż, będąc całym sercem za komunizmem, wyjechałem z Polski, ponieważ w moim pojęciu materiał ludzki, który się do robienia komunizmu w Polsce zabierał, był gówniany, i nic na to poradzić nie mogłem. Powódź przeciętności, szarzyzny, zawiści, korupcji i żebractwa zatapiała wszystko, w takim wypadku można tylko utonąć lub zwiewać, gdzie pieprz rośnie. Gdyby chociaż było kilku takich jak ja, fajnych chłopaków!*

— Co rozumiesz pod pojęciem fajnego chłopaka?

— Fajny chłopak to taki, któremu nie zależy na władzy, na forsie, na zagarnianiu wszystkiego do siebie, który jest kompletnie wyprany z chłopskiego samolubstwa i podejrzliwości, który wie, że powinno się jeść trzy razy dziennie i zakładać na nogi jedną parę butów naraz. Fajny chłopak, jeżeli ma funkcję społeczną, to wie, że ma funkcję społeczną, a nie władzę. On wie, że ma służyć ludziom, a nie sprawować nad nimi władzę. Władza? Cóż to jest władza? Jakim prawem jakiś facio, który może być interesujący przez pięć minut, ale nie dłużej, ma sprawować nade mną władzę? Nikt nie ma prawa sprawować nade mną władzy.

— Mówisz jak dziecko. Trzeba jakoś żyć, czy tu, czy w Ameryce.

— W Ameryce wielu ludzi nie wie, jak się nazywa obecny prezydent, ani do jakiej partii należy. Mają to po prostu głęboko. Tak długo, dopóki ten prezydent nie wpieprza się w ich osobiste sprawy. A jeśli zacznie, to mu wytoczą sprawę sądową, i jeśli mają podstawy, to wygrają. Spróbowałbyś pozwać do sądu autora ustawy o niebieskich ptakach?

Machnąłem ręką. Głupota Ducha, wytwarzająca się w zetknięciu z polską rzeczywistością jak mieszanka chemiczna nie pasujących do siebie składników, przerażała mnie, groziła wybuchem. Ja sam zamierzam osiedlić się w Polsce i nie chciałbym się narażać władzy, ani terenowej, ani centralnej. Czuję się tak, jakbym znów wrócił do pierwszej klasy szkoły podstawowej, gdzie wszyscy boją się nauczyciela, walącego „łapy", a także drżą przed skarżypytami, lizusami, i tymi, co tłuką słabszych na przerwach i zabierają drugie śniadania. Tak się czuję, ale lubię tę atmosferę, ponieważ jestem patriotą, a Duch to jakiś kosmopolita. Cóż, on pisze wiersze po angielsku, a ja reportaże po polsku. To duża różnica.

Mówię więc:

— Janek, wracaj do Kanady. Nie uchowasz się tutaj. Zjedzą cię. Komuniści, katolicy i Żydzi zjedzą cię na śniadanie. Uciekaj.

— A ty?

— Nie mogę. Czekam na mieszkanie. Zapisałem się do spółdzielni na kandydata na członka. Za trzynaście lat mnie przyjmą. Mieszkanie dostanę, nie śmiej się, to są realne szanse, za czterdzieści sześć lat. Będę wtedy miał już lat sto dwanaście, ale właśnie ten okres oczekiwania spowoduje, że będę taki długowieczny.

— Przeżyjesz Giedroycia.

— On już dawno powinien umrzeć. Ale co, napisałeś mu w końcu tę spowiedź zawiedzionego agenta komunizmu?

— Tak. Ale to było później. Na razie wróćmy do dnia, kiedy odwiedziłem po raz pierwszy Zahorskiego.

Po południu Zahorski powiózł Ducha i Georgię przez Rzym do dzielnicy żydowskiej, gdzie znajdował się bardzo tani pensjonat, cztery dolary dziennie, na Via del Tempio numer cztery. Kilka kroków od głównej synagogi rzymskiej i jakieś dwa kilometry od bazyliki, czyli od granicy państwa Watykan, państwa bez kobiet i dzieci. Tam mieszkańcy, mężczyźni, rozmnażają się sami. Duch chciałby zwiedzić to państwo, ale trudności z przekroczeniem bariery granicznej były większe, niż gdyby chciał dostać się do Albanii.

Wieczorem poszli z Georgią na samodzielny spacer. Zapachy z małych restauracyjek kręciły im w głowach. Mieli ochotę na butelkę wina, ale bali się naruszyć grosze, otrzymane od Zahorskiego. Było tego zaledwie na dwanaście noclegów, a przecież musieli jeszcze coś jeść, przynajmniej raz dziennie.

— Skąpy ten Giedroyć — poskarżyła się Georgia. *— Nie ma gestu. Mógłby ci dać przynajmniej tysiąc dolarów, co to dla niego.*

— Jak by dał, to moglibyśmy kupić używanego Fiata i wrócić do Polski. Przecież on nie wie, co zamierzamy zrobić. Wciąż jeszcze jesteśmy na paszporcie polskim, na wizie, która za kilka dni się skończy.

— Przedłużymy — powiedziała z przekonaniem. *— Przecież wiesz, że wszystko można załatwić. To nie Polska, gdzie urzędnicy są po to, żeby cię zajebać.*

— W Polsce miałabyś czterysta dolców za świątka — rzekł uszczypliwie Duch.

— Nie martw się. Będę jeszcze taka bogata, że będziesz mnie prosił o pożyczkę.

Przechodzili w mroku obok ruin Teatro Marcello. Woń stęchlizny i moczu wypełniała ulicę jak chmura. Nagle Georgia uskoczyła z piskiem. O jej nogi otarł się szybki, żywy cień. Duch pomyślał, że to szczur wyskoczył z niskich otworów piwnicznych budowli. Był to niebywale wychudzony kot. Rozejrzeli się dokładniej. Pod podcieniami półkolistego budynku siedziały, spacerowały i leżały koty. Były ich dziesiątki, setki. Te, które chodziły, słaniały się z głodu. Duch jeszcze nie widział tak wychudzonych zwierząt. Były to dzikie zwierzęta, a przecież nie rzucały się na ludzi. Ale budziły strach w obcych. Masa tych kocich szkieletów, obciągniętych skórą. Gdyby myślały społecznie, mogłyby wciągać samotnych przechodniów w ruiny i tam się odpowiednio odżywiać.

— Czuję się jak jeden z tych kotów — powiedział nagle Duch. — *Obok ludzi, w ruinie.*

— Ja też — nieoczekiwanie przyznała Georgia.

C.D.N.

„Azyl polityczny" — nowa książka Andrzeja Brychta

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

Dom

Fragment naszych powojennych dziejów sfabularyzował Jan Łomnicki w filmie pt. „Dom" na podstawie scenariusza Jerzego Janickiego i Andrzeja Mularczyka i jest to najlepsza chyba jak dotąd próba, ponieważ ukazuje je poprzez ludzi, którym przyszło w nich żyć. Film przedstawia dwa światy: schodzący Basi Lawiny i Łukasza Zbożnego i wschodzący rzutkich braci Talarów, których młodzieńczy, ale i naiwny entuzjazm wróży może sukcesy, lecz i zwiastuje nieszczęście. Z kolei nad całością dyskretnie czuwa pan Henryk Lermaszewski — warszawski taksówkarz i coś tam jeszcze, który z założenia nie wchodzi w zapał i pozostaje w cieniu rozgrywających się wydarzeń.

Choć zwykle piszę prosto i od serca, tym razem pozwolę sobie na patetyzującą ekstrawagancję i powiem, że dom przy ulicy Złotej 25 to symbol odbudowy oraz świadek radości i rozczarowań ludzi, których przygarnął pod swój dach.

Mimo, że głównie poprzez Andrzeja Talara opowiada się tę historię, to może najpierw trochę o Basi i Łukaszu. Półgębkiem jak dotąd wyjaśnia się losy ludzi, których ucieleśnia Łukasz, a także dowódca Andrzeja z AK, Wiktor, i może wyraźniej należałoby oświadczyć że niekoniecznie to byli bandyci. No bo dlaczego Łukasz przygaszony wojną i kilkuletnim pobytem poza krajem ląduje w więzieniu, podobnie zresztą jak amnestionowany wcześniej Wiktor? W Związku Radzieckim pasjami odkrywa się wstydliwe karty historii, dlaczego by i u nas paru nie odsłonić? Basia wspomina Łukasza, który zaginął w Powstaniu, czeka i nie czeka, bo myśli, że zginął, wychodzi za Andrzeja.

Łukasz wraca, odchodzi od Andrzeja, serce jej krwawi i również ona w jakimś sensie jest ofiarą logiki dziejów.

Świeży „nawóz" historii to Andrzej Talar, który jednak, jakby na to głębiej popatrzeć, również pod względem ideowym nie jest bez zarzutu, gdyż jego ojciec otrzymawszy ziemię wymknął się teorii i okopał w swym „kułackim" egoizmie. Andrzej uczy się, uczestniczy w rutynowych akcjach młodzieży w tym okresie: odbiera chłopom zboże, wiwatuje itp., ale pod tymi zewnętrznymi pozorami tkwi sceptycyzm, zdrowy chłopski rozum, który potrzebuje czasu, aby się wyartykułować. Młodszy brat Bronek już go nie posiada, stąd łatwiej nim manipulować i zdemoralizować.

Zastanawia towarzysz Jasiński, którego fanatyzm ideowy kruszy się na kolejnych zakrętach historii i do głosu dochodzi myślenie. Pozostałe postaci, z których na szczególną uwagę zasługują dozorca Popiołek oraz Mundi, nadają akcji rytm i nastrój.

Akcja doprowadzona jest do 1968 roku, przy czym po 1956 roku skala wartości ulega zmianie i następuje okres „małej stabilizacji", choć nie bardzo rozumiem, dlaczego dla naturalnej skłonności życia dostatniej i lepiej ukuto taki pejoratywny termin.

O ideologii można by trochę na koniec, o granicy, po przekroczeniu której przestaje służyć ludziom i kieruje się przeciwko nim, gdy rzeczywistość nagina się do niej, a nie na odwrót. Film sygnalizuje pewne sprawy i podnosi na duchu o tyle, że widać w nim między innymi tych, którzy nie dali się zwariować, mimo iż były po temu wszelkie dane i zachowali zdrowy osąd sytuacji.

TOMASZ KUBIK

Na zdjęciu: Katarzyna Gniewkowska i Piotr Dejmek

„Pomiędzy wilki"

W łódzkiej WFF powstaje kolejny telewizyjny film pełnometrażowy. Tym razem **Juliusz Janicki**, autor interesującego filmu **„Nie było słońca tej wiosny"** (1984) oraz wspaniałego widowiska telewizyjnego pt. **„Mgiełka"** z popisową rolą **Janusza Gajosa** i **Piotra Fronczewskiego** (1986), jest w trakcie realizacji filmu fabularnego zatytułowanego **„Pomiędzy wilki"** w oparciu o nowelę **Ksawerego Pruszyńskiego**. Scenariusz reżyser napisał wspólnie z **Wojciechem Nizyńskim**.

Film podejmuje dramat polskiego pilota, wychowanka Szkoły Oficerskiej w Dęblinie, którego normalne życie, pełne nadziei i oczekiwań skończyło się z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej. Udział w bitwie o Anglię, w brytyjskich siłach powietrznych RAF, wyniesione stamtąd przeżycia, z dala od kraju ojczystego, od wszystkiego co bliskie i ukochane sprawiają, że główny bohater już po wojnie nie może włączyć się w nurt normalnego życia.

— Czy film będzie wierną adaptacją noweli? — pytam Juliusza Janickiego.

— Będziemy starali się, aby wszystko to, co Ksawery Pruszyński napisał w sensie dramaturgicznym zostało zachowane w naszym filmie. Pewne sygnały, które mają charakter opisu literackiego, będziemy transformować na język filmowy, zwłaszcza wszelkiego rodzaju skróty myślowe zostaną rozbudowane. Mam nadzieję, że zostaną odczytane zgodnie z intencją autora.

— Czy myśli pan o zakończeniu filmu i zawieszeniu jego przesłania?

— Nie chciałbym wyjaśniać zakończenia filmu, ale mam tutaj pewne skojarzenia z „Norą" Ibsena — przecież podobnie się kończyła... Mąż zwrócił się z pytaniem do Nory: Czy jeszcze kiedykolwiek będziemy mogli być razem? Oczywiście — powiada Nora — ale wtedy, kiedy ty zmienisz się zupełnie i ja się zmienię... Przytaczając tę wypowiedź chciałem podkreślić, że powrót bohatera do normalnego życia wymaga zebrania dalszych, koniecznych doświadczeń życiowych... Zastała nas pani w trakcie kręcenia sceny z balu promocyjnego, która ma miejsce we wrześniu 1938 r., w Szkole Oficerskiej w Dęblinie. Obecni są podchorążowie i zaproszeni goście. Właśnie na tym balu, główny bohater — Jan Legut — **(Piotr Dejmek)** poznaje swoją pierwszą miłość Teresę **(Katarzyna Gniewkowska)** — żonę generała Jastrzębowskiego **(Jan Machulski)** i pomału ku zawiązuje się akcja filmu.

— Dalej to udział bohatera w bitwie o Anglię, następnie akcja filmu przenosi się do Kanady: Jakie wnętrza, jakie plenery będą oddawały atmosferę, krajobraz i klimat potrzebny do zbudowania adekwatnego tła dla wydarzeń? — pytam kierownika produkcji **Andrzeja Sołtysika.**

— Staraliśmy się maksymalnie adaptować i wykorzystać naturalne wnętrza dostępne na miejscu w Łodzi. Kanadyjski dom zbudowaliśmy w atelier wytwórni. Plenery zorganizowaliśmy w Górach Stołowych, które udają Góry Skaliste. Potrzebna nam była ostra kanadyjska zima, pełna śniegu. Na szczęście aura nam sprzyjała, udało nam się wykorzystać kilka dni zimowych, jakie w tym roku, w ogóle zaistniały, tak dalece, że w czasie realizacji musieliśmy korzystać z pomocy spychacza i pługów odśnieżających dojazd na plan filmowy. Na taśmie została zarejestrowana „prawdziwa kanadyjska zima".

— Jakie cechy charakteru szczególnie zafrapowały pana — odtwórcę roli głównego bohatera Jana? — pytam **Piotra Dejmka.**

— Wydaje mi się, że początkowo Jan Legut, młody człowiek bez przeszłości, nie wyróżnia się ze swego otoczenia żadnymi szczególnymi cechami osobowościowymi. Dopiero służba w RAF, śmierć płk. Gawryluka, karne przeniesienie do Waszyngtonu i inne, mniej lub bardziej ważne zdarzenia okaleczają psychicznie mojego bohatera, tak dalece, że wywołują w nim reakcję wstrząsową. A mimo to, Jan prezentuje stan ogromnego skupienia wewnętrznego, które nie dopuszcza do uzewnętrznienia własnych emocji. Chciałbym właśnie w ten sposób zbudować postać Jana i ten rys jego osobowości szczególnie silnie zaakcentować.

— Jak dalece Jan szuka echa swej dawnej miłości do Teresy w Denis — partnerce kanadyjskiej?

— Myślę, że nie można łączyć tych kobiet. Kontakt z Teresą był ich wspólną decyzją. Zakochali się w sobie i życie dopowiedziało resztę. Natomiast w przypadku Denis **(Grażyna Szapołowska)** mamy do czynienia z tym okresem życia Jana, w którym jest on bezwolny, kiedy robi wszystko, by nie podjąć jakiejś ważnej decyzji...

— Pomaga Denis podźwignąć się, wydawałoby się, że...

— Czyni to całkowicie nieświadomie, tylko tym, że jest. Natomiast Denis zaczyna stopniowo zdobywać orientację o psychicznym stanie Jana. To właśnie Denis próbuje wrócić Jana normalnemu życiu, i...

— Kiedy spodziewa się pan ukończyć film? — pytam **J. Janickiego.**

— Planuję w lipcu, ale mam świadomość, że sprawy techniczne mogą nam przeszkodzić...

Rozmawiała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?

Spośród dwóch czechosłowackich filmów jakie znajdą się w sierpniowym repertuarze naszych kin proponujemy interesujący dramat psychologiczny **Ivo Novaka pt. „Operacja mojej córki".** Jest to bardzo ciekawie pokazany dramat ojca, który dowiaduje się, że nie jest biologicznym ojcem kochanej córki, której życie zagrożone jest po wypadku samochodowym.

Choć, jak powiedzieliśmy, jest to dramat psychologiczny, jednakże na tyle ciekawie przedstawiony, że nawet w pełni lata warto wybrać się do kina.

Karol Baraniecki był człowiekiem pogodnym z natury, aczkolwiek z zawodu był satytykiem. Nie wiem jak to robił, że nie był złośliwy na co dzień. Może wyładowywał całą złość w rysowaniu, a obcując z ludźmi mógł już wówczas sobie pozwolić na radość życia? A wielbił on wszystko co galicyjskie w ogóle, a szczególnie to, co lwowskie. I właśnie we Lwowie zaczął rysować niemal zarobkowo, miał wówczas siedemnaście lat, chodził do gimnazjum. Jego rysunki zaczął drukować „Pociągiel", wypłacając honorarium Karolkowi w ... biletach do kina! Potem były „Wróble na dachu", tym razem pismo krakowskie, równie świetne czyli galicyjskie: Karol Baraniecki był wówczas studentem. Jeszcze może wypada wyliczyć tu ze znaczących pism satyrycznych „Szczutka" „Chochoła", „Omnibusa", „Sygnały", „Muchę", „Stańczyka", „Szpilki" — i jedynie te ostatnie dotrwały do naszych czasów z tej przedwojennej satyrycznej obfitości. Trzeba tu dodać, iż przed wojną rysunki satyryczne Karola Baranieckiego należały do najbardziej ostrych społecznie i politycznie. Po wojnie także, chociaż różnie z tym bywało. Nie było jeszcze w Łodzi „Karuzeli", (dopiero w roku 1957 wykluje się z jednodniówki przedwyborczej), kiedy ulicą szedł sobie zmartwiony Igor Sikirycki, bo miano mu wydać tomik wierszy, ale akurat wydawcy nieoficjalnemu zabrakło honorarium na okładkę dla grafika. A tomik bez okładki niewiele jest wart dla czytelnika. Więc martwił się młody wówczas poeta Igor, gdy nagle słyszy jakoweś wołanie. A było to wołanie radosne, czyli Baranieckiego:

— Cześć, panie Igorze. Co dobrego słychać?

— Dobrego niewiele — powiada Sikirycki. — Mam pewien kłopot...

— A w czym mogę panu dopomóc?

Wszystko co galicyjskie

ROMAN GORZELSKI

— Pan może, tylko nie wiem, czy wypada prosić...

— Mów pan, wypada — pan Karolciu na to.

— Chodzi o okładkę do książki, bezpłatną: do wszystkich się zwracałem, ale żaden z plastyków nie chce mi zrobić jej bezinteresownie.

— A do Baranieckiego pan się zwracał? — śmieje się pan Karolciu.

— Nie.

— No to niech pan się zwróci, a wówczas zobaczy pan, że on takiej prośby nie zostawi bez szczęśliwego końca!

No i w taki oto sposób pierwszy tomik wierszy Sikiryckiego został uratowany, o czym zresztą sam Igor — poeta wspominał wiele razy nie bez sentymentu i uznania dla szlachetności Baranieckiego.

Jak już powiedzieliśmy, było to dawno, bo właśnie zaczęła wychodzić łódzka „Karuzela". Siedzi sobie Baraniecki w redakcji i obmyślając nowy numer (pisma oczywiście, bo podkładanie świni nie było w jego zwyczaju), śpiewa sobie piosenkę batiarów lwowskich (przejętą od „Lwowskiej Fali"): Maruszka moja, Maruszka, Pójdziesz ze mną spać do łóżka... Aż tu drzwi się otwierają i wchodzi jego niedobry znajomy niejaki obywatel Adolf Kaliszan. I opowiada sepleniąc:

— Cześć, Karolciu! A cóż ci tak wesoło?

— Bo robię się coraz starszy i za kilkanaście lat pójdę na emeryturę.

— Tylko dlatego? — dziwi się sepleniący niedobry znajomy.

— Nie tylko: emerytowi nikt nie zaszkodzi, nie doniesie gdzie trzeba... I co nie trzeba...

— A czy ty wiesz, Karolciu, że oni wiedzą o tobie dosłownie wszystko: nawet to, jakie ty mocne palisz papierosy...

— Ależ drogi Adolfie — pan Karolciu na to — czy ty myślisz, że oni są Duchem Świętym? Przecież musi im ktoś o tym donosić!

Na to dictum Adolf Kaliszan poszedł jak zmyty. Jednak drzwi nie pozostały długo zamknięte, bo do redakcji wkroczył Zygmunt Fijas.

— No, co tam w Związku Literatów słychać? — pyta pan Karolciu, bo lubił z Fijasem pogawędzić.

— Wie pan — powiada Fijas mnąc słatygowany kapelusz — ja tam do władz się nie pcham, bom nie do tego stworzony. Składki opłacam regularnie, na zebrania chodzę posłuchać, pokontemplować nad tym, co mówią ci od „pańskiej klamki".

— A wie pan, gdzie powstał pierwszy Związek Literatów Polskich?

— Wiadomo, w Warszawie! — Fijas na to.

— E, w takiej dziurze? — mówi z grymasem na ustach pan Karolciu.

— No to gdzie?

— We Lwowie w końcu dziewiętnastego wieku! Jasne?

— Nie wierzę! Nikt mi o tym nie mówił, ani nie pisał. — Denerwuje się Fijas.

— To jeszcze powiedzą — uspokaja go Baraniecki. I klei dalej swoje obrazki na makiecie „śmiesznej" gazety.

— No, ale pierwszy polski klub piłkarski to na pewno „Cracovia" — mówi Fijas, który do Łodzi przywędrował z nieprzymuszonej woli z Nowego Sącza, ale przed wojną z Krakowem był związany, czyli także z Galicji.

— Ta gdzie tam — lekceważąco wydął wargi pan Karolciu Baraniecki i puścił kłęby dymu z papierosa marki dość mocnej. — Też we Lwowie! Chyba słyszał pan o „Pogoni" lwowskiej, przedwojennym mistrzu Polski?

— Słyszałem, że była taka, ale nie przypuszczałem, że to chronologicznie pierwszy klub piłkarski...

— No to teraz pan wiesz — mówi Baraniecki i wraca do swoich satyr. — A wie pan, gdzie powstał pierwszy przemysł naftowy?

— W Kuwejcie! — zgaduje Fijas.

— Ależ gdzie tam! — śmieje się (z rysunków chyba) pan Karolciu. — Może słyszał pan o lwowskim aptekarzu Łukasiewiczu? To od jego wynalazku, czyli lampy naftowej wszystko się zaczęło...

— To u was we Lwowie wszystko jest najpierwsze, najlepsze i największe?

— Nie wszystko — pan Karolciu posmutniał. — Uniwersytet trzeci w kolejności, po Krakowie i Wilnie. Ale za to nasze «Ossolineum» największe w Polsce nie licząc największego cmentarza na Łyczakowie, gdzie leży chyba z pół miliona ludzi: Konopnicka, Zapolska, Grottger, Walery Łoziński, ten od „Strasznego dworu", Julian Ordon, ten od „Reduty" Mickiewicza, Benedykt Dybowski — badacz Syberii, Potoccy, Lubomirscy, Goszczyński...

— Ten z „Głosu"?

— Nie, Seweryn: a wie pan chyba, że Lwów, znacznie większy i bogatszy od Krakowa, był stolicą Galicji? — tu pan Karolciu z dumą wypiął swą pierś zapaśnika. — A w cmentarzach świata, jak w uniwersytetach, też jesteśmy w czołówce: Per Laches w Paryżu, Highgate w Londynie, Wyszechradzki w Pradze, na Rosie w Wilnie, Nowodiewiczyj w Moskwie, i nasz Łyczakowski... Można jeszcze dorzucić do tego Rakowicki w Krakowie i Powązki...

— A w Nowym Sączu — Fijas na to — był chyba największy chłop w Polsce: miał ze dwa metry wzrostu, a silny był taki, że jak koń nie mógł wozu wciągnąć pod górę — to on wciągnął...

— Nie wierzę — powiada pan Karolciu.

— A pan myśli, że to wszystko, co mi pan trujesz i we wrogą propagandę owijasz, to ja wierzę?! — krzyczy jak zwykle przestraszony Fijas i ucieka z „Karuzeli".

Baraniecki miał wadę wzroku, co mu jednak nie przeszkadzało wyraźniej widzieć naszą pokrzywioną (także historycznie) rzeczywistość i lepiej niż inni ją narysować. Już przed wojną należał do PPS, uważał bowiem, iż ta ideologia uzdrowi nie tylko Polskę, ale także napięte stosunki między państwami europejskimi. Uprawiał więc zawzięcie m.in. też rysunek polityczny co nie przysparzało mu przyjaciół, nawet wśród pseudoprzyjaciół. Obok nagród za ten rodzaj satyry — otrzymywał także anonimy: z pogróżkami, inwektywami, opelgami obfitującymi w słownictwo niezbyt wybredne. Najwięcej owych anonimów wysyłał pewien osobnik. Łatwo było to sprawdzić po charakterze pisma.

Karol Baraniecki był człowiekiem niezwykle oczytanym, miał nawet spory księgozbiór, także w językach obcych. Często nie potrafił oprzeć się prośbom ludzi, którym coś się z jego książek spodobało. Tak np. było z pewnym miłośnikiem literatury, któremu podarował dzieła zebrane Maksyma Gorkiego w oryginale. Usprawiedliwiał się z tej rozrzutności potem... brakiem miejsca na półce dla innych książek. A miał ich, co się zowie. I wiele z rzeczy tam zapisanych znał na pamięć. Egzaminował z literatury swych kolegów w dowcipny sposób. Recytował np. taki wiersz:

Ręce, za lud walczące, sam lud poobcina;
Imion, miłych ludowi — lud pozapomina...
Wszystko przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie
Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

— No, kto to napisał? — pytał i łypał po zdumionych gębach, przerażonych nieco.

— Miłosz! — wykrzykuje jeden.

— Też kresowiak, ale nie Miłosz — cieszył się z dowcipu literackiego Baraniecki.

— Wierzyński! — powiada drugi.

— Nie!

— Słowacki — ryzykuje trzeci.

— Tym razem nie Wołyniak, ale już lepiej, coraz cieplej — dodawał otuchy zgadującym Baraniecki.

— Nie wiemy — zmartwionymi głosami rezygnowali zgadujący.

— Baranie głowy! — krzyczał na nich Baraniecki. — To Mickiewicz!

— Taaak???! — dziwili się i odchodzili, jakby nieco obrażeni.

Miał p. Karolciu na swoim biurku w redakcji pod szkłem wielkie zdjęcie miasta widzianego z lotu ptaka, zdjęcie wycięte z jakiegoś starego kolorowego czasopisma. Widniały na nim widziane z góry wieże kościołów, dachy pięknych pałaców, zabytkowych kamieniczek, rynków ulic...

— No, jakie to miasto? — pytał pan Karolciu.

KAROL BARANIECKI

(Autokarykatura).

— Kraków! — powiada jeden.

— Nie, Wiedeń — mówi drugi.

— Wszyscy tak mówią — rzecze na to pan Karolciu. — A to Lwów!... Jedno z najpiękniejszych miast świata!

Wieczny malkontent, fraszkopis Jan Czarny, człowiek, który nikomu nie zrobił w życiu nic złego, ani nic dobrego, nie licząc oczywiście zdemolowania kawiarni literackiej „Honoratki", spotykając Baranieckiego miał doń wciąż tę samą pretensję:

— Dlaczego ta „Karuzela" ma taki niski poziom?

— No to przynieś pan coś dobrego, a natychmiast wydrukujemy i poziom się podniesie. Tylko szybko! — radził mu pan Karolciu.

— Dobrze — powiadał Czarny. Jednak nic nie przynosił, tylko przy następnym spotkaniu dialog po wielu miesiącach od czasu, gdy się powtarzał. Aż pewnego razu, umowa o arcydzieło między nimi stanęła — w drzwiach redakcji stanął także Jan Czarny. W ręku trzymał plik zarysowanych *papierków; kawiarnianych* serwetek, *wadelek* po papierosach, opakowań po czekoladkach i pachnących wodach kolońskich I rzucił to wszystko z triumfującą miną na stół przerażonemu Baranieckiemu.

— Co to jest?! — wykrzyknął pan Karolciu łypiąc zezem na przybysza.

— Jak to co? — jeszcze niczego nie rozumiał Jan Czarny i rozkładając rysuneczki robione infantylną, niezbyt wprawną kreską, przedstawiającą jakoweś ludziki, tłumaczył: — To są te arcydzieła, o które pan mnie prosił.

— Ja myślałem, że przyniesie pan fraszki, które panu dobrze wychodzą — jąkał się pan Karolciu zupełnie tą wizytą i twórczością rysowniczą zbity z partałyku.

Akurat fraszki drukujecie niezłe, ale rysunki macie słabe, a przy pomocy moich rysunków pismo wasze zyska na randze...

Rezultat spotkania był taki, że poziom „Karuzeli" pozostał nie tknięty przez Czarnego, zaś znajomość z Karolem Baranieckim została zerwana do końca życia obu zainteresowanych przyzwoitym rozśmieszaniem ludzi.

Aczkolwiek Baraniecki nie był człowiekiem konfliktowym, to jednak w konflikty z otoczeniem był wciągany pomimo własnej woli. Nie był on tzw. człowiekiem zaradnym może dlatego, iż całą swoją energię i inwencję wkładał w pracę artystyczną, a nie w wydeptywanie progów u ludzi na świeczniku, czyli tkwić u pańskiej klamki nie potrafił. Toteż mieszkał do końca dni swoich we wspólnym mieszkaniu z obcą, coraz bardziej buńczuczną i ponad miarę rozrastającą się rodziną. Nic tak nie dzieli ludzi, jak wspólne mieszkanie. Między Baranieckim a współlokatorem dochodziło do wymiany zdań i poglądów:

— Bo dam ci w mordę! — oświadczył wreszcie Baranieckiemu sąsiad.

— Niech pan nie będzie taki rozrzutny — Baraniecki na to.

„Interlokutor" widząc, iż Baranieckiemu nie jest tak łatwo dać w to co chciał — począł go dręczyć przy pomocy decybeli, które dolatywały do uszu artysty w najbardziej nieoczekiwanej porze, czyli o północy.

I pomyśleć, iż inni, dużo mniej utalentowani koledzy Baranieckiego opływali w dostatki i luksusy, a wybitny twórca nie miał nawet oddzielnego mieszkania i zamiast skupić się na pracy twórczej — musiał się zastanawiać, co mówić przed sądem, będąc osobą pozwaną, której w dodatku ktoś nawymyślał...

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

CZY TAK WYCHOWUJE SIĘ MŁODZIEŻ?

Po artykule Zofii Kędziory „Korepetycje nie są zabronione" otrzymaliśmy listy dotyczące nie tylko samych korepetycji — list taki drukowaliśmy — ale również atmosfery panującej w niektórych szkołach średnich. Drukujemy poniżej obszerne fragmenty zażalenia skierowanego do Kuratorium Oświaty i Wychowania UML. W drukowanym poniżej tekście nie ujawniamy ani nazwisk uczennicy oraz jej matki, ani nauczycieli czy dyrektora LO. Nazwiska te zostały ujawnione w piśmie adresowanym do Kuratorium Oświaty i Wychowania. Kierując się interesem społecznym przedstawiamy problem, czyli stan stosunków między nauczycielami i uczniami, atmosferą panującą w niektórych szkołach, wzajemne uprzedzenia, które przeszkadzają tak nauczaniu, jak i wychowaniu. Sprawy te ujawniają poziom kultury i wiedzy niektórych nauczycieli. A z tym nikomu nie wolno godzić się. Oczekujemy, że Kuratorium Oświaty i Wychowania UML ustosunkuje się do tego problemu i zajmie się wyjaśnieniem sprawy.

Jeśli Czytelnicy chcieliby się wypowiedzieć na temat stosunku nauczycieli do uczniów, to chętnie będziemy drukowali takie listy, pod warunkiem, że ich autorzy podadzą do wiadomości redakcji imię, nazwisko i dokładny adres. Anonimy nas nie interesują.

A oto obszerne fragmenty wspomnianego pisma.

Jestem matką Ewy Z., absolwentki LO w Łodzi. Córka moja uczęszczała cztery lata do tego liceum i była uczennicą pracowitą, zdyscyplinowaną i kulturalną; jej stosunek do nauki i szkoły był na wskroś pozytywny. O tym może zaświadczyć jej była wychowawczyni. Uczyła się systematycznie, a jej ulubionym przedmiotem była historia. Zamierzała studiować historię na uniwersytecie. W 3 i 4 klasie humanistycznej, do której uczęszczała córka uczył historii student. Od półrocza klasy 4 klasą zaopiekował się Doświadczony Nauczyciel. Niezależnie od uczącej studentki prowadził dodatkowe zajęcia z klasą. Nadrabiał zaległości, przeprowadzał próbne matury pisemne (3), instruował jak należy przygotować się do matury pisemnej i ustnej. Córka bardzo wiele na tym skorzystała.

Córka od dłuższego czasu była pod stałą opieką doświadczonego lekarza, specjalisty chorób nerwowych, który stwierdził dużą nerwicę. Brała leki psychotropowe, była również hospitalizowana. O stanie jej zdrowia powiadomiona była wychowawczyni i dyrektor LO. (...)

Córka przygotowała się do egzaminu bardzo starannie, była dobrej myśli, tym bardziej że uczyła się systematycznie. Stosowała się również do wskazań lekarza i brała przepisane leki. Na wstępie egzaminu pisemnego z historii zawiodły ją jednak nerwy. Dyrektor LO umieścił ją na krótki czas (około 7 minut) w swoim gabinecie, dał jej środki uspokajające w mojej obecności. Drzwi gabinetu zostały zamknięte na klucz. Po tych kilku minutach dyrektor odprowadził córkę na salę egzaminacyjną.

Dalszy przebieg egzaminu pisemnego był już normalny: córka uspokoiła się, pisała pracę swobodnie i samodzielnie; siedziała przy stoliku w pierwszym rzędzie.

Pracę pisemną (podobnie jak i próbne matury) sprawdził Doświadczony Nauczyciel i wystawił jej ocenę dobrą (4).

Dziwne natomiast rzeczy poczęły dziać się przed i w czasie egzaminu ustnego z historii.

„Zapomniano" umieścić nazwisko córki na liście wyznaczającej termin egzaminu.

Dopisano nazwisko córki długopisem jako pierwsze, a uczniowie zdawali alfabetycznie.

Komisja egzaminacyjna składała się aż z pięciu osób (normalnie trzy).

Egzaminatorem córki był nie Doświadczony Nauczyciel, który oceniał prace pisemne, a zupełnie kto inny, aż nadto dobrze znany młodzieży ze swojej brutalności, budzący nieopisany lęk.

W tej sytuacji w umyśle córki doszło do pewnych skojarzeń, których efektem była okresowa niezdolność do skoncentrowania się i referowania tematów. (...)

Dyrektor LO miał pełną świadomość, że ma do czynienia z przypadkiem szczególnym (opinia i zalecenia lekarza).

Co spowodowało tak dziwne okoliczności, w jakich zdawała córka i otrzymała ocenę niedostateczną?

Powiedziałam w obecności dwóch osób o nerwowym załamaniu się córki na egzaminie pisemnym. Widocznie jedna z tych osób powtórzyła to dyrektorowi, który uznał, iż poważnie naruszyło to jego autorytet (!).

Po egzaminach maturalnych, mimo dwójki z historii, córka chciała wręczyć dyrektorowi kwiaty i przeprosić go, że nerwy nie były jej posłuszne. Dyrektor LO przyjął kwiaty i powiedział zaszokowanej i zrozpaczonej córce:

— Nie zdałaś nie dlatego, że nie umiałaś, ale ze względu na twoją matkę. Możesz jej za to podziękować. (...)

Nie muszę opisywać jej cierpienia i naszej trwogi o los córki. A wszystko było możliwe. I to najgorsze! Tak nie wolno postępować nigdy, nawet ze zwierzęciem. Z tym barbarzyńskim faktem powinna zapoznać się opinia publiczna.

W 1988 roku córka ponownie zdawała ustną maturę z historii. Miała wiele czasu, podleczyła nerwy, które nie zawiodły jej, mimo że znów egzaminowała ją ta sama osoba. Sprawdziły się słowa dyrektora LO — Przyjdziesz za rok, zdasz spokojnie, bo nikt do ciebie nie będzie miał uprzedzeń.

Pod koniec egzaminu osoba egzaminująca spytała córkę: — Czy już wszystko powiedziałaś, więc kończ, bo w domu na mnie czeka pies, który może mi się zesrać (!).

Córka otrzymała ocenę tylko dostateczną, uczyła się historii cały rok i wyczerpująco omówiła tematy. Najwidoczniej problem autorytetu dyrektora był nadal aktualny. Ciekawe, co na temat tych wszystkich okoliczności miałby do powiedzenia Doświadczony Nauczyciel, który był obecny na wszystkich egzaminach córki z historii.

Już po rozdaniu matur, córka poszła po odbiór świadectwa dojrzałości, ale okazało się, że pomylono na nim datę urodzenia. Kazano jej przynieść nowe fotografie i przyjść po odbiór świadectwa w późniejszym terminie.

KRYSTYNA Z.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

„KOREPETYCJE NIE SĄ ZABRONIONE"

Artykuł Zofii Kędziory „Korepetycje nie są zabronione" przypomniał mi jako żywo podobną historię. Oto ona w dużym skrócie.

Uczeń, nazwijmy go Hieronim P., jest średnim, z przedmiotów zawodowych dobrym. Ma startować do kierunkowej szkoły wyższej. Rzecz dzieje się w podłódzkim Zespole Szkół. Pięć lat nauczany był przez jedną polonistkę, jednocześnie wicedyrektorkę szkoły. Do mnie trafił w grudniu 1987 roku. Jako syn moich przyjaciół.

Praktyka owej pani i jej koleżanek jest taka: same nie udzielają korepetycji, ale kierują do swoich znajomych, często zwierzchników i wówczas wiadomo, że robi się zbiorowe lekcje po 1000 zł za godzinę. W zamian wiadomości ma się niewiele, no zawsze jednak, za to ocenę średnią i „puszczenie" błędu na maturze w kieszeni.

Gdy 19-letni, wrażliwy, mądry i dobry chłopiec trafił do mnie pół roku przed maturą, sugerowałam rodzicom takie właśnie wyjście, bo wiem, że jest to praktyka powszednia. Chcieli jednak, żebym to ja prowadziła dodatkowe (łącznie z zasadniczym) przygotowanie.

Polonistka niemal przez rok na coś chorowała, nie zawsze nawet były zastępstwa. Hiernim P. nie operował podstawowymi pojęciami, trzeba było zaczynać od takich jak: humanizm, literatura starożytna, racjonalizm a empiryzm, encyklopedyści, miał kłopoty z interpretacją i wyjaśnieniem „konradyzmu" i „kordianizmu". Gramatyka w tej maturalnej klasie zupełnie była nie znana. Przyłożyliśmy się. Tłumaczyłam chłopcu od A do Z. Nie zdążyłam. Łatwo pojmował, był chłonny i choć przedmiot niezbyt go interesował, uczył się chętnie.

Po studniówce wyczuwałam wokół chłopaka złowrogą atmosferę. Pani wicedyrektorka uznała, że Hieronim P. maczał palce w dowcipach studniówkowych. I szło mu coraz gorzej, mimo solidnego przygotowania ze mną. Wiedziałam co się święci, jeszcze sugerowałam zmianę korepetytora, ale drażliwość tej rzekomej humanistki przeszkodziła w spóźnionej zmianie wiatru. Już nie chciała układać się z rodzicami.

Hieronim P. przygotował w domu, ze mną akurat, pracę na temat percepcji współczesnej humanistyki Jana Kochanowskiego (temat maturalny w szkołach zawodowych). Podejrzewam, że mógł zrobić jakieś błędy ortograficzne dyskwalifikujące, ale w uzasadnieniu podano: jałowość pracy, nieprzemyślenie, brak odniesień współczesnych, zbyt dużą środkową część wyłącznie analityczną.

Jeśli polonistka uczy pisać i interpretować lat 5 z przerwami na chorowanie i dyrektorowanie, kiedy jej nie ma na lekcji, jeśli wypuszcza niedouczonych uczniów, z którymi robi się cały kurs literatury, jeśli jest humanistką, (a przynajmniej za taką się uważa), to po tych 5 latach w przypadku ucznia nie mającego nigdy dwójki na semestr i niewiele cząstkowych, w klasach młodszych wcale, nietrudno było uzasadnić ową 5-letnią naukę ucznia i swoim nauczaniem podniesienie oceny do dostatecznej. Nie zrobiła tego.

Hieronim P. był znakomicie przygotowany z innych przedmiotów, otrzymał nawet oceny dobre. Miał zdawać na uczelnię. Wszystko stało się inaczej. Czy tak być musiało?

J.C.
(Imię, nazwisko i adres znane redakcji)

OD REDAKCJI. Wolno nam sądzić, że pogląd naszej Czytelniczki jest wielce subiektywny. Jeśli mimo to zdecydowaliśmy się na publikację tego listu — po znacznych skrótach — to głównie dlatego, że „system korepetycji", o którym wszyscy dokładnie wiedzą, ale milczą, nabrzmiał już do rozwiązania. Traktujemy więc ten list jako sygnał w sprawie, do której trzeba będzie — gdy zacznie się rok szkolny — powrócić jak do tematu publicystycznego.

„CO TRZEBA ZROBIĆ, ABY ODRODZIŁO SIĘ BUDOWNICTWO"

W numerze 29 „Odgłosów" z 16 lipca 1988 r. ukazał się tekst pt. „Co trzeba zrobić, aby odrodziło się budownictwo", w którym redaktor Andrzej Gębarowski prowadzi dyskusję z działaczami Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa na temat budownictwa w Łodzi i w kraju.

Rozmówcy A. Gębarowskiego odpowiedzialni w jakimś stopniu za stan budownictwa łódzkiego wypowiadają swoje żale, krytykują decyzje władz w latach siedemdziesiątych. Według nich, za stan budownictwa odpowiedzialni są ci, co nie słuchali opinii fachowców, tylko z pozycji zajmowanego stanowiska narzucali technologie.

Co jednak uderza w tych i innych wypowiedziach? Brak fizycznej osoby czy osób, którym można przypisać odpowiedzialność. Każdy znajduje wytłumaczenie swojego działania, powołując się na narzucone odgórnie plany, polecenia, decyzje. Jednocześnie każdy wyjaśnia, że to właśnie mówił, tłumaczył, apelował, że nic nie skutkowało. Więc co? Rezygnował i robił coś wbrew sobie, wbrew logice, wbrew temu, czego go kosztem całego społeczeństwa nauczono, bo nie chciał się narazić, bał się o stanowisko, premie, nagrody? Nikt nikogo nie rozlicza z tego czy miał rację, tylko z tego jak załatwiliśmy sprawę.

Jakże charakterystyczna i dająca do myślenia jest wypowiedź: „A co mogliśmy zrobić, oprócz krytykowania i pisania memoriałów?". Zastanawiam się, czy takich samych słów nie wypowiada średni dozór techniczny i bezpośredni wykonawcy, słów skierowanych do rozmówców A. Gębarowskiego.

I jeszcze jedno: w rozmowie pada zdecydowane zaprzeczenie powszechnej opinii, jakoby Szpital-Pomnik Matki Polki zahamował łódzkie budownictwo. Jestem też przeciwnikiem takiej opinii, uważam, że niewiele już może temuż budownictwo zaszkodzić. A jednak, obserwując nasycenie terenu szpitala w maju, wszelkim możliwym sprzętem budowlanym, tłumami pracowników ściągniętymi z innych budów, wysłuchując rozmów średniego dozoru technicznego budowy, powiedziałbym, że harmonogramy prac na pozostałych obiektach prowadzonych na terenie Łodzi zostały przesunięte w czasie.

JERZY PIASECKI
Zgierz

PO DRUGIEJ STRONIE SKLEPOWEJ LADY

Kolejka po koszyki jest długa i posuwa się bardzo powoli. Jest to szara codzienność sklepów, w których się zaopatruję. Stoję w długim szeregu niezadowolonych ludzi.

Począwszy od roku 1976 systematycznie rośnie czas tracony na zakupy. Dziś przeciętna polska rodzina traci około dwu godzin dziennie na zakupy podstawowych artykułów.

Ja jestem niezadowolony, niezadowoleni są wszyscy kolejkowicze. Ale co wiemy o samopoczuciu obsługującego nas sprzedawcy? Czy ma on powody do zadowolenia z wykonywanej pracy, czy może być zadowolony z funkcjonowania handlu?. Odpowiedź może być jedna — nie ma powodów do zadowolenia.

Wbrew utartym opiniom, praca sprzedawcy wymaga bardzo dużego wysiłku porównywalnego z uciążliwością pracy górnika i spawacza, a wiąże się z dużo większym stresem. W warunkach kryzysu, braków rynkowych to sprzedawca jest obwiniany przez klienta za to, że czegoś nie ma.

— My swoje zadania planowe — mówią handlowcy — wykonujemy nawet z pewną nadwyżką, ale istnieje szereg mankamentów wynikających z zaopatrzenia. Okresowe braki występują wszędzie i nie są w zasadzie zależne od handlowców. Na dzień dzisiejszy handel oferuje tylko ten towar, który uda mu się zdobyć u dostawców, ale nie zawsze jest to towar, który jest poszukiwany przez klienta. Z pustego to i Salomon nie potrafił nalać, nasi handlowcy też nie potrafią tego zrobić. Prognozy nie są optymistyczne. Podaż artykułów rynkowych nie wzrośnie gwałtownie z roku na rok. Na rok 1988 Komisja Planowania przy Radzie Ministrów przewidziała globalny wzrost masy towarowej o 1 proc. Zaopatrzenie placówek handlowych jest więc odbiciem sytuacji gospodarczej kraju. Są artykuły pełnopodażowe (do nich zalicza się między innymi chleb, mleko i masło), których w żadnym sklepie zabraknąć nie powinno. Ich podaż zależy od umiejętności prognozowania popytu przez kierowników sklepów. Nie jest to rzecz łatwa. Na kształtowanie się tego popytu ma wpływ tak pogoda, jak i pora roku. Popyt realny jest bardzo zmienny i w zasadzie niemożliwy do precyzyjnego oszacowania. W sumie czasem zdarzają się rażące braki w zaopatrzeniu, ale bywają też takie dni, że w wyniku raptownego spadku popytu handel ponosi z tego tytułu ogromne straty (np. w roku ubiegłym, w samych tylko sklepach PSS Społem — Polesie, w wyniku niewłaściwego oszacowania popytu na pieczywo zmarnowało się 168 ton chleba, czyli równowartość całodziennego zaopatrzenia Łodzi w pieczywo).

Wysokość strat związana jest nie tylko z wahaniami popytu, ale i ze złą jakością artykułów spożywczych. Powoduje to przerwy w podaży na przykład mleka i pieczywa, gdyż nie jest możliwe magazynowanie w sklepach takich zapasów, które umożliwiłyby ciągłą sprzedaż. W takiej sytuacji wąskim gardłem jest transport. Wystarczy, że po trzech dniach wolnych nie przyjdzie do pracy kilku kierowców i z miejsca są opóźnienia w dostawach, skargi, pretensje. Kolejki się wydłużają i — trzeba sobie to powiedzieć — będą się wydłużać, niezależnie od podejmowanych wysiłków organizacyjnych. Po prostu w handlu brak jest ludzi do pracy. Do pełnych obsad sklepów brak jest przeciętnie 20—30 procent personelu. Żaden ze społemowskich sklepów na Retkini nie ma dziś pełnej obsady. Konsekwencją jest wyłączanie z obsługi niektórych stoisk, skracanie czasu pracy sklepów czy nawet ich zamykanie. Braki kadrowe w handlu są o wiele bardziej widoczne i odczuwalne niż w przemyśle — stojące maszyny nie kłują tak w oczy jak zamknięte sklepy i nieczynne stoiska kasowe. Często kierownik sklepu nie ma kogo postawić za ladą, nie ma kogo wyznaczyć do pilnowania klientów — a prawda jest taka, że pilnować trzeba, bo ludzie kradną (w niektórych sklepach są to bardzo częste wypadki, np. w sklepie przy ul. Dzierżyńskiego 42 w ciągu ostatnich trzech kwartałów odnotowano 160 udowodnionych przypadków kradzieży).

Polska jest chyba jedynym krajem na świecie, gdzie corocznie wzrasta ilość dostarczanych do sklepów artykułów nie pakowanych. Odrywa to sprzedawcę od obsługi klientów i zmusza do rozważania i paczkowania towarów na zapleczu sklepu.

Bolączką handlu są nie tylko kłopoty z zaopatrzeniem i braki kadrowe. Handel nie ma maszyn ułatwiających pracę, prawdziwym problemem jest dziś kupić wagę (wagi handlowe oddane są pod centralny rozdzielnik). Brak jest papieru do pakowania. Brak jest nowych placówek i brak jest środków na nie.

Praca sprzedawcy porównywalna jest z wysiłkiem pracy górnika, a jednocześnie jest to jedna z najniżej opłacanych i uprzywilejowanych grup zawodowych w Polsce. Grupa, która nie wywalczyła sobie, gdy inni strajkowali, „karty handlowca" i wysokich zarobków.

Taki jest handel dzisiaj, ze stresem przed ladą i za ladą.

JAROSŁAW DĄBROWSKI

TELEFON 36-77-70

W związku z zamieszczoną w numerze 30(1582) „Odgłosów" z dnia 23.07.1988 r. relacją z dyżuru redakcyjnego w dniu 14.07.br. i zawartym w niej „postulatem" pana S.C. dotyczącym sum indywidualnych kontynuowanego ubezpieczenia rodzinnego na życie, uprzejmie informujemy:

Sprawa stałego urealniania sum ubezpieczenia na życie, kontynuowanego indywidualnie przez emerytów i rencistów, uregulowana została dzięki wprowadzonym zmianom w ogólnych warunkach ubezpieczenia (Monitor Polski nr 18 poz. 134 z dnia 1986.07.01).

Zgodnie z ustaleniami ogólnych warunków osoby kontynuujące ubezpieczenie indywidualne mogą podwyższać sumę ubezpieczenia do wysokości średniej sumy obowiązującej w zakładach pracy danego województwa, podzielnej przez 10.000. W 1986 r. średnia suma ubezpieczenia na terenie naszego województwa ustalona została na 80.000 zł, a w roku bieżącym na kwotę 120.000 zł, o czym jak zawsze poinformowaliśmy zainteresowanych za pośrednictwem prasy. Ostatnie informacje o możliwości i sposobie podwyższania sumy ubezpieczenia ukazały się: w „Expressie Ilustrowanym" w dniu 17.06.br., w „Dzienniku Łódzkim" w dniu 1.06.br., w „Głosie Robotniczym" w dniu 14.06.br. i w „Życiu Pabianic" w dniu 1.06.br.

Sumę ubezpieczenia kontynuowanego podwyższyć można w każdym czasie, zgłaszając się do właściwego Inspektoratu PZU.

Z-ca dyrektora
Oddziału Wojewódzkiego w Łodzi
mgr PAWEŁ MURAS

W związku z zamieszczoną notatką dotyczącą lokalu nr 11 przy ul. Gandhiego nr 8 — Rejon Obsługi Mieszkańców nr 4/5 informuje, że konieczne prace remontowe, tj. wymiana stolarki okiennej, drzwiowej, wymiana tynków i parkietu zostaną wykonane w III kw. br. przez Zakład Remontowy Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej Łódź-Bałuty.

Z uwagi na duży zakres robót (wykonanie nowej stolarki okiennej i drzwiowej) prace te nie mogły być wcześniej zrealizowane.

Nadmieniamy, że głównym najemcą ww. lokalu jest ob. Danuta Sakwa, która do czasu zakończenia remontu przebywa w innym lokalu.

Kierownik Rejonu Obsługi Mieszkańców nr 4/5
JADWIGA MARECKA

SPROSTOWANIE

W moim przekładzie szkicu **Gieorgija Issersona „Dlaczego Michaił Tuchaczewski przegrał pod Warszawą"**, zamieszczonym w 31 numerze „Odgłosów", z powodu przekręcenia w druku jednego wyrazu wypaczeniu uległ opis planowanego manewru wojsk Tuchaczewskiego: była to koncepcja głębokiego manewru oskrzydlającego **prawą flanką** (a nie, jak wydrukowano oskrzydlającego prawą flankę).

EWA KATARZYNA NOWAK

■

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
11 sierpnia — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—15.
18 sierpnia — BOGDA MADEJ — godz. 10—15.

RELACJA Z DYŻURU W DNIU 4 SIERPNIA 1988 R.

Chociaż sezon urlopowy jeszcze w pełni i wielu naszych Czytelników rozjechało się po kraju, a nawet poza jego granice, to w miniony czwartek znów rozdzwonił się redakcyjny telefon. Kilkanaście osób prosiło o pomoc w..., zwracało naszą uwagę na..., dzieliło się swymi spostrzeżeniami i refleksjami o... Spośród głosów tych chciałbym odnotować w tym miejscu zaledwie parę, gdyż pozostałe dotyczyły albo spraw, o których zanim byśmy ewentualnie napisali, powinny być załatwione przez kompetentne jednostki administracji państwowej i do nich też zostali skierowani nasi Czytelnicy z sugestią, aby przed wykręceniem numeru „Odgłosów" spróbowali najpierw wyczerpać inne możliwości rozwiązania zgłaszanych problemów, albo też takich, którym poświęcimy osobne publikacje, więc teraz śmiało można je pominąć.

Tak się przy tym złożyło, że większość moich czwartkowych rozmówców poruszyła temat najszerzej rozumianej czystości i porządku w mieście, które — piszę to z przykrością — do najczystszych, niestety, nie należy.

I tak na przykład pani **Irena K.** zwróciła naszą uwagę na wywieszone 22 lipca flagi państwowe. Otóż na wielu domach, w tym chociażby przy ulicy Narutowicza 2, flagi te bardziej przypominały naszej stałej Czytelniczce ścierki do podłogi niż symbol polskiej państwowości. Zabolało ją to i uraziło, gdyż sądzi — nie bez racji — że narodowe barwy powinny być czyste i otoczone szacunkiem. Tymczasem nie wszędzie tak jest, a winę za to ponoszą dozorcy i właściciele budynków. I nie chodzi tu tylko o budynki prywatne. Może nawet o te mniej. Zastraszający jest bowiem w ogóle stan czystości urzędów oraz innych instytucji, jakie niekiedy przychodzi nam odwiedzać. Jako przykład pani Irena K. podała Biuro Paszportowe przy al. Kościuszki, w którym to biurze okna nie były myte od bardzo długiego chyba czasu.

Pan **Rajmund D.** prosi z kolei za naszym pośrednictwem milicję, aby lepiej oznakowała przejście dla pieszych na ulicy Zachodniej przy Bazarowej. Znak drogowy informujący kierowców, by uważali na pieszych, jest bowiem zasłonięty i nie wszyscy dostrzegają go w odpowiedniej chwili, zwłaszcza w złych warunkach atmosferycznych, co oczywiście grozi kolejnym groźnym wypadkiem. Kolejnym, gdyż na przejściu tym — jak informuje nasz Czytelnik — doszło już do kilku tragicznych w skutkach wypadków. Dotychczasowe interwencje okolicznych mieszkańców, którzy postulowali ustawienie przed przejściem choćby jakichś tablic ostrzegawczych, jak na razie nie przyniosły żadnego widocznego rezultatu.

Dlaczego w parku na Julianowie jest tak mało ławek, a te, które są, nie nadają się często do użytku? — zapytał pan **Zdzisław K.**, emeryt chodzący do tegoż parku na spacery. Dlaczego gospodarze terenu nie dbają o ławki, zaś patrole milicyjne wieczorami i nocą tak rzadko pilnują tam porządku? My również chcielibyśmy to wiedzieć. Przy okazji nie sposób oprzeć się refleksji, że problem ten dotyczy chyba większości łódzkich parków, które są ustawicznie dewastowane i zamieniane w pijackie meliny.

O psach głównie mówił mieszkaniec Rętkini, pan **Andrzej H.** A raczej nie tyle o psach, co o ich właścicielach, którzy wyprowadzając swoje czworonogi na spacer zupełnie nie troszczą się o to, co pozostaje na trawnikach i chodnikach po załatwieniu przez ukochane pieski potrzeb fizjologicznych. I rzeczywiście, widać to na każdym niemal kroku, a temat od lat pomijany jest jakoś milczeniem. Są kraje, gdzie posiadacze psów obowiązani są do sprzątania natychmiast pozostawionych przez nie odchodów, w przeciwnym bowiem razie grozi im wysoka grzywna. Myślę, że i w Polsce tak właśnie być powinno, a przepis taki — jeśli zostanie wprowadzony — należy z całą surowością egzekwować. Zbyt wiele osób zapomina, że posiadanie czworonożnego przyjaciela, to nie tylko przyjemność, ale również obowiązek. A świadczy o tym najlepiej chociażby liczba psów porzucanych każdego roku w sezonie urlopowym.

Natomiast co do postulatu tegoż pana Andrzeja H., aby administracyjnie zabronić malowania mieszkańcom okien od zewnątrz na brązowo, wyrażam pewne zastrzeżenia, choć przyznaję, że ładniej wygląda budynek, którego wszystkie okna pomalowane są na ten sam kolor.

I na koniec — obawy, jakimi podzielił się telefonicznie pan **Ryszard S.**, mieszkający przy ulicy Zapolskiej. Otóż w sąsiedztwie jego bloku czynny był niegdyś sklep nocny, który ściągał nie tylko zapominalskich klientów z południowej części miasta, ale też i tych nieustannie „spragnionych". Ich hałaśliwe zachowanie na ulicy czy mylenie klatek schodowych okolicznych bloków z szaletami publicznymi porządnie dało się mieszkańcom we znaki. I oto po przerwie sklep nocny znowu ma być uruchomiony, a pan Ryszard S. i jego sąsiedzi wątpią w to, by zachowanie niektórych klientów uległo jakiejkolwiek zmianie. Niestety, są to obawy całkowicie uzasadnione, aczkolwiek trudno w pełni zaakceptować pogląd, że wobec tego sklepu nocnego lepiej tam nie otwierać. Ten sklep jest niewątpliwie potrzebny. Ale i potrzebny jest też dozór ze strony stróżów prawa, których jednym z zadań jest zapewnianie ludziom spokoju. I miejmy nadzieję, że z zadania tego będą się wywiązywać.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

List z Londynu

Gęste niebo

Potrzebuję ponad półtorej godziny, żeby dostać się z centrum Londynu na lotnisko Heathrow. Już po 45 minutach lądu ję w Paryżu, a lot powrotny trwa minus piętnaście minut, bo przecież 42 kilometry oddzielające Anglię od Europy dzieli różnica czasu jednej godziny. Heathrow leży daleko poza Londynem, podobnie jak Gatwick czy trzecie londyńskie lotnisko w Luton. Toteż wielu londyńczyków ucieszyła wiadomość, że w starych dokach nad Tamizą, we wschodnim Londynie otwarto w końcu października 1987 roku nowe lotnisko — City-Airport. Rzecz w sumie niebywała. Na całym świecie istnieje tendencja do wypychania portów lotniczych poza obręb miasta. Łatwiej jest zorganizować dojazd do lotniska niż ponosić ogromne koszty związane z leczeniem ludzi mieszkających w okolicach lotniska i cierpiących na różnego rodzaju dolegliwości związane z ciągłym hałasem wywołanym przez startujące i lądujące maszyny. City Airport miał połączyć szybką komunikacją lotniczą Londyn z Amsterdamem i Paryżem, a także rozładować ruch krajowy. Bomba pękła po miesiącu.

Gazety na pierwszych stronach przyniosły sensacyjne wiadomości; mniej więcej dwa, trzy razy w tygodniu samoloty lecące z City Airport do Paryża przelatywały tak blisko innych samolotów, że zderzenie wisiało na włosku. Okazało się, że system kontroli cywilnego ruchu powietrznego jest w Wielkiej Brytanii przestarzały i nie jest w stanie sprostać potrzebom ogromnego ruchu, jaki odbywa się gdzieś tam w przestworzach ponad naszymi głowami. Wystarczy zresztą przez chwilę postać przy oknie i pogapić się w niebo bez przerwy przecinane ociężałymi sylwetkami kolosów, aby zorientować się, jaki ruch panuje w powietrzu ponad Londynem.

Z Heathrow wystartował do kolejnego lotu przez Atlantyk ponaddźwiękowy Concorde — duma British Airways. W tym czasie w przestrzeni powietrznej nad Cornwalią znajdował się niewielki samolocik z dwudziestoma pasażerami na pokładzie. W pół godziny później z Gatwick uniósł się przysadzisty i tęponosy Boening w locie do Dallas. Obydwa transatlantyki pracowały na tej samej częstotliwości fali. Operator na wieży kontrolnej strzegący porządku na drogach powietrznych nakazał pilotowi Boeinga wejście na wyższy pułap. Pilot Concorde, pracujący na tym samym zakresie fali, zrozumiał to jako rozkaz dla siebie i smukły, czaplonosy Concorde także zaczął nabierać wysokości. Boeing miał unikać zderzenia z małym pasażerskim samolocikiem, a o mały włos nie zderzyłby się z nim Concorde.

Wstrzymano loty do Paryża z City-Airport. Sprawę badano dokładnie przez miesiąc, po czym loty wznowiono, ale zaprotestowali przeciwko temu piloci górnopłatowych, niewielkich samolotów kursujących na tej linii. Okazało się, że samoloty były prowadzone odpowiednimi korytarzami powietrznymi na zasadzie przekazywania sobie pałeczki sztafetowej. Najpierw kontrolerzy z Gatwick, potem z Heathrow prowadzili samoloty w rejsach do Paryża. Jednak po kilkunastu minutach lotu samoloty będąc jeszcze nad Wyspą, wylatywały poza zasięg kontroli powietrznej obydwu kolosów; Heathrow i Gatwick i dalej piloci lecieli już jak za dawnych lat pierwszych pionierów lotnictwa. To znaczy na wyczucie i sokoli wzrok. Latano tak przez dobre dwa tygodnie, aż wreszcie, gdy prasa rozpętała kampanię, codziennie donosząc o nowych spotkaniach dwóch samolotów prawie na otarcie się maszyn o siebie, loty zaniechano. Jednak lawina wywołana przez City-Airport ruszyła z miejsca. Okazało się, że powietrze nad Wyspami Brytyjskimi jest wyjątkowo zagęszczone. Coraz to pojawiały się informacje o nowych prawie że katastrofach. Zaczęto analizować szczegółowo sytuację. Przedstawiciele Towarzystwa Kontrolerów Powietrznych uspokajali jak się dało opinię publiczną, jednak na pytanie dziennikarzy, jak najlepiej zaradzić istniejącej sytuacji stwierdzono, że trzeba ograniczyć loty, co szczególnie uderzy pasażerów w nadchodzącym sezonie letnich wakacji.

— Możliwe, że pasażerowie będą się w ostatniej chwili dowiadywali, już na lotnisku, że lot został odwołany, albo przesunięty o kilkanaście godzin, ze względu na panujące nad Anglią zagęszczenie — powiedział przedstawiciel towarzystwa w wywiadzie udzielonym londyńskiemu „The Independent".

Amerykanie, którzy także mają ruch lotniczy co się zowie i problemów z utrzymaniem i kontrolą lotów bez liku, zaczęli działać, jak to oni mają w zwyczaju, niezwykle szybko i efektownie. Wyszło bowiem na jaw, że nad Stanami Zjednoczonymi dochodzi dziennie do trzech „bliskich spotkań", które, tylko dzięki przytomności pilotów, nie kończą się tragicznie. Ale oczywiście nie zawsze udaje się temu zaradzić, toteż niedawno telewizja amerykańska pokazywała urywki z akcji ratowniczej po zderzeniu się dwóch małych samolotów pasażerskich, które nie tylko uległy prawie całkowitemu zniszczeniu, ale także wyburzyły przy okazji kilkanaście budynków na przedmieściach Los Angeles. Amerykanie znaleźli jednak radę na zwiększający się w zastraszającym tempie ruch lotniczy. Zastosowano nowy, bardzo skomplikowany i kosztowny system komputerowy, który symuluje ruch lecących samolotów i dużo wcześniej ostrzega i załogi, i kontrolę naziemną o możliwościach zderzenia samolotów, a także proponuje konkretne sposoby rozwiązania bezkolizyjnego wyprowadzenia samolotów z krytycznej sytuacji. Miejsce po starych komputerach, ogromna hala dawnej sterowni kontroli ruchu lotniczego stoi pusta. Nowy system zajmuje mniej miejsca, jest o wiele efektywniejszy i pozwala rozwiązać problemy dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Co z pojutrzem, to na razie domena futurologów. Anglicy nie mogą jednak się zdobyć na system amerykański. Myślę, że ich po prostu na to nie stać. Twierdzą, że zebrała się już specjalna komisja do zbadania całej sprawy, źle, że system będzie wprowadzony nie wcześniej niż w 1994 roku. Tylko, czy to nie będzie właśnie owo pojutrze, gdy system okaże się równie przestarzały, jak liczący sobie dwadzieścia lat obecnie pracujący system komputerowy.

Ostra debata parlamentarna na ten temat wywołała wiele kontrowersji w prasie brytyjskiej. „The Times" cytował wypowiedzi opowiadających się raczej za stopniowym wprowadzeniem w życie nowego systemu. „The Independent" uważa, że czas bić na alarm. I chyba trochę jest w tym racji, skoro w niedzielę wieczorem, 22 lutego, tym razem nad Szkocją doszło prawie do zderzenia wojskowego samolotu typu Phantom z helikopterem wiozącym zmianę załogi na platformie wiertniczej. A może i my w Polsce moglibyśmy wyciągnąć już teraz wnioski z problemów, z jakimi borykają się Brytyjczycy i jeżeli mamy budować nowe międzynarodowe lotnisko, zadbajmy o to, żeby system kontroli powietrznej był na miarę roku 2000, a nie 1965.

MAREK BRZEZIŃSKI

Lato '88

„Wars" żegna was

Dworzec Fabryczny.

Spikerka:
— Pociąg pośpieszny z... przybędzie z opóźnieniem... minut. Uprzedzamy, że opóźnienie pociągu może ulec zmianie. Opóźnienie pociągu może się zwiększyć lub zmniejszyć. Powtarzam...

Tak. Tak, to wszystko wiadomo. Pociągi się spóźniają i jeżdżą zatłoczone. Ale przecież nie wszystkie się spóźniają. I nie wszystkie są zatłoczone. Niektóre nawet jeżdżą zupełnie puste, można chodzić po wagonach i człowieka nie spotkać.

Dworzec Kaliski, godzina 23.00.

Na peronie trzecim stoi pociąg do Gdyni. Zgodnie z wywieszonym planem powinien tutaj stać ten do Ustki, ale tamten podstawiono na peron drugi. Dworzec jest w przebudowie, takie rzeczy mogą się zdarzać. Miejsca siedzące są już zajęte. Spóźnieni siadają na korytarzach. Jednak panuje względny luz. Pociąg będzie w Ustce o 8.30. W składzie nie ma wagonu „Warsu". Przecież to tylko dziewięć i pół godziny. Ludzie mogą wytrzymać. Zresztą niech śpią.

Mimo późnej godziny w barze dworcowym kolejka do bufetu. Menu nie jest zbyt wyszukane. Bigos, flaki, mielony. Trzeba dużej odwagi, by jeść takie potrawy na stojąco w brudnym pomieszczeniu. Nie wszyscy ryzykują. Niektórzy kupują tylko herbatę, pepsi.

W dzień będzie tutaj duży ruch. W małej poczekalni poskładane na ławkach plecaki, kolejki do kas. Mimo niedzieli czynne są trzy kasy na cztery. Dzięki temu czekanie w kolejce skraca się do pół godziny. To niewiele w porównaniu, choćby, z Dworcem Centralnym w Warszawie.

W dzień czynne są także kioski „Warsu", obok kiosków specjalne stoły, na których wystawiają towary ajenci przedsiębiorstwa. Ustawia się kolejka do kiosku z lodami, można też kupić kwiaty, upominki. A co na stołach? *Drogie czekolady, słodycze w estetycznych, kolorowych opakowaniach, balonowe gumy do żucia.* Jak w „Pewexie". Nic dziwnego, że ajenci przynoszą „Warsowi" duże zyski. Ale oprócz drogich słodyczy, z rzeczy do jedzenia, oferowane są tylko bułki z mielonką. Znać i tu reformę. Komplet trzech bułek kosztuje taniej niż trzy razy po jednej.

Co w barze? Po staremu — bigos, mielony, flaki. Wiosną można było tu kupić żurek, ale teraz jest sezon urlopowy.

Kiosk na peronie. Co w nim? Drogie czekolady, słodycze, lizaki, gumy do żucia. Radzimy jednak zaopatrzyć się na drogę. Pociąg do Torunia odchodzi bez bufetu „Warsu".

I ostrzegamy — jeśli ktoś pali, w nocy na Kaliskim musi już mieć papierosy przy sobie, żeby nie przydarzyła mu się następująca rozmowa przy bufecie:

— Są papierosy?
— Nie ma!
— A gdzie można kupić?
— Nigdzie!

Dworzec Fabryczny.

Są tu dwa prywatne kioski. Można kupić zapiekanki, oranżadę. Są także pomarańcze, banany. Życie na wyższym poziomie. Szkoda, że i ceny bardziej dla wyższych sfer. Kioski „Warsu" przed peronami nominalnie powinny być otwarte do dziewiętnastej, ale pracują choć jest już prawie dziewiąta. Bardzo ładnie! Ruch w interesie wre. Ustawiają się długie kolejki.

Na pół godziny przed odejściem pociągu do Zakopanego. Miejsc siedzących już dawno nie ma. Podróżni chodzą wzdłuż wagonów. Szukają. Może z przodu pociągu, może z tyłu? Nie. Miejsc nie ma już nigdzie. W końcu usiądą na korytarzu. Będą w ten sposób tarasować drogę do toalety tym szczęśliwcom, którzy zdobyli miejsca w przedziałach. Czy także drogę do bufetu „Warsu"? Nie, na szczęście nie. „Wars" wycofano ze składu, ze względu na zbyt małą frekwencję, jaką cieszy się pociąg. Proszę, niech świat zobaczy, co w Polsce nazywa się małą frekwencją!

Restauracja na Fabrycznym cieszy się opinią najlepszej knajpy dworcowej w Łodzi. Chyba zasłużenie. Siedzi się tu przy normalnych stolikach, leżą karty dań. Czasem nawet podchodzi kelnerka.

A jak jest na Chojnach?

To mały, spokojny dworzec, choć zatrzymują się na nim nawet międzynarodowe pociągi. Jest tu też najczyściej. Może ze względu na mały ruch?

A co w restauracji dworcowej? Czekolady, drogie słodycze... Tak. Już zgadujemy. Restauracja jest w ajencji. Gorzej natomiast z bardziej treściwymi posiłkami. Proponuje się dwa niewyszukane dania, ale na zamówienie. Trzeba czekać.

Kiedyś było inaczej. Kiedyś do składu pociągu dołączano specjalny wagon restauracyjny, na który ludzie mówili po prostu „Wars". Śpiewano nawet o nim piosenki, np. „Wars wita was". Kiedyś zdarzało się nawet, że kelner chodził po przedziałach i proponował podróżnym kawę, herbatę. Teraz już nie chodzi, a „Wars" nikogo nie wita. Teraz jest reforma gospodarcza. Okazuje się, że wagony „Warsu" przynosiły po kilka tysięcy złotych strat za każdym kursem. Ze względu na zbyt małą frekwencję. Dlatego poli kwidowano je. W ten sposób usunięto na przykład wagon „Warsu" ze składu pociągu do Zakopanego. Dziwne. Panował tam przecież niemały ruch, a teraz podróżni biegają w poszukiwaniu jakiejś oranżady, nocą, po dworcu w Krakowie. Biegają zresztą bezskutecznie. Nie ma już „Warsu" w pociągu do Ustki. W pociągu, który wsławiał się dantejskimi scenami przy zajmowaniu miejsc. Powód ten sam. Mała frekwencja. Coraz bardziej dziwne.

A może po prostu dołączać wagony Warsu w sezonie urlopowym, albo choć tylko w szczycie komunikacyjnym? Na pewno nie przyniosłyby strat. Nie można. Rozkład jazdy jest ustalony raz na rok. Czyżby więc reforma gospodarcza raz obowiązywała, a raz nie? *Może jest i tak.*

Łódzkie dworce i łódzkie pociągi to prowincjonalne dworce i prowincjonalne pociągi.

Wagony „Warsu", których jest ograniczona ilość, muszą jeździć na warszawskich trasach, gdzie przynoszą po 75—100 tys. zł zysku za każdym kursem.

Myślenie kategoriami zysku daje już o sobie znać. Najlepiej oddać kioski w ajencję. Na dworcach panuje przecież duży ruch. Zawsze ktoś kupi paczkę gum balonowych albo węgierską czekoladę. Jest zysk? Jest! Po co myśleć jak osiągnąć zysk przy jednoczesnym zapewnieniu komfortu podróży. Monopol.

Prowincjonalizm naszych dworców widać na każdym kroku. Wystarczy popatrzeć jak wysiadający rzucają się w stronę postoju taksówek. To prawdziwy wyścig. Słabsi odpadną. Będą mogli odpocząć czekając na taksówkę, godzinę lub dłużej.

A na dworcach nic się nie dzieje. Ludzie czekają sennie na niewygodnych ławkach. Przyzwyczaili się, zresztą myślą o tym, jak przycałić się, zaatakować i zdobyć miejsce siedzące w pociągu. A w podróży? Zalecany jest stoicki spokój. Jak u tego młodego człowieka, który próbował zachowywać się dostojnie, mimo potwornego ścisku. Starszym ludziom szybciej nerwy odmawiają posłuszeństwa.

Gdzie zostały jeszcze wagony „Warsu". Jeśli chodzi o pociąg z dworca Kaliskiego: do Jeleniej Góry, Trzebiatowa, Gdyni i Kołobrzegu, a z Dworca Fabrycznego — do Suwałk i Gliwic.

Najlepiej więc kupić bułkę z mielonką i ułożyć nową piosenkę, która miałaby tytuł „Wars żegna was".

MAREK BŁASZKOWSKI

To z czym stykamy się codziennie i, niemal, na każdym kroku przypomina anegdotyczne zdarzenie jakie przytrafiło się słynnemu kpiarzowi. Otóż będący jeszcze w sile wieku Bernard Shaw — miał na głowie, jak wiemy, rudą, bujną czuprynę i podobną do czupryny rudą brodę — otrzymał kiedyś list od pewnej znanej i równie pięknej, co ekscentrycznej aktorki.

„Szanowny Mistrzu! — pisała aktorka. — *Pan znany jest ze swego wielkiego talentu, rozumu i dowcipu, a ja uchodzę za piękną. Otóż uważam, że powinniśmy oboje zawrzeć związek małżeński, a wówczas nasze dzieci, które odziedziczą Pański rozum i moją urodę, będą doprawdy cudownymi dziećmi".*

Na to Shaw, który otrzymywał tysiące listów, odpowiedział jak przystało na prawdziwego mędrca:

„Szanowna Pani! Dziękuję za nadesłany mi list. Sądzę, że propozycja Pani jest w zasadzie dość ciekawa. Jedno mnie tylko zastanawia, co będzie, jeżeli zawrzemy związek małżeński i nasze dzieci odziedziczą moją urodę, a rozum Pani?... Zdaje się, że już lepiej nie ryzykować!".

Otóż rozpowszechnił się u nas swoisty sposób rozumowania przypominający powyższą anegdotę. To bałamutne myślenie utwierdza wielu w przekonaniu, że jeżeli bezmyślnie — i nie licząc się ze skutkami — ożenimy urodę z brzydotą, mądrość z głupotą, bądź stare z nowym narodzi się z tego związku wcale urodziwe potomstwo, względnie wielce pożyteczny fakt.

Szczególnie wyraziście daje się to zauważyć w sferze kultury. Zapatrzeni w wieloletnie schematy — nasze dzieci, wypieszczone latami bezmyślnego wygodnictwa i, jak to z dziećmi bywa, niedostrzegamy ich wad i ułomności — próbujemy związać je z raczkującymi koncepcjami zrodzonymi w nowych warunkach, a zatem i skazanymi na egzystencję w innym świecie relatywnych ocen i prawd.

Oto zakończył się niedawno Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie (niedługo rozpocznie się inny festiwal, tym razem w Łodzi, poświęcony filmowi społeczno-politycznemu), warto odwołać się do przykładów z tej właśnie dziedziny.

No więc jak to zwykle przy okazjach festiwali bywa narzekaniom na poziom filmów nie było końca. Wytaczano działa najcięższego kalibru, od lat wymierzane w twórców krótkiego metrażu, a więc, że mamy do czynienia z całkowitym upadkiem tej szlachetnej sztuki, że kryzys tego gatunku filmowego pogłębia się coraz bardziej, że nie ma możliwości prezentacji dorobku.

Są pomysły

Już Bernard Shaw przestrzegał

Mówiono wreszcie o braku sprzętu, taśmy, o zagubieniu gatunku, o niedostatku bazy, o frustracji twórców, którzy nie wiedzą dla kogo *realizują* swoje filmy...

Ton narzekań był absolutnie powszechny i — jak utrzymują komentatorzy — absolutnie niekonstruktywny, gdyż nic z niego nie wynika. Bo przecież, mimo wszystko, powstają w wytwórniach filmy, widać wartościowe, skoro nagradzane są na festiwalach, nie tylko krajowych, a tysiące wartościowych tytułów zalega półki w wytwórniach!.. Nikt jednak nie podjął takich tematów jak: co robić z filmami, które mogłyby służyć szkołom, lub innym środowiskom? Dlaczego sprowadza się z zagranicy filmy, których odpowiedniki tematyczne (na nie mniejszym poziomie!) można znaleźć w naszych wytwórniach?

Z tych utyskiwań najbardziej charakterystyczna była wypowiedź, która dotknęła spraw odbiorców, widowni krótkiego metrażu. Zwrócił na to uwagę laureat tegorocznego Grand Prix, Jerzy Kalina mówiąc, że nadal pokutuje święty stereotyp łączący film z kinem. A przecież to, że film przez lata znajdował tylko odbiorców w kinie nic już dziś nie znaczy. Na całym świecie odbiorca oczekuje dziś kaset wideo, które w dowolnym dla siebie czasie i miejscu (a także i w galerii np.) będzie w stanie poznać. My natomiast nie zaprzątamy sobie tym głowy, nie przygotowujemy się na to czego doświadczają inni. Jedyne zło upatrujemy w widzach, którzy nie chcą przychodzić do kina.

Prawdopodobnie ten stereotyp myślowy sprawił, że miast mówić o takich sprawach, o przyszłości krótkiego metrażu, wszyscy festiwalowi dyskutanci cały czas deliberowali nad celowością wydatkowania przez dyrekcję festiwalu 1,5 mln zł na... sygnał filmowy imprezy, jak by od tego zależała przyszłość gatunku.

Mamy jednak — na szczęście — ludzi zdolnych do przewidywania skutków nie najlepszych mariaży, którzy widzą przyszłość naszej kultury we właściwych wymiarach. Cóż kiedy wokół nich natychmiast pojawiają się podobni owej ekscentrycznej aktoreczce adoratorzy, wszelkiego autoramentu swaty z dawnej epoki, którzy po swojemu rajfurzą.

Przed kilkoma laty głośno było w kraju o powołaniu do życia Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, którego dyrektorem został mianowany artysta-malarz Jan Karczewski. Zapytany po dwóch latach, co może powiedzieć dzisiaj o Centrum, odpowiedział: — *Nic specjalnego. Z dwóch powodów: po pierwsze, nie zmieniła się moja opinia, po wtóre niewiele się zmieniło w Centrum i „wokół" niego. Na budowie zastój, zaś sprawę usiłują — w najgorszym stylu — przejąć w swoje ręce urzędnicy, kierujący się niezrozumiałą obroną przed czymś nowym. Do atmosfery zawieszania i niepewności przyczyniają się także rozmaite „pomysły", od likwidacji Centrum, aż po jego połączenie z Centralnym Biurem Wystaw Artystycznych. Żadnego z tych nowych rozwiązań traktowanego jako ostateczne nie konsultuje się ze środowiskiem, ani nawet nie informuje się o nich urzędującego p.o. dyrektora CSW. Nie jest to postępowanie normalne...*

Na pytanie a może tzw. decydenci nie bardzo wiedzą, czym ma być Centrum? — padła odpowiedź:

— *Mogliby zapytać tych, którzy wiedzą — np. członków rozwiązanej Rady Programowej. Mam nadzieję, że idea Centrum nie da się już „rozmydlić". Znalazła się ona w zbyt wielu ważnych dokumentach m.in. w uchwałach X Zjazdu PZPR. Działalność CSW jest bowiem naprawdę ważną sprawą. Chodzi o likwidację poważnej luki cywilizacyjnej, o stałą obecność sztuki współczesnej w edukacji i rekreacji społeczeństwa. Centrum może i powinno stać się ośrodkiem żywej, tworzonej na gorąco sztuki. Oby stało się tak jak najszybciej. Niestety, ubiegłoroczny, kolejny termin oddania CSW już minął, a nowego nikt nie próbuje nawet wyznaczyć...".*

No właśnie.

Z tych ledwie dwóch przykładów — a można by je mnożyć w nieskończoność — wniosek nasuwa się prosty... A zresztą, czy w tak oczywistych sprawach trzeba wysuwać wnioski, a jeśli — to czy są one aż tak proste. Pani aktoreczce też się wydawało, że związek małżeński z geniuszem musi dać genialne owoce, co wcale nie oznacza, że obiekcje mistrza były zasadne! Moje zastrzeżenia zawsze budziły i budzą wszelkiego rodzaju pewniki osadzone na mrzonkach bądź stereotypowych założeniach. A już gdy wspierane są rajfurami ze starej szkoły — tym bardziej.

MARIAN ZDROJEWSKI

1 Nagle zastępstwo

Straszny posąg Komendanta

Z uwagą śledzę tok myślenia, jaki prezentuje na tej kolumnie mój sąsiad i starszy kolega, Józef Retman, autor felietonów pod nagłówkiem „Pod prąd". Józef Retman bowiem od pewnego czasu przedstawia interesujące spojrzenie na rzeczywistość społeczno-ekonomiczną i reformę gospodarczą z punktu widzenia laika, człowieka, który musi tę żabę jeść. Co istotne, z punktu widzenia człowieka niemłodego (o ile wiem, niedawno przeszedł na emeryturę z Żeglugi Śródlądowej i zamienił koło sterowe na maszynę do pisania). Jest to — powtarzam — istotne, bowiem pan Józef reprezentuje pokolenie, które nie bardzo może liczyć na zakosztowanie słodkich owoców reformy, a na pewno zdąży jeszcze nałykać się gorzkich łez drugiego, trzeciego i entego etapu. Jestem niewiele młodszy i należę do tej samej formacji pokoleniowej — podobnie jak Retman kończyłem studia ani przez chwilę nie kalkulując, co i za ile będę robić, podobnie jak Retman pracowałem całe lata nie troszcząc się specjalnie o zarobki — wiedziałem, że biedy nie zaznam a i fortuny niejakiej żadnym sposobem nie zdobędę na państwowej posadzie. Miałem też pewność, że kiedy stanę się czcigodnym „weteranem pracy", jak się u nas poetycznie nazywa faceta, który gdzie indziej jest tylko emerytem, więc kiedy już będę weteranem, państwo nasze ludowe oraz ubezpieczalnia zadbają o mnie, wypłacą co trzeba i jeszcze dadzą skierowanie do sanatorium.

A tymczasem... a tymczasem zaczyna mi się wymyślać od przezytków stalinowskiego system urawniłowki i przeciętności, zarzucać brak wyobraźni, inicjatywy, brak odwagi i chęci do wzięcia swego losu we własne ręce. Nie bacząc na to, że swoje zarobki zawsze przejadałem, na książeczce PKO mam tyle, że na porządny pogrzeb nie starczy, a konta dewizowego nawet sobie nie wyobrażam. No po prostu nie mam pojęcia, jak takie konto wygląda...

Z wyżej wymienionych powodów nie założę pieczarkarni, nie wezmę w ajencję knajpy, nie pojadę handlować do Grecji ani na saksy do RFN. Do końca dni moich będę klepać bidę i umrę w nędzy, jaką zapewnia mi system rewaloryzacji świadczeń emerytalnych. Czego państwu ani Państwu nie życzę...

Nie piszę tego po to, żeby wzbudzić współczucie Czytelnika czy też pożalać się publicznie. Sądzę, że oprócz Józefa Retmana i mnie jest w naszym kraju potężna rzesza ludzi niemłodych, którzy już inaczej swego życia nie będą urządzać, a którym jeszcze coś się od życia należy. I dobrze, że Retman występuje w naszym imieniu, że uprawia publicystykę „miniekonomiczną" i uświadamia, że oprócz słusznych wołań o inicjatywę, odwagę i niekonwencjonalne myślenie w sprawach gospodarczych istnieje jeszcze rozległy obszar zwykłego życia zwykłych ludzi. Ludzi, którzy muszą spłacać potężne zagraniczne długi, którzy ustawili się życiowo zgodnie z wymogami swej epoki, a tu nowa epoka gra im na nosie i powiada: — no, dalej, staruchy, albo się przystosujecie, albo won!

Ojciec powtarzał mi, gdy z powodzeniem studiowałem nauki humanistyczne: — piękna rzecz literatura i takie tam różne filozofie, ale żyć trzeba... Może zapisałbyś się na kurs reperacji sprzętu radiowego i telewizyjnego? I miał rację. A ja — oczywiście — nie posłuchałem.

Miałem ostatnio sen: Do mego pokoju wszedł kamienny posąg Komandora i zamierzał zadeptać mnie w odwecie za moje grzeszne życie. Obudziłem się zlany potem a jednocześnie ubawiony setnie — gdzie mi tam do Don Juana!

Myślę jednak, że nie za rozpustne życie miałem być ukarany. Kara spotka mnie za grzechy całego mego pokolenia — lekkomyślność, zaufanie do władzy sprawiedliwej i wszechmocnej, niezachwianą pewność, że żyjemy w kraju sprawiedliwości społecznej itd. itp. A przy okazji — cóż to jest dzisiaj „sprawiedliwość społeczna"? Czy sprawiedliwe jest, że niewykwalifikowany robotnik zarabia dwa razy tyle co nauczyciel? A czy sprawiedliwe będzie, jeśli nauczyciell zarobi dwa razy tyle co robotnik? Bo jedno jest pewne — jeśli obaj zarobią tak samo, to na pewno nie będzie sprawiedliwe.

A co do posągu Komandora: zdarza się tylko w snach. „Na żywo" pojawił się tylko posąg Komendanta na estradzie w Kołobrzegu i odśpiewał „Pierwszą Brygadę". Brrr...

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Francuskie perfumy

Po raz drugi czytam uroczą książkę Barbary Wachowicz „Malwy na lewadach". Dużo w niej ciekawych przyczynków historycznych, dużo także — co szczególnie lubię — anegdot, ożywiających nam słynne postaci i dość odległe już czasy. Czytając, spostrzegam jak w nieoczekiwanych momentach pojawiają się nagle w myśli skojarzenia z czasem dzisiejszym, jakieś takie minirefleksje, przeważnie zresztą krytyczne, jako że lewe oko zawsze miałem sprawniejsze od prawego.

Oto mamy rozdział o pobycie Szopena w Szkocji, na parę miesięcy przed jego zgonem. Z Paryża nadeszła wtedy dla wielkiego kompozytora przesyłka od nieznanego wielbiciela. Specyfikację tej przesyłki posiada obecnie pan Headley, autor wielkiej biografii genialnego Fryderyka. Jest w tej specyfikacji wymieniony flakonik perfum, nie zapamiętałem nazwy, ale mniejsza o to, oraz adres sklepu paryskiego, w którym te perfumy zostały nabyte. W sto czterdzieści lat po wysłaniu tej przesyłki angielski szopenolog, bawiąc w Paryżu, odszukał adres tamtego sklepu i o dziwo znalazł w tym samym miejscu ten sam sklep prowadzony przez tę samą rodzinę. Poprosił o te same perfumy i bez trudu je otrzymał. *„Czy pan wie jakich klientów miała wasza firma?"* — zapytał francuskiego sprzedawcę. *„Nie wiem". „Tu przecież kupował Szopen".* Następnego dnia w witrynie sklepu widniał napis: *„Tylko w naszym sklepie kupował perfumy Fryderyk Szopen".*

Wyobrażacie sobie u nas sklep istniejący w tym samym miejscu przez sto czterdzieści lat, no niechby przez czternaście lat, ani razu nie przebranżowiony, ani razu nie zmieniający właściciela z jednego MHD na drugie i dziesiąte, nie przebudowywany, nie zamykany na całe miesiące, a czasem lata dla jakichś tam renowacji, adaptacji i modernizacji? Wyobrażacie sobie, że przez tak długi czas sprzedaje się perfumy o tej samej nazwie i wciąż pasuje ona do panujących światopoglądowych doktryn. Ja się nie śmieję, naprawdę myślę o doktrynach światopoglądowych. Przecież perfumy „Księżna Pani" nie mogły się w pewnym okresie naszej historii ukazywać na rynku, musiały być zastąpione „Oddechem Przodownicy".

W innym miejscu książki czytam o Józefie Korzeniowskim, późniejszym Conradzie, jak mając siedemnaście i pół roku zaciąga się w Marsylii na pierwszy w życiu statek jako praktykant okrętowy. W osiem lat później napisze i wyda jedną z najpiękniejszych powieści literatury powszechnej, „Szaleństwo Almayera". Przez kilkadziesiąt lat krąży po świecie, prawie wyłącznie w towarzystwie obcokrajowców, mimo to z ludźmi odwiedzającymi go z kraju rozmawia najczystszą polszczyzną, nią też posługuje się w listach do krewnych. A jak to bywa dziś?

Dziś, siedemnastoletni chłopak miewa już erotyczne przygody, czasem jest posiadaczem samochodu, czasem zaś ma kosmicznego kaca i zażywa narkotyki. Poza tym jest absolutnym dzieckiem i nigdy, ani przez chwilę, nie pomyśli jeszcze o swoim przyszłym zawodzie, o tym jaką właściwie chciałby podjąć pracę, czym chciałby być. W osiem lat później jest studentem wszystko jedno czego, ma ogromne aspiracje, jeśli chodzi o dobra materialne i nadal nie bardzo wie, czego chce. Gdyby w tym wieku napisał książkę, nawet bardzo dobrą, to i tak wyszłaby ona siedem, osiem lat później, po przekroczeniu przez autora trzydziestki. Jeśli Polak, w naszych czasach, wyjedzie za granicę, to już po dziesięciu latach zaczyna się snobować na śmieszny volapück polsko-obcojęzyczny. Po dwudziestu latach z jego polszczyzny zostaje już tylko karykatura.

Trzecia refleksja, jaką chcę się tu podzielić z Czytelnikiem, jest już mniej krytyczna. Oto tenże Conrad wydał swoje „Szaleństwo Almayera" w firmie Edward Garnett, która publikowała serię pod hasłem „Biblioteka pseudonimów". Warunkiem objęcia książki tą serią było niepodpisywanie jej przez autora. Musiała wyjść na rynek i przyciągnąć uwagę samą treścią, nie nazwiskiem. Może to i nie najgorszy pomysł. Może pozwoliłby uniknąć przetargów, różnych tak zwanych „chodów", znajomości, stanowisk — może taką książkę podpisaną pseudonimem wydawca przeczytałby naprawdę z osobistym zainteresowaniem, bo a nuż ma przed sobą jakiś nieoczekiwany bestseller?

Niestety, jak znam życie, myślę, że takiej książki wydawca by w ogóle nie czytał.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

Grotniki naszych marzeń

Z Łodzi do Grotnik jedzie się pociągiem elektrycznym mniej więcej pół godziny. Tyle, ile autobusem MPK ze Śródmieścia na Widzew-Wschód, czy tramwajem do Rudy Pabianickiej, czyli bardzo krótko, biorąc pod uwagę różnicę odległości.

Z Łodzi do Grotnik latem jedzie się na niedzielny wypoczynek, spacer po lesie, w odwiedziny do znajomych, ale zazwyczaj na tak zwane letnisko. Jeśli ma się tam swój własny domek, a niektórzy mają, to do domku; jeśli nie, co dotyczy zdecydowanej większości, to do wynajętego pokoju.

Wynajęcie pokoju na cały sezon letni (od czerwca do września), bo taka jest najczęściej praktyka, kosztuje od około 60 tysięcy do 100 tysięcy złotych — zależnie od wielkości, standardu, wyposażenia i mniemania o sobie właściciela. Nie jest to przy tym aż tak dużo w porównaniu z obecnymi cenami wczasów czy prywatnych kwater w atrakcyjnych, znanych miejscowościach nad morzem, albo w górach. Toteż łodzianie chętnie wybierają Grotniki. Zwłaszcza ci, którzy nie mają latem co zrobić z małymi dziećmi, a nie chcą trzymać ich w dusznym i zadymionym mieście. I niewątpliwie mają rację, bowiem Grotniki są na letnisko wymarzonym wprost miejscem. To znaczy, pardon, mogłyby być wymarzonym miejscem, gdyby:

— oprócz istniejących trzech sklepów spożywczych czynnych było latem co najmniej drugie tyle niewielkich pawilonów lub kiosków z podstawowymi artykułami żywnościowymi, dzięki czemu zakup mleka i pieczywa nie zabierałby rano średnio półtorej godziny (po południu sklepy są zamknięte, a nawet jeśliby je otworzyć, to i tak nic już by w nich nie było);

— uruchomić choćby sezonowo sklep z zabawkami i innymi towarami dla dzieci, który na pewno cieszyłby się sporym powodzeniem u „letników", tudzież miejscowej ludności, a jednocześnie mógł przynosić wcale niemałe, jak sądzę, dochody;

— postawić jeszcze ze dwa kioski „Ruchu" oraz kilka punktów tzw. małej gastronomii z napojami chłodzącymi, lodami, słodyczami, zapiekankami, itp. — z powodów jak wyżej. Mogłaby też powstać kawiarnia i bar z prawdziwego zdarzenia, ponieważ ten przy stacji kolejowej tak swoim wyglądem, jak i oferowanym menu raczej zniechęca do zjedzenia w nim czegokolwiek;

— przy większych uliczkach ustawić automaty telefoniczne, z których bez problemu dałoby się w każdej chwili dodzwonić do Zgierza czy Łodzi;

— wyremontować, a najlepiej zbudować nowy budynek stacji kolejowej (nie musiałby być wcale większy od obecnego!);

— przejazd kolejowy w Jedliczach stał się przejazdem strzeżonym (dwa ostatnie — ale wcale nie pierwsze! — wypadki kolejowe w tym rejonie powinny być poważnym ostrzeżeniem!);

— rozmieścić w tzw. centrum Grotnik oraz przy wjeździe od strony Łodzi i Ozorkowa przejrzyste tablice informacyjne (co, gdzie i kiedy).

— urządzić dla dzieci ogródek jordanowski z wieloma atrakcjami, takimi jak: piaskownice, huśtawki, drabinki, bolska, brodzik, automaty do gier, itd., a być może nawet — wypożyczalnią sprzętu sportowego i turystycznego;

— spiętrzyć trochę wody czystej jak dotąd rzeczki Lindy i zbudować ogólnodostępne kąpielisko, z którego — podobnie jak z wymienionego wyżej ogródka — korzystałoby się za jakąś niewielką opłatą.

To na początek. Dobry początek, ponieważ podłódzkie Grotniki stać się mogą nie tylko rzeczywiście atrakcyjnym miejscem letniego i sobotnio-niedzielnego wypoczynku, ale również — gdzie zainwestowane z głową złotówki szybko będą się zwracać, a później przynosić nawet pewne zyski.

Szeroko rozumiana turystyka i organizacja wypoczynku jest dziś w wielu krajach jedną z najbardziej dochodowych dziedzin gospodarki i bije na głowę wiele gałęzi przemysłu. Zupełnie odwrotnie niż u nas, gdzie jeśli już zaczyna bić, to przede wszystkim człowieka po kieszeni. A przecież może być i tanio, i bez strat. I niechby na razie tyle.

JÓZEF RETMAN

P.S. Felieton ten dedykuję nowo wybranym radnym, proponując im przy okazji wycieczkę do Grotnik, a pewno i do innych podłódzkich miejscowości.

— Dostaniesz jeść i pić w moim dworze.

— Byłem już w twoim grodzie, księżniczko, ale dowódca Gaut kazał mnie poszczuć psami.

— To nie on tu rządzi, ale mój ojciec. A on mnie słucha.

— Jak chyba tak jak mówisz. Ale ludzie powiadają, że twój ojciec ostatnio bardzo się postarzał i rządzi Gaut, bo on ma miecz, a ty kądziel.

— Nie przędę kądzieli, wróżu — oświadczyła pogardliwie. — Gaut to mój pachołek.

— A jednak nie wrócę do grodu. Pójdę na południe, do przedziwnego Piastuna, który wkrótce będzie rządził od morza aż do gór Karpatos. Tak mówi przyszłość, księżniczko. On słucha wróżów i sam czaramі się zajmuje.

— Piastun to samozwaniec. Malutkie książątko — powiedziała.

— Nie mów tak, księżniczko. W miejscu, gdzie stoimy, zabił przed laty trzech Ascomannów, którzy napadli na niego z rozkazu twojego ojca. Tak książę Gedan odwdzięczył się mu za to, że uciął głowę Akumowi i ciebie, księżniczko, uratował z nurtu Visuli. To olbrzym. Odpłynął potem daleko, ale wróci i pewnego dnia sięgnie po ciebie.

— Kłamiesz. Człowieka, który mnie uratował z toni, dobrze pamiętam. To był młodzieniec o białych włosach i ogromnej sile. Na imię miał Dago.

— Nie mówiono ci, że imię Piastuna brzmi: Dago Pan i Piastun, Dawca Wolności i Dawca Sprawiedliwości? Ma białe włosy i biały ogier drży między jego udami.

— Kłamiesz. Dlatego nie dostaniesz nawet pół denara. Idź precz, wróżu. Kazałabym cię zabić, ale wróżów się nie zabija.

To powiedziawszy, zawróciła w stronę grodu i bram warowni. Duma nie pozwoliła jej obejrzeć się za siebie; dlatego jej bystry wzrok nie mógł zauważyć, że wróż uśmiechał się szeroko, a potem krokiem dziwnie żwawym jak na krótkowzrocznego człowieka, ruszył przed siebie brzegiem morza, nie zwracając uwagi na wynoszone przez fale piękne muszle i kawałki bursztynu.

Wieczorem księżniczka Gedania zapytała przy kolacji swojego ojca:

— Jak ma na imię ów Piastun, który ostatnio każdej jesieni sprzedaje ci statki ze zbożem?

— Dago — odpowiedział Gaut, który brał udział w kolacji władcy i jego córki.

— Powiadają — rzekła Gedania — że to ten sam człowiek, który uratował mi życie jako małemu dziecku.

— Nie wierz temu, Gedanio — rzekł jej ojciec. — Tamten młodzieniec odpłynął wraz z cesarzem Rhomajów, Bazylim, który był wtedy tylko Wielkim Koniuchem.

— Mógł jednak powrócić.

— Nikt nie wraca od Rhomajów, gdyż jest tam tak wspaniały dwór i tyle piękności, że każdego urzekną.

— Dlaczego kazałeś zabić owego młodzieńca, ojcze, chociaż uciął głowę władcy Druzo i uratował mi życie?

— Skąd o tym wiesz? — zdumiał się Gedan

— Wiem o wielu tajemnych sprawach, ojcze. Muszę o nich wiedzieć, gdyż będę władczynią Witlandii.

— Nie możesz być, księżniczko, władczynią Witlandii. Musisz wyjść za mąż. Będziesz władczynią przy boku męża — powiedział Gaut.

— Zamilcz — przerwała mu ostro Gedania. — Nie lubię, gdy ktoś mi przeszkadza w rozmowie z ojcem. A to wiedz, że będę nie tylko władczynią Witlandii, ale całej krainy od morza aż po góry Karpatos. Ty zaś ojcze, nie odpowiedziałeś na moje pytanie...

— To było bardzo dawno temu, Gedanio. Wtedy miałem na swoim dworze wróża imieniem Gwido. Gdy ów Dago uratował ci życie, księżyc nagle zniknął z nieba i on powiedział, że ów człowiek może wrócić tutaj po ciebie, gdyż odtąd twoje życie należy do niego. Bałem się ciebie utracić i pozwoliłem Gwido, aby zabił owego młodzieńca. Tak się jednak stało, że gdy odpłynęły okręty cesarza Bazylego, znaleźliśmy Gwido z brzuchem rozpłatanym nożem.

— A jeśli to prawda, że ów młodzieniec Dago jest tym samym co Piastun?

— To źle, Gedanio. Owemu Piastunowi, który jest władcą małego i słabego państwa, płacę połowę należności za towary. On o tym wie. Na szczęście ma za mało wojska, aby upomnieć się o swoją należność.

— Czy mówiąc „należność", masz także i mnie na myśli?

— Jeśli jest tym samym Dago, to także i ciebie, Gedanio — powiedział w zamyśleniu książę Gedan.

Chełpliwie oświadczył Gaut:

— O kim my mówimy z taką powagą? O jakimś samozwańcu, któremu płacimy połowę należności za towary? To prawda, że pojawił się nie wiadomo skąd i podstępem posiadł Kruszwic, Gniazdo i Poznanię. Ale na tym kończą się jego zwycięstwa. Żona księcia Popiołowłosego, Helgunda, zdołała na szczęście uciec do księcia Karaka i szykuje się odebrać swój tron. Karak zawarł przymierze z Ludźmi Skrzydlatymi i wkrótce ruszy na państwo Polan. Ożenił się ów Piastun z władczynią Mazowii, ale ta urodziła mu karła, więc ją przegnał od siebie. Nie ma potomstwa, nie ma pieniędzy ani wojska. Jeśli zdołamy pogodzić z sobą władców Pomorza, uderzą na Piastuna także i od północy. To nowe państwo rozpadnie się jak orzech od uderzenia pięści.

A kiedy to rzekł, otwarły się drzwi do jadalnej komnaty i dwóch strażników Gauta wniosło do komnaty kawał lnianego sukna. Był cały czerwony z wyhaftowanym na nim białym ptakiem z rozpostartymi skrzydłami.

— Kazano nam to przynieść, książę, ponieważ, jak nam powiedziano, jest to dar od jakiegoś władcy — wyjaśnił strażnik.

— Kto to kazał zrobić? — podniósł się od stołu Gaut.

— Szybką łodzią wiosłową jacyś ludzie przybyli do naszego portu, wręczyli to sukno i odpłynęli w górę rzeki.

— Wziąć równie szybkie łodzie, dogonić ich i schwytać — rozkazał Gaut.

Gedania rozsunęła misy z jedzeniem na stole i rozłożyła na nim czerwone płótno z białym ptakiem.

— Co znaczy ta czerwień? Co ma oznaczać ten ptak? — pytała głośno samą siebie.

Ponuro rzekł Gedan:

— Czerwień oznacza krew. A biały ptak to wolność. Piastuna zaś, nazywają Dawcą Wolności.

— Będzie chciał zdobyć Witlandię — przytaknął Gaut.

— I mnie — dodała Gedania.

Ale ku zdziwieniu Gedana i Gauta nie usłyszeli choćby odrobiny strachu w jej głosie, a nawet jak gdyby nuta tryumfu w nim zabrzmiała.

Gedan długi czas milczał ponuro, a wreszcie rzekł cicho:

— Baliśmy się dotąd jedynie najazdu Ascomannów i dlatego uzbroiliśmy nasz gród od morza. Co stanie się z nami, jeśli wróg przyjdzie z głębi lądu? Zwrócimy Piastunowi całą należność za towary z jego kraju. Odtąd handlujemy z nim uczciwie.

— Nigdy! — krzyknął Gaut. — To go jeszcze bardziej rozzuchwali, ponieważ pozna naszą słabość. Od lądu broni nas Motława i bagna. Podwyższymy wały, zbudujemy ostrokół wyższy niż ten, który posiadamy. Najmiemy wojowników z Jumna albo Ascomannów.

— On nie chce zdobyć grodu, ale mnie — oświadczyła Gedania i wyszła z komnaty, gdzie Gedan znowu długi czas milczał ponuro. Wiedział bowiem, że Gedania należała się Piastunowi, jeśli to on był tym samym młodzieńcem imieniem Dago, który uratował jej życie.

Gaut przekonał go jednak, aby nie wyrównywać rachunków handlowych z państwem Polan, ale za te pieniądze nająć i wyposażyć w broń wojowników z sąsiedniego plemienia Kaszebe i z ludu Estów. Bał się bowiem Gedan wpuszczać do grodu najemników z Jumna lub Ascomannów, pamiętając co się przydarzyło księciu Akumowi z Druzo. Dlatego wkrótce umocniono wały od strony lądu i zbudowano nową wysoką palisadę nad rzeką Motławą. Wysłano także szpiegów aż do państwa Polan, wypytywano kupców płynących statkami z głębi lądu. Wszyscy oni potwierdzali fakt, że Piastun bardzo się zbroi i ćwiczy armię jakowychś Lestków czy Lestkoviców, których wyszukiwał w głębi puszcz i z prostych kmieciów czynił wojownikami. Ludzie ci byli bardzo dzicy i niezwykle miłowali wolność, nienawidząc władzy książąt i możnych. Piastun pozwalał Lestkom zakładać wioski w okolicach Gniazda, czyniąc ich w ten sposób ludźmi zamożnymi i znaczącymi, całą swoją powagę i majętność zawdzięczających swemu opiekunowi. W ten sposób wokół trzech głównych grodów: Gniazda, Kruszwic i Poznanii powstał jak gdyby szeroki pas obronny, złożony z małych gródków i uzbrojonych wiosek zarządzanych przez Lestków, na dobre i złe oddanych Piastunowi. Być Lestkiem i nosić na oszczepie kawałek sukna z białym ptakiem, znaczyło w państwie Polan najwyższe wyróżnienie i łaskawość Piastuna. Opowiadano, że Lestek, który był w swoim gródku albo w swej wiosce, uważał się za równego nawet wojewodom Piastuna i nie mógł być przez nikogo skazany na śmierć bez zgody samego Piastuna. Tak naprawdę więc rządzili krajem Polan owi przedziwni Lestkowie, a mówiono, że jest ich ponad pięciuset.

Również i na Mazowii, gdzie schroniła się wygnana z Gniazda Zyfika, ćwiczono i uzbrajano sauromackich wojowników. Nękano też sąsiadujące z Mazowią plemiona Estów, które dotąd bezkarnie czyniły wypady w głąb Mazowii, chwytając niewolników. Zyfika odbudowała Plock, umocniła Raciąż i gród Ciechana. Wszystko wskazywało na to, że Zyfika w porozumieniu z Piastunem szykuje się do jakiejś wielkiej wojny, nikt jednak nie wiedział przeciw komu. Tak w Plocku jak i przede wszystkim w grodzie Włocława, budowano coraz nowe statki, ale nie były to okręty wojenne, tylko szkuty przeznaczone do wywozu zboża, gdyż rok znowu zapowiadał się urodzajny. Gedan więc, a z nim Gaut żyli w ogromnej niepewności co do swoich losów, choć już nigdy nie otrzymali powtórnie podobnego podarunku jak ów kawałek czerwonego sukna z białym ptakiem.

Spokój zachowywała tylko Gedania. Odtąd spotkała wróża i dowiedziała się, że Dago, który uratował jej życie jest Piastunem, jej wyobraźnia wciąż przywoływała z pamięci obraz pięknego młodzieńca, który ją — małą dziewczynkę — wyciągnął z topieli. Na wspomnienie chwili, gdy wyjęta z wody objęła owego młodzieńca za szyję i przytuliła się do niego, doznawała zadziwiającego uczucia gorąca, a nawet duszności i wielkiej tęsknoty, aby znowu spotkać tego człowieka, znowu dać się wziąć na ręce, znowu otoczyć ramionami jego szyję. Nie zaznawała kobiecego pożądania, to uczucie było jej obce, ale coś w rodzaju pożądania ogarniało ją, gdy od ojca lub Gauta słyszała o rosnącej potędze państwa Polan. Uważała się za urodzoną do rządzenia. Marzyła, że u boku takiego człowieka jak Piastun mogłaby nie tylko władać, ale służyć mu radą i pomocą, kierować jego wojskami. Odmówiła ręki kuningowi Olandi i wielu jarlom, którzy ją mogli powieść w rozległy świat, gdyż taka była wola jej ojca, a i ona nie pragnęła znaleźć się w łożu żadnego mężczyzny. Teraz jednak zrozumiała, że jeśli nawet zostanie władczynią Witlandii i weźmie sobie za męża człowieka posłusznego, podporządkowanego, czymże będzie owa Witlandia? Maleńkim kraikiem wciśniętym w rozlewiska uchodzącej do morza rzeki. Przez całe życie znajdowała się tu jak w więzieniu, z wysokich obwałowań widząc jedynie grzywacze morskie i z rzadka — statki kupców i piratów. Wyrosła w ciasnym skupisku domów i umocnień gródka, między nurtami rzeki, rozlewiskami wody i bagnami. Teraz obudziło się w niej pragnienie, aby jak ów ptak na przesłanym im od Piastuna kawałku płótna, wzlecieć wysoko i widzieć pod sobą rozległą krainę. Czemu oczy kupców i żeglarzy mogły zobaczyć więcej świata od niej, księżniczki Gedani? Tak, wyjdzie zamąż za Piastuna i urodzi mu olbrzyma, bo, jak się słyszało, on tego pragnie i dlatego wygnał od siebie swoją pierwszą żonę. W wianie wniesie mężowi gród u ujścia Visuli i otworzy mu drogę na świat mórz i oceanów, dalekich lądów i krajów. Oczywiście, wprzódy postawi swoje warunki — będzie współwładczynią i razem podbiją ziemie Pomorców, ziemie Ludzi Skrzydlatych i Długogłowych, złamią potęgę Karaka. Mężowi pozwoli raz lub dwa razy w tygodniu wchodzić do swego łoża, gdyż czuje wstręt do ciała mężczyzny. Piastunowi da prawo mieć nałożnice, niechaj mu służą do zabawy. Ona pozostanie wyniosłą, nietykalną, majestatyczną królową, przed którą będą giąć karki wodzowie i inni władcy. Ojciec, książę, Gedan, jest już schorowany i słaby, może wkrótce umrze. Pozostanie tylko Gaut i jego żołnierze...

...Latem dwukrotnie Gaut ocalił swoje życie tylko dlatego, że lubił jadać w towarzystwie swoich psów i rzucał im kęsy. Dwukrotnie podano mu zatrute jadło i psy zdechły. Kto był sprawcą zamachu na jego życie? Kto spiskował przeciw jego rządami w Witlandii?

O Gedani nawet nie pomyślał. Wiedział, że nie jest mu rada. Ale miał doświadczenie z kobietami, które nie były w jego pojęciu istotami ambitnymi i żądnymi prawdziwej władzy; można je było zadowolić drogimi strojami i pachnidłami. Dlatego przyczyny zdrady i spisków skłonny był raczej szukać na podgrodziu albo wśród swoich żołnierzy, opłaconych przez kupców. Także i do jego uszu doszła wiadomość, że w Moguncji czy też w Hedeby kupcy mówiący rozmaitymi językami, ale połączeni pragnieniem pomnażania swoich bogactw, wydali na księcia Gedana wyrok śmierci zwany „norn" za to, że nie pozwalał wpływać ascomannskim statkom w górę Visuli. Dlatego dawał do zrozumienia kupcom na podgrodziu i tym, co przybywali z towarami albo po towary, że gdy ożeni się z Gedanią i zostanie władcą Witlandii — otworzy Visulę dla okrętów Ascomannów. Nie wiedział, że na to jest już za późno. Wprawione zostało w ruch narzędzie, które miało wykonać wyrok śmierci.

Minęły żniwa. Puste spichlerze i szopy w Gedanii oczekiwały na statki z południa — ze zbożem, z dziegciem, z woskiem, z solą, z futrami. Lecz nagle rzeka opustoszała. Nie nadpłynął nią żaden statek obciążony towarami z państwa Karaka, od Ludzi Skrzydlatych, a przede wszystkim od Polan. Gdzieś tam bardzo daleko, może na wysokości grodu Włocław — stanęła jakaś niewidzialna zapora, która zamknęła statkom drogę z nurtem rzeki. Potem już niedaleko Gedanii dziesiątki statków pełnych wojska podpłynęły nocą do małego gródka Pomorców i spaliły go doszczętnie. Nazwano to miejsce Gniew, gdyż to tam Piastun rozgniewał się na tych, co nie chcieli mu otworzyć grodu, nakarmić jego konie na statkach i dać strawę żołnierzom.

— Są już coraz bliżej — powiedział książę Gedan do Gauta w obecności Gedani, która tego dnia wczesnym rankiem wysłała w stronę wojsk Piastuna niewielką łódkę z posłańcem od siebie. Obiecała Piastunowi, że zastanie ją gościnną dla jego osoby.

— Źle mi doradziłeś, Gaucie — martwił się Gedan. — Należało spłacić Piastuna. Na podgrodziu wielu jest takich, co to sprzyjają Piastunowi i czekają jego nadejścia. Wszędzie czai się zdrada. Jeszcze wojska Piastuna nie podeszły pod naszą warownię, a już ze wszystkich stron słyszy się głosy, że zastanie bramy grodu otwarte. Dlatego wyślesz, Gaucie, szybką łódź z dziesięcioma wioślarzami w górę rzeki na spotkanie z Piastunem. Najlepiej, jeśli sam będziesz posłował. Obiecasz Piastunowi, że naprawdę wszystkie wyrządzone mu straty, choćby to wyniosło i dziesięć mieszków złota.

Uczynił Gaut jak mu rozkazał Gedan, gdyż nie czuł się w mocy zabić księcia Gedana. Jeśliby bowiem Piastun dowiedział się, że zabrakło prawowitego władcy, tym szybciej mógł uderzyć na Witlandię. Tak więc dopłynął Gaut do miejscowości zwanej Gniew i zobaczył tam kilkanaście statków z Lestkami w białych płaszczach, dziesiątki pasących się na łąkach koni, należących do owych zbrojnych. Schwytani do niewoli Pomorcy odbudowali drewniany gród w Gniewie.

Zaprowadzono Gauta do białego namiotu, ale nie zastał w nim Piastuna, tylko jego kanclerza imieniem Herim.

— Nasze główne siły i Piastun jeszcze tu nie przybyli — wyjaśnił Gautowi ów Herim. — Mów, czego chcesz, człowiecze, a ja przekażę Piastunowi. Czy widziałeś, że odbudowujemy gród nad brzegiem rzeki? Będą tą rzeką płynąć statki w górę i w dół ponieważ otworzymy Visulę dla kupców, którzy chcą podążać aż do Pontu. Słyszy się, że zamieszkujący po jednej stronie rzeki Estowie, a po drugiej Pomorcy, od czasu do czasu żyją z rabunku statków. Ten gród zapewni statkom bezpieczną przystań i okręty wojenne dla zwalczania piratów.

Gdy przyszło do rozmowy o zapłacie za krzywdy wyrządzone Polanom, Herim roześmiał się w twarz Gautowi:

— Nie pora już na to, człowieku. Piastun chce teraz ręki księżniczki Gedani i jej wiano: Witlandię.

Odpłynął Gaut w drogę powrotną, nieświadom, że to, co widział w Gniewie, to była cała potęga Piastuna. Nie uczynił bowiem Piastun swego kraju bezbronnym, nie wyprowadził z niego całej armii, a tylko wziął z sobą kilka statków dwustu Lestków. Dla obrony państwa pozostawił Awdańca, Pałukę i Spicimira, a kiedy zdumieni pytali go jakże chce zdobyć Witlandię tylko z dwustu ludźmi, odparł:

— Czy nie wystarcza moje groźne imię? Czy nie mówiłem wam i nie okazywałem wielokrotnie, iż posiadłem sztukę czarów? Jeśli przyprowadzę pod Gedanię wielką armię, żołnierze zechcą łupów, a ja pragnę mieć Witlandię nietkniętą.

Albowiem wiedział Piastun od kupców, że wielu żołnierzy Gedana zostało przekupionych, zawiązano też spisek na życie Gauta i Gedana, a wraz z wieścią o zbliżaniu się Piastuna miał na podgrodziu wybuchnąć bunt przeciw Gautowi. Ale, że — jak się opowiada — lubił Piastun walczyć osobiście i kochał niebezpieczeństwo, tedy przebrał się w szaty kupieckie i wraz z Jaszczołtem, tylko we dwójkę, dostali się łódką do Witlandii, którą Piastun znał, ponieważ był tu w młodości.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

(14)

Dagome iudex

Rys. Janusz Szymański-Glanc